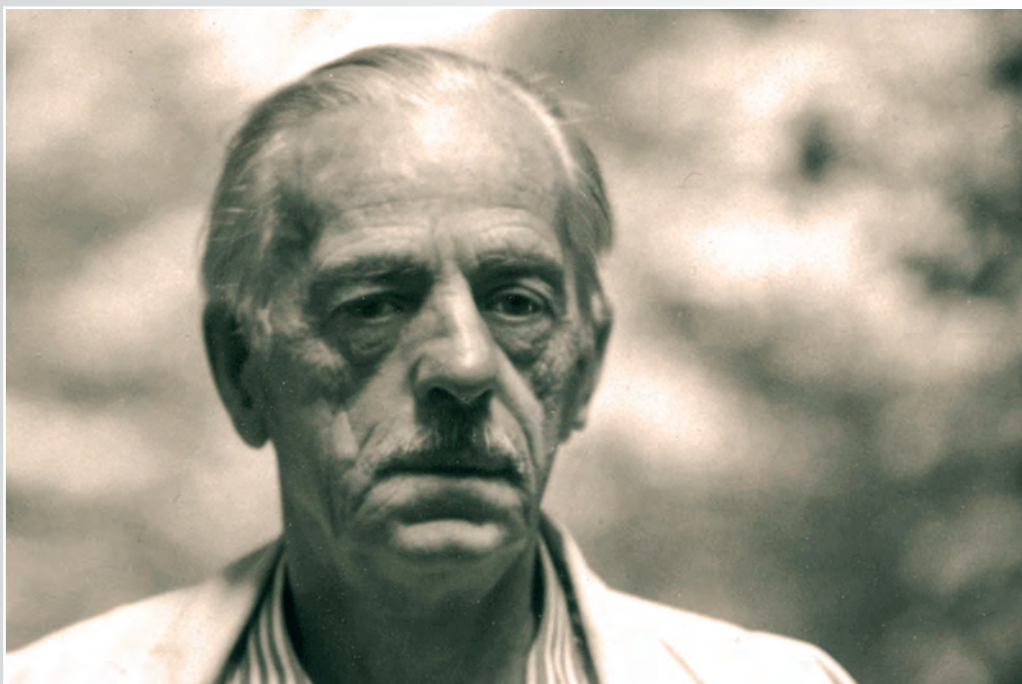
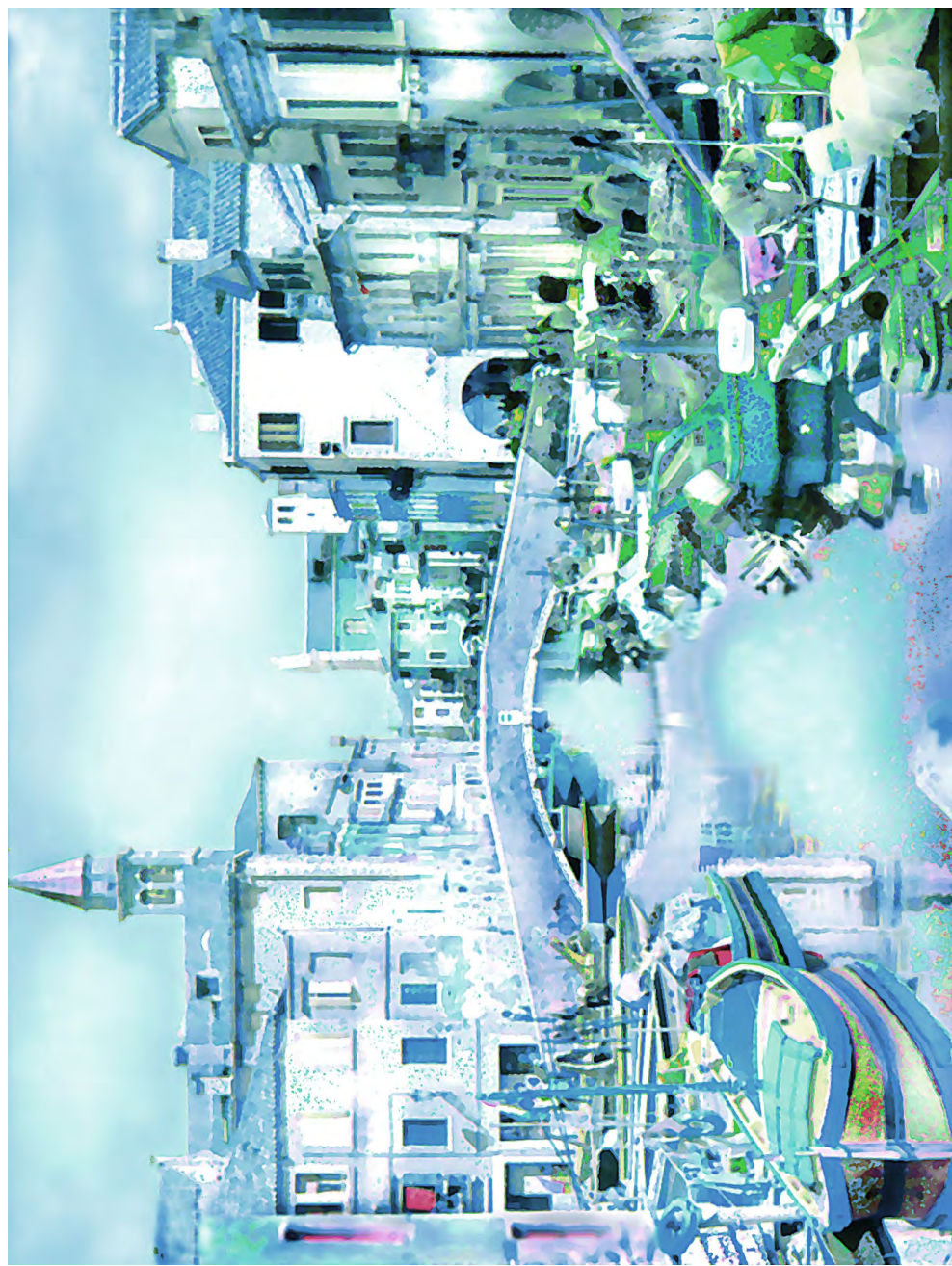


częstochowski magazyn literacki
Towarzystwa Galeria Literacka





Roman Timofiejuk, z cyklu: „VEDUTY”

kwiecień – czerwiec 2018

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, *Wielowymiarowo nie tylko o „Galerii”* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: marzec – czerwiec 2018 r.* 4Barbara Strzelbicka, *Nagroda dla Olgi Tokarczuk* 6**TADEUSZ GIERYMSKI (1928-2009)**Elżbieta Hurnik, *Erotyki Tadeusza Gierymskiego* 7Arkadiusz Frania, *Tadeusz Gierymski przyrodniczo-norweski.**Notatki i wypisy z lektury* 10Konrad Ludwicki, *O „Notatkach z czasu” Tadeusza Gierymskiego.* 18Tadeusz Piersiak, *Tadeusz z Gierymskich i z Hommersåk.* 28Janusz Mielczarek, *List do Tadeusza Gierymskiego pisany zielonym atramentem*
29Arkadiusz Frania, *Balladka o starych poetach (fragment).* 31Arkadiusz Frania, *T. G. z pamięci* 33**ROZMYŚLANIA ZBISŁAWA JANIKOWSKIEGO**Zbislav Janikowski, *Rozmyślania – jeszcze raz o kalendarzu* 37**POEZJA – DEBIUT W GALERII**Barbara Strzelbicka, *Podróż do wnętrza. O wierszach Adriana Musiała* 41Adrian Musiał, *Wiersze wybrane.* 42**POEZJA**Arkadiusz Frania, *Nie piszę wierszy* 47Wiesława Owczarek, *Aleja Gryfa* 48Małgorzata Franc, *Najważniejsza jest miłość.* 51Jacek Gierasinski, *Księga snów* 53Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *I śniło mu się* 54Anna Jędryka, *Wiersze senne* 55Aleksandra Kowalska, *Wyznanie wiary.* 57Zdzisław Sierpiński, *Dziewczyny czterech pór roku* 61Zdzisław Opalko, *O przymiotach i upodobaniach czasu* 64Maciej Rudlicki, *Bajka muzealna* 66**PROZA**Zbigniew Myga, *Anioł* 67Zbislav Janikowski, *Sylwester.* 70Maciej Rudlicki, *Dwa, trzy ruchy.* 73**DRAMAT**Jan Ciesielski, *Scenki rodzajowe* 79**PRZEKŁAD**Conrad Ferdinand Meyer, *„Tag, schein' herein und, Leben, flieh hinaus!”* 81Conrad Ferdinand Meyer, *„Zabłyśnij dniu, a życie, wymknij się!”*,
przekład Bogdan Knop 82**CZĘSTOCHOWA**

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2018 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

- Barbara Strzelbicka, *Niezwykła szkoła. O książce Bożeny Gorskiej „Liceum Krzemienieckie albo Nowe Ateny Wołyńskie”* 84
- Roman Wyborski, *Gaude czy requiem? Rzecz nie tylko o festiwalu* 87
- Barbara Strzelbicka, *Nowa odsłona Festiwalu „Gaude Mater”* 91
- Tomasz „Aztenty” Barański, *„Biały Słoń” – całkiem zapomniana historia* 95
- Nina Sołkiewicz-Kos, *Częstochowa nad Wartą – relacje rzeki z miastem* 98
- Elżbieta Hak, *Korespondencja Zdzisława Beksińskiego z Piotrem Dmochowskim* 105
- Barbara Strzelbicka, *Trzy wymiary miłości. O wierszach Aleksandry Kowalskiej* 107

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

- Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Tajemnice astrologii* 111

HISTORIA W GALERII

- Jarosław Kapsa, *Rozlane mleko* 117

WIDZIANE Z GALERII

- Subiektywna kronika wypadków kulturalnych* 131
- Marzena Forma, *Spotkanie autorskie z Adamem Regiewiczem* 131
- Barbara Strzelbicka, *Muzyczny jubileusz* 132
- Barbara Strzelbicka, *Deszczowy wernisaż* 132
- Barbara Strzelbicka, *Szczęściarz i przyjaciele* 134
- Barbara Strzelbicka, *Staromodny Poeta* 136

NOTY O KSIĄŻKACH

- Janusz Mielczarek, *Być pomiędzy słowem a obrazem* 137
- Marian Panek, *Czytając kropki* 137
- Tadeusz Wrona, *Słowa i definicje* 137
- Wojciech Pestka, *Histeria* 137
- Aleksandra Anna Kowalska, *Polana dwojga* 138
- Marian Lenartowicz, *Nocne spacerory* 138

CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI

- Tymoteusz Werner, *Czenstochoviana z księgarskiej półki* 139
- Dzieje ludności żydowskiej w regionie częstochowskim w XIX i pierwszej połowie XX wieku* 139
- Marek Cieślak, *Pół wieku na czarno. Prawda żużlem pisana* 140
- Mieczysław Wyględowski, *Od cyrulika do chirurga* 141
- Jerzy Piwowarski, Jacek Mróz, *Bogumiła Zbirożanka Malec* 142

ZAPISKI GALERJANA

- Jan Ciesielski, *Szarganie świętowaniem* 143

FOTO GALERIA

- Marian Panek, *Symetryczne Kreacje Romana Timofiejuka* 144
- Roman Timofiejuk, *Oświadczenie artysty* 146

NOTY O AUTORACH

- Adrian Musiał 46
- Aleksandra Kowalska 59
- Zdzisław Sierpiński 63
- Roman Wyborski 90
- Nina Sołkiewicz-Kos 104
- Roman Timofiejuk 147

WIELOWYMIAROWO NIE TYLKO O „GALERII”

Zagłębienie w przeszłość, przypominanie tych, którzy są ważni dla naszej pamięci. To nie tylko kwestia tradycji, wspomnień, to również ważne zadanie do wykonania. W przeszłości prezentowaliśmy postaci Haliny Poświatowskiej i Ludmiły Marjańskiej i każdorazowo taka prezentacja spotykała się z żywym odzewem i dużym zainteresowaniem. W czerwcu mija 90. rocznica urodzin Tadeusza Gierymskiego. Dlatego w numerze 46. Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” przypominamy postać i twórczość pisarza i poety szczególnie mocno związanego, a czasem wręcz utożsamianego z Częstochową. To on towarzyszył, jeśli nie akuszerował, debiutowi Haliny Poświatowskiej. On przyjął i wsparł Waldemara M. Gaińskiego po jego przyjeździe do Częstochowy. Jemu pokolenia poetów częstochowskich zawdzięczały swe pierwsze kroki w literaturze. Postać malownicza, pamiętana, dla niektórych też kontrowersyjna. Ale przecież, w pierwszej kolejności, zasłużona dla pamięci o Częstochowie i odnajdująca się w tej pamięci.

Pozwolę tu sobie na osobistą dygresję. Tadeusza Gierymskiego poznałem pod koniec lat siedemdziesiątych. Uczestniczyłem wtedy kilkakrotnie w spotkaniach grupki poetów, którym wyraźnie patronował Gierymski. Do bliższych kontaktów nie doszło, bo nie czułem się poetą, ale do dziś pamiętam kilka słów, które wypowiedział na temat mojego młodzieńczego opowiadania. Teraz myślę, że szkoda, że go nie posłuchałem...

Prezentujemy na naszych łamach wspomnienia i eseje kilkorga autorów, dla których osoba i twórczość Tadeusza Gierymskiego są ważne i bliskie literacko. Elżbieta Hurnik wnikliwej analizie poddała erotyki zawarte w tomie *Tulia*, zaś Konrad Ludwicki warsztatem krytycznym objął *No-*

tatki z czasu. Tadeusz Piersiak naszkicował słowami portret Tadeusza Gierymskiego, Janusz Mielczarek literackie wspomnienia ujął w formę zabarwionego emocjonalnie listu, uzupełnionego o fotografie. Najobszerniejsze i najbardziej osobiste są teksty Arkadiusza Frani, który jako pierwszy zwrócił się z pomysłem dedykowania numeru „Galerii” Tadeuszowi Gierymskiemu, dopełniając swoją wieloaspektową opowieść o relacji ze starym Poetą – własnymi wierszami.

W ten sposób chcemy przyczynić się nie tylko do upamiętnienia postaci Tadeusza Gierymskiego, ale także do ukazania jej wielowymiarowości.

Staraliśmy się, by cała zawartość „Galerii” nr 46 była wielowymiarowa. Prezentujemy twórczość autorów współpracujących z nami systematycznie i od dawna oraz takich, z którymi nasza współpraca, na co mamy nadzieję, dopiero się nawiązuje. Cieszymy się z debiutów – nie tylko poetyckich, tym razem najliczniejszych – i z kontynuacji stałych rubryk. Publikujemy przekład wiersza wraz z oryginalną wersją. Starając się trzymać rękę na pulsie życia kulturalnego miasta, odnotowując i komentując ważne wydarzenia, pamiętamy o historii, która, niestety, lubi się powtarzać. Przedstawiamy i omawiamy nowości wydawnicze związane z Częstochową i z Towarzystwem Galeria Literacka. Sięgamy po współpracę z twórcami spoza naszego miasta i jego okolic – tym razem przybliżając sylwetkę i twórczość fotografa Romana Timofiejuka.

Przed nami upalne lato pełne radości i smutków, sukcesów i porażek. Przed redakcją „Galerii” nowe wyzwania, przed czytelnikami nadzieje na wiele atrakcji. Życzymy owocnej lektury i dobrego wypoczynku w czas kanikuły.

Bogdan Knop

KALENDARIUM marzec-czerwiec 2018 r.



MARZEC

- 2.03.** otwarcie wystawy fotografii Janusza Pacudy – ROK,
2.03. – wernisaż wystawy Anny Wysockiej – OPK „Gaude Mater”,
6.03. – promocja książki Ryszarda Stefania-ka *Mieczysław Zbigniew Hrehorów. Historia jednego niezwykłego życia* – Muzeum Częstochowskie – Ratusz,
7.03. – wernisaż wystawy „Masuria 4” – Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II,
8.03. – wernisaż wystawy „8 Kobiet” – Konduktorownia,
9.03. – „Język odmiany czy odmiana języka? Debata o feminizacji języka” – Ratusz,
14.03. – zmarł astrofizyk Stephen Hawking,
16.03. – Zbislaw Janikowski rozmawia z... członkami Stowarzyszenia Wychowanków Politechniki Częstochowskiej – Ratusz,
20.03. – Urodziny Jerzego Dudy-Gracza – Ratusz,
21.03. – promocja książki Leszka Grochulskiego *Zrozumieć kobietę* i otwarcie wystawy ilustracji – OPK „Gaude Mater”,
23.03. – finisaż wystawy „Każde moje obrazowanie wizją to metafora”. Twórczość Bogumiły Malec; promocja książki J. Piwowarskiego i J. Mroza *Bogumiła Zbirożanka Malec (1913-1987)* – Muzeum Częstochowskie – Galeria Dobrej Sztuki,
24.03. – „Celuloidowa historia Częstochowy. Wypoczynek częstochowian w PRL-u” – spotkanie z Krzysztofem Kasprzakiem – Ratusz.

KWIECIEŃ

- 4.04.** – Zbislaw Janikowski rozmawia z... Maciejem Rudlickim – Ratusz,
4.04. – „Między zbrodniami”. Spotkanie autorskie z Adamem Regiewiczem – OPK „Gaude Mater”,
5.04. – wernisaż wystawy malarstwa Mariana Panka – Galeria ZPAP w Łodzi,
6.06. – wernisaż wystawy fotografii Marcina Wieczorka „Konstrukcja – dekonstrukcja – symetria” – Konduktorownia,
6-7.04. – 11. Festiwal im. Kaliny Jędrusik – OPK „Gaude Mater”,
10.04. – wernisaż wystawy Klubu Literackiego „Anafora” – Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza,
13.04. – wernisaż wystawy malarstwa Mariana Panka – restauracja „Le Cidre”,
14.04. – zmarł reżyser filmowy Miłoś For-man,
20.04. – wernisaż wystawy „Zdzisław Sowiński i Władysław Strzemiński – fotograficzne reminiscencje” – Ratusz,
21.04.-27.05. – IV Międzynarodowy Festiwal Sztuki i Muzyki „Incident/Accident” – Instytut Sztuki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego, Miejska Galeria Sztuki, Konduktorownia, Muzeum Częstochowskie, OPK „Gaude Mater”,
21.04. – promocja książki Mieczysława Wyględowskiego *Od cyrulika do chirurga* – Ratusz,
23.04. – spotkanie z okazji 95. urodzin Karoliny Ściegienny – Ratusz,

27.04. – wernisaż XXI Konkursu Cyfrowej Fotokreacji CYBERFOTO 2018 – ROK.

MAJ

1-7.05. – 28. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”,

1.05. – zmarła skrzypaczka Wanda Wiłkomirska,

10.05. – „Jerzy Kossak – w rocznicę śmierci” – wykład Iwony Strzelewicz-Ziemiańskiej – Ratusz,

11.05. – otwarcie wystawy poplenerowej ISD Huty Częstochowa „Z widokiem na Hutę” – Ratusz,

18.05. – jubileusz kompozytora Sławomira Czarneckiego – Filharmonia Częstochowska,

19.05. – Paweł Pawlikowski otrzymał Złotą Palmę za reżyserię filmu „Zimna wojna”,

19.05. – Noc Muzeów,

22.05. – Olga Tokarczuk otrzymała Man Booker International Prize za książkę *Bieguni*,

22.05. – zmarł pisarz Filip Roth,

22.05. – Zbysław Janikowski rozmawia z... Romanem Krystem – Ratusz,

26.05. – Dzień Samorządu Terytorialnego w Częstochowie,

29.05. – Gabinet Wybitnych Częstochowian: Melodie miłości Janusza Gniatkowskiego – Ratusz,

30.03. – promocja tomu poetyckiego Aleksandry Kowalskiej *Polana dwojga* – OPK „Gaude Mater”.

CZERWIEC

1.06. – zmiana statusu Akademii im. Jana Długosza na Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie,

2.06. – finał konkursu Tygodnika Katolickiego „Niedziela” „Na 100-lecie odzyskania niepodległości – modlitwa za Ojczyznę” – redakcja „Niedzieli”,

3.06. – finisaż wystawy „Zdzisław Sowiński i Władysław Strzemiński – fotograficzne reminiscencje” – Ratusz,

6.06. – promocja książki Janusza Mielczarka *Być pomiędzy słowem a obrazem* – Ratusz,

6.06. – wernisaż wystawy Haliny Piwowskiej „Drzewa apokaliptyczne” – Konduktorownia,

7-10.06. – 14. Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego „14th Hot Jazz Spring”,

8.06. – otwarcie wystawy „Trzy grosze poezji Tadeusza Gieryskiego”. W 90. rocznicę urodzin... – Ratusz,

8.06. – wernisaż wystawy „Beksiński – granice realności” – Miejska Galeria Sztuki,

8.06. – promocja książki *Częstochowa a obrońca* Lwowa pod red. R. Stefaniaka i R. Piotrowskiego – OPK „Gaude Mater”,

11.06. – zmarł aktor Roman Kłossowski,

11.06. – Rozmowy o Tadeuszu Gieryskim z okazji 95. rocznicy urodzin – OPK „Gaude Mater”,

13.06. – zmarł dziennikarz częstochowski Dariusz Fiuty,

15-16.06. – Festiwal Frytka OFFjazz 2018 – Park Lisiniec,

15.06. – promocja książki Andrzeja Chwalby *Legiony Polskie 1914-1918* – Ratusz,

16.06. – otwarcie wystawy „Inne Światy – Salvador Dali *versus* Tomasz Sętowski” – Pawilon Wystawowy Muzeum,

17.06. – zmarła poetka, pisarka i tłumaczka Joanna Kulmowa,

18.06. – udostępnienie wystawy zbiorowej „Pamięci Tadeusza Kantora” – OPK „Gaude Mater”,

19.06. – zmarła Wanda Malko, muzykolog, pedagog, badaczka dziejów muzycznych Częstochowy,

20.06. Zbysław Janikowski rozmawia z... Martą Niciejewską – Ratusz,

20.06. – zmarł wiolonczelista Dominik Połński,

22.06. – zmarła lekarka, działaczka społeczna i polityk Olga Krzyżanowska,

22.06. – zmarł dziennikarz i fotograf Marek Karewicz,

22.06. – otwarcie I. Międzynarodowej Konferencji i Wystawy „Kultura w sztuce, sztuka w kulturze” – Konduktorownia,

29.06. – Literacki Piątek – OPK „Gaude Mater”.

Barbara Strzelbicka

Barbara Strzelbicka

NAGRODA DLA OLGI TOKARCZUK



Olga Tokarczuk

Man Booker International Prize, jedna z najważniejszych nagród literackich na świecie – Obok Literackiej Nagrody Nobla i Nagrody Pulitzera – została przyznana Oldze Tokarczuk za powieść *Bieguni*, wydaną w Polsce w 2007 r. Uroczystość wręczenia nagrody miała miejsce 22 maja 2018 r.

Nagrodę ustanowiono w 2005 r. jako odpowiednik Man Booker Prize, którą od 1969 r. honorowano pisarzy z Wielkiej Brytanii. Międzynarodowy Booker początkowo był przyznawany co dwa lata za powieść napisaną w języku angielskim pisarzom spoza Wielkiej Brytanii, od 2016 r. przyznawany jest corocznie za książkę na angielski tłumaczoną. Jej dotychczasowi laureaci to: Ismail Kadaré (2005), Chinua Achebe (2007), Alice Munro (2009), Philip Roth (2011), Lydia Davis (2013), László Krasznahorkai

(2015), Han Kang (2016), David Grossman (2017). Z polskich pisarzy – oprócz Olgi Tokarczuk – nominację otrzymali: Stanisław Lem (2005) i Wioletta Grzegorzewska (2017) za powieść *Guguły* (*Swallowing Mercury*) w tłumaczeniu Elizy Marciniak. W 2018 r. zgłoszono do nagrody 108 książek, spośród których nominowano 13, do finału zakwalifikowano 6, a nagrodę otrzymała jedna – *Bieguni* w tłumaczeniu Jennifer Croft, która tytuł przełożyła jako *Flights*. Wysokość nagrody finansowej wynosi 50 tys. funtów i jest dzielona równo pomiędzy autora i tłumacza.

Olga Tokarczuk debiutowała w 1993 r. książką *Podróż ludzi księgi*. Dwukrotnie była laureatką Nagrody Literackiej „Nike” za powieści *Bieguni* (2008) i *Księgi Jakubowe* (2015). Najnowsza książka pisarki to zbiór dziesięciu opowiadań zatytułowany *Opowiadania bizarne* (2018).

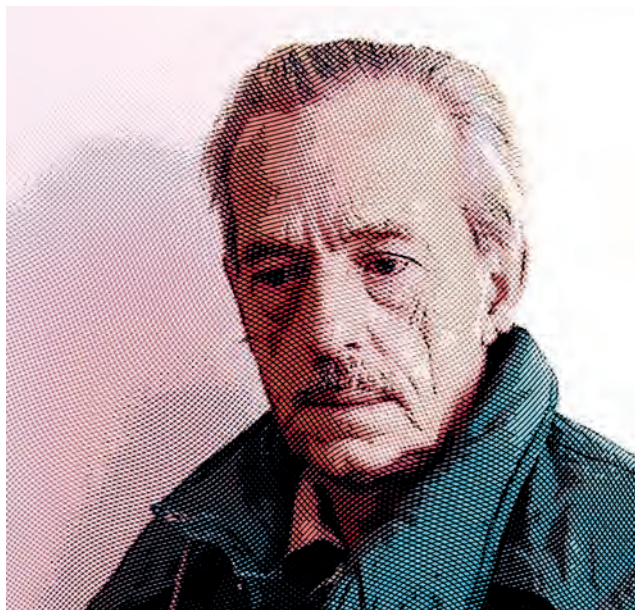
Elżbieta Hurnik

EROTYKI TADEUSZA GIERYMSKIEGO

Tadeusz Gierymski jest autorem kilku zbiorów wierszy, ma w swoim dorobku opowiadania, wspomnienia, teksty publicystyczne, recenzje, książkę na temat regionu częstochowskiego w literaturze pięknej. Wiele z tych wypowiedzi poświadcza związki poety z Częstochową i jej środowiskiem twórczym, ale też z przyrodą i krajozrazami miasta i okolic, będącymi źródłem inspiracji przez kilkadziesiąt lat (na ten temat pisałam w artykule zamieszczonym w tomie 15. „Rocznika Muzeum Częstochowskiego”).

Wiersze poety cechuje różnorodność tematów i refleksji, bogactwo wyobraźni, dojrzałość artystyczna i intelektualna, którą dostrzegli już komentatorzy zbioru *Rosa i rdza* (Warszawa 1982), w tym Stefan Jurkowski („Tygodnik Kulturalny” 1982, nr 27). Jak przekonuje lektura utworów i jak dowodzi też w swojej książce Arkadiusz Frania (*„Solidne niefarbowane retro”. O poezji Tadeusza Gierymskiego*, Częstochowa 2004), autor dotyka spraw egzystencjalnych, a także powszednich, codziennych; wiersze osadzone są w kontekstach kulturowych, a jednocześnie podejmują tematykę przyrody, która pełni w nich rozliczne funkcje.

Do tematów ważnych w utworach (nie tylko poetyckich) Gierymskiego należy miłość. Najpełniej uwidacznia się on w zbiorze *Tulia (erotyki)* (Częstochowa 2003), ale pojawił się już we wcześniejszej twórczości. Nie mogło być inaczej, skoro miłość przynależy do ludzkiego życia od pierwszych lat młodości i dojrzewania; wszak sam autor w autobiograficznym opowiadaniu *Pierwsza miłość* przyznał, że najważniejsze przeżycie miłosne stało się jego udziałem w czasie wojny, gdy był szesnastoletnim chłopcem. Uczuciem obdarzył wówczas



przybyłą z Rosji dziewczynę, „pół-Niemkę, pół-Kozaczkę”, która zniknęła z jego życia równie szybko, jak się pojawiła: „Ale ta pierwsza, chłopięca miłość pozostała dla mnie miłością największą, najżarliwszą, chociaż była tak niewinna jak powietrze. A może właśnie dlatego?!” (*Opowiadania najkrótsze*, Częstochowa 2002, s. 8-10).

Erotyki Tadeusza Gierymskiego bez wątpienia wpisują się w szeroki nurt liryki miłosnej. Docenili je recenzenci zbioru *Rosa i rdza*, wspomniany wyżej Stefan Jurkowski i Jan Marx („Tu i Teraz” 1982, nr 21). Na temat wierszy z tomu *Tulia* pisała z uznaniem Wioletta Grzegorzewska („Aleje 3” 2003, nr 44), Arkadiusz Frania określił je jako *Tadeusza Gierymskiego „Pieśń nad pieśniami”* (zob. T. Gierymski, *Miscelanea literackie*, Częstochowa 2005, s. 231-233). Zbiór *Tulia*, opatrzony dedykacją „wszystkim znajomym mi kobietom poświęcam” i zamknięty posłowiem *Wciąż*

morze i mewy, ukazującym ciąg dalszy losów tytułowej bohaterki zbioru, spełnia oczekiwania czytelnika poszukującego w wierszach zapisu miłości. Jest ona wszechobecna – w słowach, sposobach obrazowania, w nawiązaniu do świata przyrody i do ujęć malarskich, w melodii wiersza. Postać bohaterki przywoływana jest po imieniu, jak w utworze *Do Tulii* (s. 19), ale poeta znajduje dla niej także inne nazwy, oparte na porównaniach z elementami przyrody i na oszczędnym, znaczącym posłużeniu się określeniami kolorystycznymi:

„biała jaskółko, ciemna jaskółko
przyniosę ci z ciepłych krajów
lekkie sandały, letnią sukienkę” (s. 9)

Tulia ukazywana jest w środowisku natury, na tle jurajskiego lasu („i ty w białej sukience / wśród ciemnego boru”, s. 12), nad morzem („idzie brzegiem morza”, s. 31), z biedronką na ręce („Po ręce Tulii chodzi biedronka”, s. 15). Aby oddać w pełni jej urok, poeta porównuje Tulię z malarskimi przedstawieniami impresjonistów:

„To ty na obrazie Moneta
stoisz w bulońskim lasku
z bryzą platynowych włosów
i szmaragdem oczu.” (s. 16)

Postać bohaterki jawi się w obrazach ułamkowych, wydobywających na ogół jakiś szczegół jej wyglądu – kolor oczu i włosów, kształt nóg i piersi. Te szczegóły ukazują urok kobiety, ponadto współtworzą obecną w tomie aurę zmysłowości. Ewokuje ją w sposób bodaj najbardziej widoczny wiersz *Tulia zakłada pończochy*, będący malarskim wręcz „kobiecy studyum”:

„Teraz prostuje lewą nogę,
przegina stopy i tułów ku dołowi,
miękkim, nieśpiesznym ruchem
zakłada na stopę delikatną tkaninę.
Noga od kostek do brzegu sukienki

jest jeszcze naga, obleczona tylko
matową skórą, lekko porysowaną
pajęczyną niebieskich żyłek.” (s. 26)

Zmysłowość budowana jest przez wiele elementów wierszy. Należą do nich wrażenia kolorystyczne, dźwiękowe, smakowe towarzyszące przeżyciom intymnym:

„Moje usta szaleją za twoimi
aż do białego szaleństwa.

Nasze usta mają wspólny język,
który śpiewa jak wiosenny ptak.

Nasze usta połykają miłość
całymi gorejącymi garściami.” (s. 21)

Utwory ze zbioru *Tulia* są jednocześnie czymś więcej niż „tylko” wierszami miłosnymi. Podjęcie tematu miłości wymaga od twórcy umiaru poetyckiego, zachowania równowagi pomiędzy słowem a treścią, pomiędzy sferą emocji a intelektem; wszak w dotykaniu spraw intymnych, osobistych, prywatnych istotny jest dystans. Wytrawny warsztat poetycki Tadeusza Gierymskiego polega na umiejętnym oddawaniu uczuć, ale też na ujawnianiu twórczego „ja”; autor pokazuje niemalże, „jak pisze się o miłości”, jak posługuje się lirycznym tworzywem. Niekiedy unaocznia sposób przekładania wzruszeń na słowo poetyckie:

„biała kartka faluje
pod żaglowcem długopisu
wzruszone fale układają się
w ławice słów i zdań
wszystkie mają zapach twego ciała

i znowu powstał wiersz
napisany ad Tulliam” (s. 48)

Gierymski docenia wartość słowa – jego warstwę dźwiękową i pojemność semantyczną; wiersze cechuje swobodne posługiwanie się metaforą, ale i wycucie

stylu. Można dostrzec w zbiorze dążenie do uchwycenia istoty miłości w formuły językowe i style zapożyczone, odwołujące się do kultury literackiej czytelnika, a jednocześnie stanowiące wyraz własnych refleksji i przeżyć poety. Literackie koneksje i nawiązania do tradycji widoczne są w sposobach rymowania:

„Przyłóż ucho do muszli. To
szumi moja młodość: górna i chmurna.”
(s. 32)

„Potok górski, zagórski,
potok żywy, wstydlivy,
zaburzony sam w sobie,
sam świadomy swych dróg,
kamienisty, perlisty
tajemniczy – jak Bóg.” (s. 33)

Do zasobów tradycji literackiej (i religijnej) należą litanijne zawołania:

„wodo szmaragdowa
wodo płochliwa
zakochana w swym szaleństwie
wodo spokojna
gniewna przerażająca
wodo rybna
tworząca na piasku koperty” (s. 27)

Tym, co zespala utwory zawarte w tomie, jest niewątpliwie temat miłości, uosobionej w pięknej postaci Tulii. Gierymski ukazuje siłę uczucia, a jednocześnie obnaża towarzyszącą mu udrękę. Wiersze wyrażają niegasnące pragnienie i głód miłości, pragnienie, które nie zależy od wieku i kondycji człowieka:

„Moje serce również
tęsknotą przekłute
starość się w nie wlewa
i jesienny smutek.” (s. 51)

Tulia to erotyki, ale i tom o erotykach; Gierymski manifestuje w nim własną świadomość

twórczą, zmagania z materią języka. W świetle wiersza *Do Tulii* wydaje się on narzędziem zbyt niedoskonałym, niewystarczającym, by wyrazić istotę uczucia, które wszak zespolone jest z cierpieniem:

„Jak pisać o tobie
długopisem napełnionym krwią?
Może wierszem bez jednego słowa?
Przecież cisza bywa najgłośniejsza.”
(s. 19)

Szczególny wymiar zyskuje ta świadomość w utworze, w którym dramat człowieka przygniecionej siłą miłości trudnej, czasem niemożliwej do przeżycia, splata się z dramatem twórcy postawionego wobec opornego tworzywa, jakim jest słowo:

„proszę, zrujnujcie moją miłość
bo rozszarpie moje trzewia czyli
zdania skowyczą jak psy na łańcuchach
skrzyżowanie znaczeń zapala wigilijne
drzewko
choć lipiec szarga szorstkim upałem
sztuczne złozenia złocą się barokiem
płomień zuchwale spala łączy składni
przymiotniki stają na kolorowych głowach
rzeczowniki płyną pod swój rdzawy
prąd
czasowniki giną w dziurach mostu i
płaczą białą jak utarty chrzan” (s. 35)

Tadeusz Gierymski wiedział, że trud pisanie wynika ze złożoności ludzkiej natury, z ciężaru myśli, przeżyć, pragnień. W jednym z *Zapisków o świecie* („Aleje 3” 1999, nr 20, s. 14) zanotował słowa, które można traktować jako jego poetyckie *credo*:

„Poezja, w której nie ma śladu cierpienia i pytań o jego sens – jest pusta, jałowa”.

Arkadiusz Frania

TADEUSZ GIERYMSKI PRZYRODNICZO-NORWESKI. NOTATKI I WYPISY Z LEKTURY

Tadeusz Gierymski (1928-2009) debiutował wierszem *Przeciw wojnie* na łamach „Tygodnika Powszechnego” w 1955 roku (nr 36), jednakże swój pierwszy arkusz wydał dopiero 23 lata później (*Krótką oda do lampy*, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Częstochowa 1976), choć autor za swój właściwy debiut uważał opublikowany nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej tom *Rosa i rdza* (Warszawa 1982). Mimo iż książka zyskała znakomite noty recenzyjne krytyków i rejestratorów powojennego życia literackiego (w tym Ryszarda Matuszewskiego i Stefana Jurkowskiego), następny zbiór Tadeusza Gierymskiego ukazał się dopiero w 1999 roku pod bezpretensjonalnym tytułem *Wiersze* (Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1999). Wówczas rozpoczęła się wzmożona akcja wydawnicza utworów poety, które tkwiły w większości w zapomnianych rocznikach regionalnych pism literackich i społeczno-kulturalnych; opublikowano zatem kolejno tomiki poetyckie: *Wyścig z Czasem* (Wydawnictwo „e media”, Częstochowa 2002), *Tulia (erotyki)* (Wydawnictwo UNTERNET, Częstochowa 2003), *Piołun* (Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM”, Częstochowa 2003), i teksty prozatorskie: refleksje *Notatki z czasu* (wyd. 1. z 2001 roku i wyd. 2. z 2003 roku, oba nakładem Wydawnictwa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie) oraz *Opowiadania najkrótsze* (Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2002). Dorobek Tadeusza Gierymskiego uzupełniają: broszura *Region częstochowski w literaturze pięknej* (Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM”, Częstochowa 2003) oraz *Miscellanea literackie* (Biblioteka Publiczna im. Dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie, Częstochowa 2005). Na publikację zapewne czekają wiersze rozproszone, mające jedynie swój pierwotny druk w pismach, jak i nigdzie niedrukowane, pochodzące z teki pośmiertnej.

W przypadku liryki Tadeusza Gierymskiego – ze względu na swoistą periodyczność ukazywania się poszczególnych książek – trudno mówić o drodze rozwojowej, niemniej można wyodrębnić wiersze pisane „z natury” i przenikające się z nimi liryki norweskie (wiersze plenerowe). Autor *Piołunu* to bowiem bez wątpienia poeta przyrody, potrafiący słuchać i usłyszeć jej głos, znający jej siłę. Jakże mogło być inaczej, jeśli w rubryce „hobby” artysta na pierwszym miejscu wymienił: „włóczęgi po olsztyńskich lasach i górach” (podaję za notką wydrukowaną w: *Kto jest kim w Częstochowskim 1988*, redakcja Marian Piotr Rawinis, Częstochowa 1998, s. 38); osobom nieznającym regionu częstochowskiego pragnę wyjaśnić, że „olsztyńskie” pochodzi od nazwy miejscowości Olsztyn położonej koło Częstochowy. Opis natury wykracza tu daleko poza wartość pejzażowego obrazka (landshaft), gdyż w wizjach przyrody ogniskują się wątki egzystencjalne, ekologiczne i erotyczne. W niniejszym tekście będę starał się rozpoznać zasygnalizowaną tematykę, a ponieważ najważniejsze jest słowo poety, pozwolę sobie wysunąć je na plan główny, jak najczęściej oddając miejsce przestrzeni czysto literackiej, stąd podtytuł szkicu: „notatki” (moje przemyślenia) i „wypisy” (cytaty).

Autor zdaje się stronić od miast, choć trudno wyciągnąć jednoznacznie wnioski, iż ta liryka jest ortodoksyjnie antymiejska. W *Notatkach z czasu* bohater wyznaje w zadumie: „Czyżby kultura urbanistyczna już się przeżyła? Czy zaczyna wytwarzać więcej jadów niż wartości pozytywnych? W dużym mieście można nadal pracować, zarabiać, robić interesy

i kariery. Ale żyć trudno. Coraz trudniej” (NzC26). Poeta źle jednak czuje się w bloku mieszkalnym, skoro postrzega go jako więzienie dla człowieka, stąd motyw „starego ptaka w klatce”:

więc mieszkam w klatce
stary ptak
zlepione skrzydła
prawie wrak
a w każdym wraku
mieszka ptak
a w każdym ptaku
mieszka ziarno
a w ziarnie życie
czarne marne
(W65)

Przyroda miejska została zatruta, skażona cywilizacją, jak w reportażowym opisie częstochowskich ulic, bo przecież Tadeusz Gieryski peregrynował Alejami, patrzył, wypatrywał, zapatrywał się, aby obserwacje wykorzystać na pożytek literatury:

rozciągnięta harmonia Alej
bębny reklam
piwne azyle
rozmowy jak tłuczone szkło
środkiem płynie magma samochodów
ogolone na pałę topole
(W109)

Spśród betonów wydobywa się *Krzyk jesieni*, wyrażający pragnienie podmiotu, będące projekcją epifanii, wołania o ośnienie, o oślepienie zmysłów pięknem:

Wejść w las czerwony od wrzasku jarzębin,
w purpurze nurzać i ciało, i duszę,
być sarną, ptakiem, ważką – jednocześnie,
oddychać wodą, kołysać się nad nią
(W57)

W tym pisarstwie mimo wszystko panuje spokój, harmonia, ład i wiara w panteistyczną wartość świata przyrody, która symbolizuje Stwórcę:

Potok górski, zagórski
potok żywy, wstydlivy,
zaburzony sam w sobie,
sam świadomy swych dróg,
kamienisty, perlisty,
tajemniczy – jak Bóg.
(T33)

Poezja jest w dużej mierze bezradna wobec piękna natury, gdyż dla jej błysków i urody trudno znaleźć stosowny ekwiwalent słowny: „Po co więc pisać wiersze? Po co gromadzić sfory słów, które nigdy nie przelicytują natury. Słowa są mądre, hałaśliwe, drzewa stoją milcząc w szkarłatnej lawie” (NzC71), „Kiedyś o [...] kaskadzie napisałem wiersz. Gdzieś się zawieruszył, połknęła go nicość, w którą pada większość napisanych słów. A biała, żywa woda będzie nadal spadać ze swych wysokich źródeł dziesiątki, może tysiące lat, gdy po mnie i moich słowach nie zostanie nawet wiatr” (NzC37).

Osobnym rozdziałem ekologicznej twórczości Tadeusza Gierymskiego są wiersze i notatki osnute wokół podróży autora do Norwegii, gdzie od końca lat 70. XX wieku mieszkali dzieci poety: córka i syn. W tomie *Wiersze 27* tekstów zgrupowano w cyklu *Przywiezione z Norwegii*, ponieważ odwiedzinom potomków towarzyszyły coraz silniejsze kontemplacje geograficzno-botaniczno-liryczne. Tytuły tych liryków zawierają lokalizację czasową (pora roku lub dnia) bądź przestrzenną: *Norwegia*, *Norwegia II*, *Pejzaż z kobietą, przy górskim potoku*, *Widok z okna*, *Nad fiordem*, *Symmelkabll*, *Północ*, *Kościółek*, *Cmentarz*, *Poranek w Sandnes*, *Jezioro o świcie*. Mamy tu do czynienia z poetycką topografią, odchodzącą od haseł encyklopedycznych i zapisów w przewodnikach: „City Sandnes rozłożona na kolanach wzgórz / skrzy się cętkami niczem blaszany pajak” (W78). Genezę Norwegii – kraju komarów, bagien i mokradeł podmiot tłumaczy w formie gnomicznej przypowieści:

Gdy Bóg z czarnego błota świat nasz lepił biegle,
To wataha komarów u stóp Pana siadła
I błagała, by dla nich zostawił mokradła.
Bóg ich prośby wysłuchał i stworzył Norwęgę.
(W73)

Z kolei zestaw jedenastu „wierszy norweskich”, zamieszczonych w *Almanachu Częstochowy 1998* (redaktorzy: Maciej Batorek, August Chojnowski, Juliusz Sętowski, Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1998), Tadeusz Gierymski poprzedził wypowiedzią o znamennym tytule *Światło i woda*, gdzie przyznaje się do zauroczenia surową przyrodą skandynawskiego kraju:

„Ale najbardziej spodobały mi się dziesiątki jezior o krystalicznych toniach, w których przeglądają się, w słoneczne dni obłe, pokryte seledynowym mchem, szczyty. Tak samo zachwyciły pienne wodospady, dzikie potoki, trudne do przebycia bagienne bory, zielonożółtawe fieldy (gdzie słysząc kołatki pasących się owiec), ukwiecone w letniej porze doliny, oblane kolorowym światłem, co zaprzecza stereotypowi szarych i wciąż mglistych widoków Norwegii. W takich bezludziach samotnie wędrujący człowiek doświadczał przedziwnych, niemal metafizycznych uczuć, jakby obcował z nieokreślonym Absolutem”.

Właśnie cykl *Przywiezione z Norwegii* zyskał szczególne uznanie w oczach znakomitej poetki Ludmiły Marjańskiej w tekście *Kilka słów o poezji Tadeusza Gierymskiego* („Aleje 3” 1999, nr 24):

„oprócz znakomitych opisów tamtejszego krajobrazu jawią się nostalgiczne refleksje nad życiem i przemijaniem. [...] Fiordy, polarne światło – Gierymski umie to ukazać, a mówię to z pewną zazdrością, bo będąc parę lat temu w Norwegii nie potrafiłam

znaleźć słów na ich opisanie. Może trzeba tam dłużej przebywać niż kilka dni, kiedy wrażenia z podróży nie zdążą zmienić się w słowa? Może i ten północny krajobraz trzeba sobie przyswoić, żeby o nim opowiedzieć?”

Autor wykazuje niezwykle uwrażliwienie na przejawy świata natury z jego barwami, kształtami i dźwiękami, dlatego wiersze często realizują założenia nurtu mgielno-imprejonistycznego, a więc geny malarskie rodziny Gierymskich przeniknęły i do wrażliwości artystycznej poety: „Błękitne niebo Norwegii / rdzawe nadmorskie brzegi” (W86), „Srebro i zieleń przenikały się w atmosferze / dziwnie spokojnej bo nawet dzwonienie ptaków / wzmagalo ciszę w niebieskim dzbanie” (W85), „Lysefiord, niebo, góry tworzą jedną szarość, / srebrne świerki do okna zaglądają domu” (W74), „w brąz przepotwarza się czerwień / chrustem zakrywa twarz zieleń” (W113), „żółty balonik [...] białe żagle [...] szafirowy wiatr” (W79). Fascynację kolorystką znać też w „norweskich” *Notatkach z czasu*:

„Fiord (wymawiają tu: fiuur) ma teraz zielonkawą powierzchnię. Z przystani odpływa prom, od drugiej strony od Uanes, przy zsuwającej się prostopadle do wody skale, kilka białych żagli. Wśród gór, które zamykają horyzont, welony śniadej mgły”.

(NzC12)

„Las jesienny, jakby przeszedł przez niego smutek i wszystko uciszył. Ptaki wydają wątpli głosik, jakby nie miały serduszek. Natomiast tak silną barwą okraszają liście, że mrużę oczy. Od bladej cytryny, przez wszystkie odcienie żółci, brązu aż po przerażony krzyk purpury. Milczący krzyk”.

(NzC25)

Barwa łączy się nierozzerwalnie ze światłem, które rozgania mrok, ale jednocześnie tworzy irracjonalne krajobrazy: „W drodze powrotnej widzę podwójną wodę: / fiord rzeczywisty i ten urojony przez światła // barek i maszty poławiaczy przygód” (W78). Także we mgłę świat traci realność: „w końcu nic już nie znaczy / »blisko« czy »daleko« / uśmiech czyjś lub łza – / przemakalna i biała jak mleko / wszystko połknęła mgła” (W89). Rozmazany, niewyraźny świat staje się impulsem do kreacji i domysłów. Podpowiadanie rzeczywistości kształtów to gest iście artystyczny, demiurgiczny.

Także motywy akwaticzne stanowią istotny składnik poetyckiego terytorium Tadeusza Gierymskiego, a sceneria nadmorska to najczęstszy towarzysz rozmów kochanków: „Widzę ze skarpy: idzie brzegiem morza, jej stopy / rozpryskują wodę, te pomarszczone języki sunące / po piasku, uformowanym w małe przyzmy” (T31), „Nad wodą stojąc wspina się na palcach / Jakby zobaczyć chciała morze z drugiej strony” (WzC88), „Nieprawdaż, Tulio, siwe morze, / jakby rozbite srebrne lustro?” (WzC90). Twórca nie zapomina też o turystycznych walorach morza: „człowiek wyjeżdża nad morze / siada na brzegu / zdejmując obuwie / fala liże stopy / rytmicznie zawzięcie” (W42). W *Notatkach z czasu* autor zapisał:

„Znowu morze. Nie znudzi się nigdy. Jego zmienność zależna od światła, wiatru, temperatury. Morze trzeba studiować jak twarz ukochanej osoby. Ten rzeczownik powinien być rodzaju żeńskiego. Życie wyszło z morza i runie z powrotem w jego nirwaniczne uspokojenie, ukojenie”.

(NzC68)

Przecież kręte nurty rzek stanowią analogię do ludzkich losów: „Pędzące na wschód chmurzyska / pękają jeziorami / i błękitne kry płyną ku morzu // Ku jakiemu morzu?” (W47). Deszcz jest natomiast obiektem oczekiwania: „Długo czekałem na ten deszcz, / co teraz pluszcze, dzwoni w rynnach, / uderza w każdy liść i kwiat” (T28). Nieustanne opady wywołują jednak mroczność, niepokój i smutek: „nad udeszczoną ziemią” (WzC101), „deszcz pędzący jak ekspres cynkową rynną” (WzC119). Zacytujmy także *Notatki z czasu*: „Od trzech tygodni od morza pędzą granatowe chmurzyska, świszcze wiatr, na strychu łomoczą jakieś demony, gną się korony drzew, jezioro rozhuśtane, wściekle” (NzC79), „Wciąż pada z jakąś okrutną rytmicznością: ulewa, pauza i znów ulewa. [...] Deszcz przynosi na swych łotkach rozdrażnienie, trwogę, która z każdym dniem rośnie jak pisklę sępa. Deszczu – błagam – przestań!” (NzC79, 80).

Woda niesie łagodność, spokój i harmonię: potok „miętko szemrzący” (W87), „woda / w jasnoniebieskiej łusce” (W93); z czasem nabiera jednak gwałtowności oraz dynamiki: „Ten żółty potok, pszczela struga, / przebija się przez wał kamieni / do matki-rzeki” (W75), „A strumień żółcią pryska, / wiję się węzem, drażny kretem, / spada z łomotem w dół z urwiska, / oblewa stojącą kobietę / z długim warkoczem” (W75), „Wody zuchwale gwałtowne [...] / Bezdroża skalisk i bagien / Kopuły gór łyse nagie // Długie fiordów jezory” (W86). Morze staje się „nadąsane, burzliwe podgryza piaszczysty brzeg” (NzC30). W konsekwencji budzą się ponure pejzaże: „Wody smutne a cierpkie od wierzchu aż do dna, / Mazie czarnych torfowisk, rybne mórz szpiarnie / Sięgające do kresu, gdzie polarne światło” (W82).

Ważnym wątkiem ekologicznych dysput Tadeusza Gierymskiego są drzewa, stąd częste uczłowieczenie lasu: „klony podchodzą do ruin / zdruzgotanego dworu” (WzC24), „zmarwiały las od jesieni / czesze swe żółte włosy” (W113), „Drzewa w komzach białe się modlą” (P65), „Żółta modlitwa drzew, czerwone hymny drzew. W jesiennej ciszy eksploduje cisza. Po liściach dębów spływa krew” (NzC75), „dębowi bogowie” (P14). Las przenika trwoga i niepokój: „przez uszy cisza przeciąga bezszelestne wozy / naładowane leśną trwogą” (P64), lecz podmiot potrafi cieszyć się każdą chwilą w gęstwinie: „W głębi lasu, wśród sosen, świerków, potężnych dębów, buków, znalazłem drzewko czereśni” (NzC63). W *Notatkach z czasu* znajduje się również fragment o samotniczym dębie:

„Samotnik. Dąb. Urodził się i wzrastał kilkanaście metrów za ścianą lasu. Jakby jego forpocza. Oślepiająca czerwień liści. Większość opadnie, rozpedzi je wiatr, niektóre dotrwią wiosny. Podchodzę do drzewa, dotykam kory. Gruba, ciemna, głęboko splekana. Pod drzewem żółędzie. Podnoszę jednego, oglądam. Jest pękaty, ma płaską podstawkę i tkwi w płytkiej, talerzykowej miseczce.

Nigdy nie byłem podobny do tego drzewa. Ale mi imponuje swą mocą i trochę samotnym, melancholijnym pięknem”.

(NzC21)

Motywy upływającego czasu, śmierci, życia ludzkiego i przyrody znalazły zespolenie w tym prawie modlitewnym uniesieniu:

kiedy będę umierać
chciałbym żeby las
z całym swoim teatrem
stanął przy mnie
i spokojnie czekał
(W69)

Można nawet zaryzykować stwierdzenie, iż wśród drzew podmiot czuje się znacznie lepiej niż w świecie ludzkim: „tak przeto chodzę od drzewa do drzewa / jak przedtem od człowieka do człowieka / odkąd korą są wargi a gałęzią oczy / odkąd są słowa sypaniem się liści” (P82), „czego miałbym oczekiwać / obejmowałem pień drzewa” (R24).

Jak już nadmieniałem, z przyrodą ściśle spleciona jest erotyka. Dominuje przecież parzenie na kochankę właśnie jak na obraz natury: „zakwitłaś chabrem” (P45), „dłoni łopian” (P44), „przepiórki piersi” (WzC104), „przyplnę do ciebie łabędziem” (P27), „twój głos to dźwięk jednej kropli Oceanu / albo szum białej brzozy” (T7), „winogrona / twoich piersi / bielsze od cynku / jędrniejsze od zgubionej w trawie mandarynki” (T11), „małe gniazdko twych palców” (T34), „ciepły maszyw ud” (T26). W opisach miłości należy podziwiać subtelność i delikatność: „Jeszcze chwila a wilgi z twych do mych rąk sfruną / I paprocie zakwitną krwisto między nami” (P62), „Jesteśmy tylko my, / jak dwa kłosa / na wymarłej Ziemi” (T19), „Nasze usta mają wspólny język, / który śpiewa jak wiosenny ptak” (T21), „moja miłość – ziemską gorącą / jak sypki piasek” (T29). Natura nie tylko towarzyszy emocjom, ale aktywnie uczestniczy w akcji miłosnej:

Kilka metrów dalej umęczona wiatrami karłowata
sosenka. Boczne konary poskręcane jakby po jakiejś
torturze. Odpoczywa – nie ma wiatru.
Obok niej bujny, wysoki i rozłożysty krzew głogu.
Jego rozliczne owoce już poczerwieniały.
(T31)

Pejzaż tworzy atmosferę liryków, doskonale wyraża uczucia i przeżycia podmiotu (pejzaż mentalny):

Nic mi się nie chce, siedzę i patrzę przez okno
Na przekwitłe rośliny, które w deszczu mokną,
Na całe moje życie – na drzewo, z którego
Wicher liście potrząsnął. Wszystkie. Prócz jednego.
(W21)

Wśród ciszy słyszalne jest jedynie bicie ludzkiego serca:

paraliż wiatru
nieruchomość
drzewa stanęły w ćwierć baletu
kwiaty w filozofii zdziwienia
ptak połknął swoje bursztynowe trele
[...]

tylko nasze serca
biją głośno
(WzC103)

Przyroda to źródło najczystszych przeżyć estetycznych i konstatacji metafizycznych: „stałem na brzegu morza / wieczność krzyczała głosem mewy” (WzC94). Wynotujmy dwa fragmenty z *Notatek z czasu*:

„Stoję przy otwartym oknie. Jedwabne nitki jaskółek. Przez korale wiśni, szmaragdowe piętra gałęzi patrzę na najświeższe niebo. Cud jednostkowego istnienia”.
(NzC18)

„Idziesz bukową aleją, mży wilgocią, masz rozpięty parasol, ale odchylasz go. Setki mikroskopijnych kropelek lądują na twojej twarzy. Wokół cisza, spokój, nie ma przechodniów. Czujesz mokry smak istnienia i wiesz, że na pewno jesteś, choćby kilka systemów filozoficznych zaprzeczało twojemu byciu i światu, mimo że towarzyszy ci zawsze ból istnienia”.
(NzC32)

Udane są także próby haiku, gdzie atmosfera wiersza zostaje oparta na przeniknięciu obrazu rozważaniami na temat bytu, wówczas dokonuje się zespolenie obserwowanej przyrody oraz czującego podmiotu. Przytoczmy *słońce i rosę*: „Na trawie tysiące szpilek słońca, / Rosa przygotowuje się do odlotu / w nieistnienie” (W95). Wprost do metody delikatnego i subtelnego szkicu wierszy „japońskim piórkiem” odnosi się opis świtu zawarty w *Notatkach z czasu*: „Jakby ktoś pociągnął japońskim pędzelkiem albo nakleił na szkliwo nocy jaśniejsze pasemko” (NzC11).

Funkcję tła dla rozważań nad kondycją ludzką pełni również muzyka: „dzień samotny się wynurza, / jak z nut świetlisty Bacha chorał / lub zagłuszona trzmiel róża” (WzC90). Motywy foniczne współbrzmia zatem z przyrodą, a właściwie, w co trudno bez lektury uwierzyć, owa osmoza stawia muzykę po stronie natury: „Nastawiam kompakt z muzyką Ravela. Dźwięki jak krople słońca, deszczu. Nenufary na wodzie” (NzC38), „ciemny warkocz fiordu / [...] / drąży bez snu zwaliska skał / w których rozszemrały się rozsrebrzyły / Szymanowskiego smyczki” (WzC25). Zafascynowanie rytmem znalazło odzwierciedlenie w melodyce wielu wierszy Tadeusza Gierymskiego, sączących się łagodnie do świadomości, a zwłaszcza podświadomości czytelnika.

Dodajmy, iż poeta sugestywnie kreśli świat zwierząt, ptaków (szczególnie leśnych), owadów, wyrażając postawę bliską franciszkanizmowi. Umiłowanie wszelkich stanów natury odzywa się w *Podziękowaniu dla córki*:

Dziękuję za fiolet fiordów, skrzydlate wody jezior,
posępność gór, urodę jarzębin w czerwonej aureoli.
Dziękuję za małego jeża Sebastiana,
za czarną owcę Lili i gila,
jakiego zobaczyłem w październiku.
(P79)

Wzruszający jest obraz śmierci psa Kory – towarzyszki podmiotu lirycznego: „śmierć / w postaci otwartego kabrioletu / z zagraniczną rejestracją / przeniosła jej duszę kudłatą / w pieście niebieskie zaświaty” (P69), zwierzę to pojawiło się już w wierszu *Rankiem*: „o szóstej idziemy po mleko / ja [...] / i stara leniwa suka Kora” (R83). W wierszach Tadeusza Gierymskiego znajdują swoje legowiska, siedliska i gniazda także m.in. zięba („zamilkł

nawet śpiew zięby”, W106), dzieciół („dzieciół zapukał w kostkę powietrza / drzewa stanęły w drodze po naręcze liści”, W114), łabędzie („płyną teraz tam gdzie nie wiem”, W115), jeź („W ogródku zjawił się jeź, / kolczasty, dobry nieprzyjaciół”, WzC67) czy jeleni („Oszalał i rozrzucił racicami śnieg / Jak fioletowe siano”, W112). W *Notatkach z czasu* skrzy się poetyckie foto:

„Zwykle na progu domku wygrzewa się w silnym jeszcze słońcu czarny kot, biegają dwa wesołe, młodziutkie szczeniaki. Zmierzcha się. Po zrózowiałej wyżynie nieba wloką się pasma konopnych chmur, ale powietrze miękkie, czyste, orzeźwiające”.
(NzC24)

Jako podsumowanie naszych eksploracji i przepraw przez twórczość Tadeusza Gierymskiego niech posłuży urywek z wypowiedzi teoretycznie Nieliterackiej, użytkowej, czyli z wywiadu pt. *Nie znoszę małostkowości*, jakiego twórca udzielił redakcji pisma „Aleje 3” (nr 36, 2001, s. 28) z okazji przyznania nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury w 2001 roku. Na sugestię rozmówcy, że artysta wszystko widzi w czarnych barwach (sam określa siebie jako „łagodnego pesymistę”), odpowiada słowami prawdziwego poety:

„Uwielbiam przyrodę w ogóle; drzewa, szum w gałęziach wiatru, biedronkę spacerującą po dłoni, którą trzeba obracać, żeby owad nie spadł, plusk łyski w szuwarach, wrzos, polne kwiaty, gwiaździste niebo, żółte dziewanny, jałowce o najrozmaitszych kształtach, pierwsze czerwone poziomki, sikorki (te niebieskawe i czerwone), cierpką w ustach tarninę, teatr chmur, kiedy zachodzi lub wschodzi słońce”.

Objaśnienia:

1. W szkicu zastosowano następujące skróty tytułów książek Tadeusza Gierymskiego:
R – *Rosa i rdza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982;
W – *Wiersze*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1999;
WzC – *Wyścig z Czasem*, Wydawnictwo „e media”, Częstochowa 2002;
T – *Tulia (erotyki)*, Wydawnictwo UNTERNET, Częstochowa 2003;
P – *Piołun*, Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM”, Częstochowa 2003;
NzC – *Notatki z czasu*, wyd. 1.: Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 2001.
2. Cyfra arabska obok skrótu oznacza numer stronicy, z której pochodzi cytat.

Konrad Ludwicki

O NOTATKACH Z CZASU TADEUSZA GIERYMSKIEGO

W depresję popadam bez konkretnej przyczyny
(Tadeusz Gieryski, *Notatki z czasu*)



Tadeusz Gieryski należy do literatów regionu częstochowskiego nieco zapomnianych, jeśli przyjąć, że – po swej nie tak odległej śmierci (2009) – był kiedykolwiek szczególnie wspominany. Szerzej w humanistycznym obiegu i literackim dyskursie istnieją – że ograniczę się do współczesności – na pewno Jerzy Liebert, Władysław Sebyła czy Ludmiła Marjańska¹. Bardziej obecni w ogólnopolskim dyskursie wydają się być też Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin czy Waldemar M. Gaiński. Być może czas dokona weryfikacji spuścizny Gieryskiego, przyznając mu bardziej znaczące miejsce. O ile w ogóle czas, a raczej następne pokolenia, mogą dokonać takiej rewizji.

Dziś, nie tylko w literaturze, ale w ogóle w szeroko rozumianej sztuce (czy też osobliwościach, które uzurpują sobie miano „sztuki”), zjawiska artystyczne² przegrywają z popolitością i umiejętną promocją. Przegrywają z prowokacją i transakcją. A może po prostu twórczość Tadeusza Gieryskiego nie jest zbyt eminentna? Jakkolwiek, co by o niej nie mówić, na pewno potrzebna. Warta uwagi chociażby ze względu na swą oryginalną i – w dobrym tego słowa znaczeniu – staroświecką w swej formie i treści, niszę, w jakiej się znajduje. Nadto istnienie bądź nieistnienie w obszarze literatury (cóż to tak naprawdę znaczy?)³, jak i w ogóle wyobrażenie realizacji twórczej bądź niespełnienia miłości w sobie niełatwy do nazwania stopień względności.

Zacznijmy klasycznie – od kilku faktów z biografii. Tadeusz Gieryski to rocznik 1928. Urodził się w Płońsku. Z wykształcenia polonista. Dyplom otrzymał na Uniwersytecie Łódzkim. Od 1954 roku mieszkał w Częstochowie. Jego debiut to rok 1955 i wiersz pt. *Przeciw wojnie*, wydrukowany w „Tygodniku Powszechnym”:

„Jednakże swój pierwszy arkusz – o czym pisze Arkadiusz Frania – wydał dopiero 23 lata [*de facto* 21 – K.L.] później (*Krótką oda do lampy*, Częstochowa

1976); sam autor za właściwy debiut uważa opublikowany nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej tom *Rosa i rdza* (Warszawa 1982). Mimo iż książka zyskała znakomite noty recenzyjne krytyków i rejestratorów powojennego życia literackiego (Ryszard Matuszewski, Stefan Jurkowski), następny zbiór T. Gierymskiego ukazał się dopiero w 1999 r. pod bezpretensjonalnym i skromnym tytułem *Wiersze*⁴.

Po przyjeździe do Częstochowy podejmuje pracę w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Władysława Biegańskiego. Następnie w latach 1956-59 jest sekretarzem redakcji „Gazety Częstochowskiej”, a od roku 1960 pracuje w Wojewódzkiej Bibliotece Pedagogicznej.

„Drukuje w prasie lokalnej i ogólnopolskiej. (...) Poza «Tygodnikiem Powszechnym» – w «Poezji», «Życiu Literackim», łódzkich «Odgłosach», «Nowym Wyrazie», bydgoskich «Faktach», rzeszowskim «Prometeju» oraz w prasie częstochowskiej («Nad Wartą», «Mini Galeria», «Dziennik Częstochowski – 24 godziny» i «Aleje 3»). Poza poezją uprawia nowelistykę, publicystykę regionalną, pisze recenzje teatralne i literackie. Współpracuje z Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi»⁵.

Z ważniejszych faktów odnotować wypada, iż w latach 1971–1981 angażuje się Gierymski w prowadzenie Klubu Literackiego działającego przy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Częstochowie, a w latach osiemdziesiątych pełni literacką opiekę nad Klubem Młodych Twórców przy ZW ZSMP, gdzie prowadzi warsztaty poetyckie. Pisarz i poeta współpracował też z Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater”. Jest laureatem m.in. Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury i historii (2001). Dla porządku przypomnijmy, że zmarł 22 listopada 2009 roku w Częstochowie i tu też został pochowany na cmentarzu św. Rocha.

Zróznicowana twórczość Tadeusza Gierymskiego jest cokolwiek nierówna artystycznie, a i, śmiem twierdzić, światopoglądowo. I tak obok świetnych wierszy w tomiku *Rosa i rdza* (1982) są i ciut egzaltowane i sentymentalne erotyki *Tulia* (2003)⁶. Obok potrzebnej i zajmującej książki *Region częstochowski w literaturze pięknej* (2003) pojawiają się na przestrzeni lat teksty, głównie felietony, co nieco emfaticzne⁷. Gierymski w swej eseistyce i polemikach zmienia sympatie i przekonania. Czasami mówi coś, czemu w innej rozmowie zaprzecza etc. Z wiekiem staje się też specyficznie przekorny. Dotyczy to zarówno, przykładowo, jego odniesień do Częstochowy, jak i do pewnych osób. Ilustracją może być choćby jego stosunek do Waldemara M. Gaińskiego, którego najpierw hołubi, a po czasie dezaprobuje⁸. Wystarczy przeczytać kilka rozmów-dysput z Tadeuszem Gierymskim odbytych na przestrzeni lat, by dostrzec w nich pewne antynomie dotyczące miejsc i osób⁹. Wróćmy jednak do jego twórczości. Ostatecznie przecież tekst literacki to niezgłębiony rezerwuuar masek na każdą niemal sytuację. To narzędzie do naszych oddaleń – separacji od innych i od nas. Stąd i antynomie.

Jak zauważa Arkadiusz Frania: „Grzechem środowiska Częstochowy jest dopuszczenie do sytuacji, w której odkrywca talentu Haliny Poświatowskiej, asystujący wszystkim miejscowym debiutom powojennym, tak późno wychodzi z cienia”¹⁰. No... może nie „wszystkim”, acz na pewno sporej ich części. Jego wielorakie pisanie kojarzy się najczęściej z dorobkiem poetyckim i powszechnie faktycznie mówi się o nim: Gierymski – poeta i „odkrywca talentu Haliny Poświatowskiej”. Niemniej jest on też (piszę „jest” jako że tekst prozatorski

zawsze jest osadzony w teraźniejszości) autorem osobliwego dziennika-notatnika zatytułowanego nie inaczej jak *Notatki z czasu*¹¹. Jednak i w tej książce są strony i zdania świetne, ale i wypowiedzi trywialne (o czym za moment). Być może jest to domena w ogóle literatury – a już na pewno jest to cecha pisarstwa Gierymskiego. Ostatecznie w każdym tworzeniu najczęściej fascynują fragmenty. Nie należy ubolewać, że w *Notatkach* jest podobnie. Nie wykluczone też, że wina jest po stronie czytelnika – mojej po prostu. Odbiorca różnie przecież odczuwa wypowiedź nadawcy i na różne partie tekstu podczas lektury kładzie nacisk. Celnie ujął to Czapski: „Każdy stawia akcenty na inne strony, czytając tę samą książkę”¹².

Autor nazywa swój tekst właśnie mianem notatnika. Tak mówi o jego genezie:

„Po przyjeździe do Częstochowy (1954) zacząłem pisać do lokalnej prasy, co zresztą robię do dzisiaj. *Notatki z czasu* są wyborem z «Gazety Częstochowskiej» oraz, w przeważającej mierze, «Alej 3». Czym one są pod względem treści? Notatnikiem przeżyć, wrażeń i myśli, które mnie ambarasowały i nurtują do dziś. Zapiski są autentyczne, szczere, tą szczerością, do jakiej zdolny jest człowiek”¹³.

Sam tytuł w tym przypadku określa formę (tj. gatunek), a i poniekąd – treść, co przecież nie zawsze w pisarstwie jest prawidłowością. Jednym słowem nazwa-zatytułowanie uściśla, iż czas (jego konteksty) oraz związane z nim wydarzenia (i obszar rozważań) będą myślą przewodnią zapisu. O czymś zbieżnym mówi Elżbieta Hurnikowa i tak wyjaśnia intuicję:

„Pierwszy człon tytułu odnosi się do normy gatunkowej, odsyła do tradycji, w której mała forma literacka zajmuje niebagatelne miejsce. Drugi człon tytułu wprowadza kategorię czasu, istotną w tym zbiorze. Autor podejmuje bowiem wycieczkę w głąb czasu, w głąb własnej biografii, a jednocześnie utrwala chwilę obecną, dziejącą się «na naszych oczach»”¹⁴.

Trudno jednak w książce tej – z pozoru tylko jednorodnej – stwierdzić, gdzie kończy się notatka-dziennik, a zaczyna reportaż, esej czy opis stanów duchowych. Każda strona nosi znamię indywidualności nadawcy. W głównej mierze będzie to otwartość. Cokolwiek bowiem by nie powiedzieć o tekście Gierymskiego, na pewno nie można odmówić mu szczerości. Książka trafia w środek naszych niepokojów i tęsknot. Bezpośredniość autora jest cechą dominującą. Otwartość i prostolinijność to atrybuty jego wypowiedzi. Tak jest najczęściej, kiedy przeważa autopsja i empiria wygrywa z fikcją. Jakkolwiek zawsze istnieje coś, czego człowiek nie powie (nie chce powiedzieć) albo coś, czego powiedzieć nie może. Ostatecznie pewne wyrwy w myślach (a i w tekście) są również osobliwą myślą i tekstem. Przemyślenia Gierymskiego „wyrastają z życiowych doświadczeń, miłości, rozczarowań, cierpienia, nadziei. Odsłaniają osobowość twórcy, jego pasje, zainteresowania, wrażliwość, postawę wobec świata i ludzi”¹⁵. I co jeszcze odsłaniają? Otóż wyjawiają ciągle zastanawianie się nad przemijaniem. Nieustanny bilans życia. Spisywany – bądź prawidłowo – notowany u jego schyłku. Niemniej w psychice ludzkiej znajdują się swoiste zarodki odnowy, które są wciąż żywotne. Gierymski udowadnia – zresztą nie tylko on – że wraz z upływem czasu można nadal odkrywać nowe horyzonty. Głównie wiąże się to z ciągłym pogłębianiem wartości duchowych. *Notatki z czasu* to wypowiedzi dojrzałe będące – w moim odczuciu – pewnym meritem dorobku Gierymskiego. Będące istotą jego myśli, a być może

w ogóle jego *opus magnum*. Tak mówił w *Nocie edytorskiej* o tym wyborze Stanisław Podobiński:

„Niniejszy tom jest zbiorem mądrych, wysublimowanych refleksji o życiu i jego sednie, tj. miłości, o urokach świata, o podróżach, o przyrodzie, o twórczości, o szczęściu i niedoli. Jest w jakiejś mierze sumą doznań poety spisanych nie-regularnie, lecz z systematycznym pragnieniem ocalenia ulotnych chwil i utrwalenia niezwykłości, jaką jest życie”. (s. 5)

To proza poetycka. Nadawca momentami może i nawet nazbyt ostentacyjnie obnosi się ze swoją manierą liryczności. Bo czy nie jest pewną egzaltacją zdanie w rodzaju: „Budowaliśmy demokrację miłości wśród żółtych jaskrów i na piasku sypkim jak pamięć, w czerwonym mroku instynktu i w prakrainie paproci, skąd odszedł lodowiec i zakwitły gaje migdałowe.” (s. 10) Albo zwroty pokroju: „Wolę oczyma całować lazurowy nieboskłon (...)” (s. 160) Niemniej twórca ma prawo do używania słów, jakie uważa za stosowne. Nawet jeśli budują one afektację stylistyczną. Innej poetyki niż poetyka autorska nie ma. Ostatecznie Tadeusz Gieryski jest czuły na język. Píše może i emfaticznie, ale też poprawnie stylistycznie. To przesada charakterystyczna dla pewnego typu, okreśmy ją, czułościowej wrażliwości. I nie ma znaczenia – bo i mieć nie może – *stricte* pejoratywnego. „Jak mało kto – pisze Podobiński – zna wagę oraz rangę, klimat, urok słów i ich odniesień, i w tej maestrii też uwydatnia się Jego szczególna osobowość”. (s. 6) Słownictwo i język to jego warsztat. Językiem się posługuje i o języku – co mu się zdarzało – w sposób krytyczny pisze¹⁶.

Notatki z czasu to wspomnienie kończące się życia¹⁷. To spis i opis wydarzeń – tych niedawnych, ale i tych najdawniejszych. Akcja rozpada się na dwa plany: teraźniejszy i przeszły. Wszak autor pamięta sporo z okresu okupacji. Sam zaś określa siebie „dzieckiem wojny”.

„Jestem wciąż – czytamy u niego – (mimo upływu lat) DZIECKIEM WOJNY, nie z urodzenia lecz doświadczeń, które nie mogą pokryć się patyną, zgiąć w niepamięci. Czas śmierci i udrękę przemijania można unicestwić jedynie przez indywidualną śmierć (...). Dlatego swoim reminiscencjom nadałem tytuł: *Notatek z Czasu*. Kontemplacja przyrody tylko łagodzi wspomnienia”¹⁸. (s. 9-10)

Książkę do druku przygotowywał Gieryski po ciężkiej chorobie. Szło mu więc – o czym pisze – „trudno i opornie”.

„Dzięki Bogu – mówi dalej – pośpieszyli mi z pomocą techniczną: Stanisław Podobiński, szef Wydawnictwa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Edyta Sadowska z tego Wydawnictwa, Justyna Galińska, pracująca w Bibliotece Pedagogicznej oraz p. Anna Jędrecka z Wydziału Kultury, gdzie starałem się o częściową, finansową refundację”. (str. 7-8)

Nie jest odkryciem Tadeusza Gieryskiego, że człowiek rodzi się, dojrzewa, starzeje się i umiera; bo i ta problematyka przede wszystkim stanowi temat jego *Notatek*. Niemniej problematyce tej nadaje on nieco inne sensy. W kontekście ich koncentruje się nierzadko na kwestii wolności woli. Mówi, iż wolna wola winna znaleźć się w obrębie metafizyki. Znaczy to – bo i o tym pośrednio i bezpośrednio pisze – iż w jej ramach winno być mniej-

sce dla takich kwestii jak Bóg czy nieśmiertelność duszy. Samą zaś metafizykę widzi jako obszar pozostający w związku z etyką (sumieniem). Ma jednak też świadomość niewątpliwego „moralnego relatywizmu” z tym związanego – można by poddać w wątpliwość, czy zrozumienie jego jest słuszne (?). Stwierdza:

„(...) czuję w sobie to, co nazywam sumieniem, czyli wydaje się, że rozpoznaję granicę między dobrem a złem. Jednakże między tymi wartościami nie widzę wyraźnej krechy. Granica meandruje jak Linia Curzona i tworzy duże obszary tzw. szarej strefy, gdzie zagnieździł się moralny relatywizm. Tam można odpocząć, odstawić na bok pancerz rygoryzmu. Tego nie robił nigdy doktor Rieux z *Dżumy* Camusa. Ale ja jestem fikcyjną postacią. I przebywam nieraz w moralnej sferze szarości”. (ss 142-143)

Nadto Gierymski mówi, iż wiek – ujmijmy to tak – lat około siedemdziesięciu (bo i w tym wieku jest, gdy pisze znaczną część swoich *Notatek*), nie oznacza zmierzchu ani bodźców seksualnych, ani uczuciowych, ani też zdolności kochania. Mówi: „Czuję intuicyjnie pewną prymarną prawdę, często głęboko ukrytą w człowieku, że żyje on przede wszystkim po to, aby kochać”. (str. 49). Zaś kilkanaście stron dalej stwierdza: „Kiedy pytam samego siebie o wartość mojej miłości, wiem, że nie mogę już kochać. Nadmiar wężowej samowiedzy stanowi przeszkodę, której nie umiem ominąć”. (str. 109) Obydwie wypowiedzi – nie są paradoksalne – nie muszą się wykluczać. Wiek dojrzały będzie zawierał niejako nowe wymiary miłości. „Prawdziwa miłość to idealna spółka egoizmu i altruizmu” (s. 27) – mówi Gierymski. Czy jednak tutaj wolno przyznać mu rację? Trudno mu jej w powyższej kwestii udzielić w pełni. Wprawdzie pojmuję intencję i skróty myślowe nadawcy, które są raczej przekorą (?) – to jednak nie wolno mówić o miłości złożonej z egoizmu. Zdanie zostawia Gierymski bez komentarza. Wie on, że byt nie ma większego sensu, jeśli nie będzie motywowany miłością.

Autor zachwycą się również cielesnością młodych dziewczyn. Owych nastoletnich, cudowności, czytających mu poezję, napisaną kilka tygodni wcześniej. Ów krytyk-poeta nobilituje urodę czytających, nie ich lirykę. Bardziej zajmuje go fizyczność autorek, niż nie najlepszy – jego zdaniem – tekst. Pisze:

„Przychodzi dziewczyna z grubą teczka kartek. To wiersze. Mam je przejrzeć, ocenić, powiedzieć o nich coś raczej dobrego. (...) Wiersze są złe, banalne, rozpoetyzowane. Czy mam powiedzieć, że nie są wiele warte? Że ta serdeczna emfaza, nadętość, to grafomania najlepszej próby? Robi mi się smutno. Ma takie śliczne oczy, osłonięte, gdy czyta, parasolkami długich rzęs. (...) Dziewczyna deklamuje już prawie godzinę (...), a ja nalegam, żeby czytała dalej”. (s. 128)

Gierymski często „zakochuje się” w jakiejś subtelnej i zgrabnej piękności. Widzi je na ulicy, w tramwaju, gdziekolwiek bądź. „Takie miłości przeżywam wciąż – pisze – chociaż zauroczenia trwają krótko, bo obiekty moich miłości zaraz znikają w rzeczywistości, która ma tyle zakamarków, skrytek, cienia”. (s. 140)

Tadeusz Gierymski, pisząc *Notatki z czasu*, jest – trzeba to powiedzieć – u schyłku życia. Wolno przypuszczać, że wówczas smak egzystencji jest szczególnie intensywny. Nie jest odoosobniony w swoich potrzebach. W wieku XX u wielu prozaików doświadczenie choroby wpływało niejako na jeszcze silniejszą potrzebę bycia¹⁹. Pragnienia fizyczne słabły

jedynie pozornie. Anatole Broyard, którego zapiski tuż przed śmiercią są cokolwiek zbieżne w swej wymowie i sensie z doświadczeniem Gierymskiego, wyznaje:

„Gdy byłem w szpitalu, przez cały czas wyglądałem przez okno, patrzyłem na prawdziwy świat, który jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak upragniony. Sugerowałbym, że podsycanie pragnień, ich odkrywanie, wyobrażanie sobie albo przywoływanie jest najlepszą drogą do pozostania przy życiu”²⁰.

Gierymski z taką samą siłą pisze o miłości i pożądaniu, co o chorobie i śmierci. Życie i śmierć nie są przeciwieństwami, lecz raczej stanowią dwa wymiary tego samego. „Prawie wszyscy chcielibyśmy spotkać wielką, piękną miłość” (123) – stwierdza, a kilka zdań wcześniej relacjonuje: „W chwili wchodzenia po stopniach do wozu – nagle karuzela w głowie i wszystko ciemnieje. Miałem już kiedyś podobne omdlenie” (s. 122-123). Życie i śmierć funkcjonują u niego w obrębie samej i tej samej egzystencji. Mówi: „Przez całe życie umieramy. I jednocześnie się rodzimy. Pół na pół” (s. 127). Cechą prozy Tadeusza Gierymskiego jest łączenie tematów błahych i poważnych. Zwróciła na to uwagę Wioletta Grzegorzewska, która o jego narracji pisze: „Mocną stroną opowiadań (...) jest umiejętność łączenia rzeczy wielkich i małych. (...) Zwykli ludzie, zwykłe wydarzenia mogą kryć w sobie głębokie znaczenie i to umie uchwycić (...)”²¹. Grzegorzewska mówi o *Opowiadaniach najkrótszych* (Częstochowa 2002), niemniej podobnie rzecz ma się w *Notatkach z czasu*. I tu autor integruje problematyki poważne i błahe, dając przy tym nieraz proste odpowiedzi na nie tak proste pytania. Bądź może raczej przywołuje repliki oczywiste, bo bezdyskusyjne. Ostatecznie Gierymski wciąż poszukuje odpowiedzi – poszukuje prawdy. I to też stanowi wartość jego jako twórcy. Trafnie ujął to ongiś (a konkretnie w roku 1894) André Gide przywołujący G. E. Lessinga:

„Wartością człowieka nie jest prawda posiadana, ani ta, którą w swoim mniemaniu posiada; jest nią szczerzy wysiłek, aby ją zdobyć. Bo nie przez posiadanie, ale przez szukanie prawdy człowiek pomnaża swoje siły i siebie udoskonala (...)”²².

Tadeusz Gierymski w swoim zapisie często powraca do przeszłości. Obecna rzeczywistość i dostosowanie się do niej nie są dla niego łatwe. Czas teraźniejszy konfrontuje on z tym, co minęło. Wyraźnie pamięta wydarzenia z dzieciństwa i młodości. Da się zauważyć w *Notatkach z czasu* dominację pewnych zjawisk, nazwijmy je – regresywnych – nad konstruktywnymi. Dotyczy to zarówno biologii człowieka, jak również procesu tworzenia. „Poezjowania” – jak określa rzecz Gierymski:

„Żywy organizm od pewnego momentu już się nie rozwija, przeciwnie – zaczyna ulegać powolnej destrukcji. Podobnie, lecz z licznymi wyjątkami, ma się rzecz z poezjowaniem. Następuje apogeum sił twórczych, potem stopniowe stacanie się w dół. Poetów wybitnych nie dotyczy ta degrengolada”. (s. 172)

O czym są jeszcze *Notatki z czasu*? Otóż są o przyrodzie. Bądź jeszcze inaczej: o pięknie natury²³. Zaczniemy od matki natury, bo właśnie tak zdaje się czuć ją i widzieć autor *Notatek*. Jest ona dla niego źródłem inspiracji i wytchnienia. W pejzażowej scenerii pojawia się u Gierymskiego często rodzaj literackiej anegdoty. Przedstawia pejzaż i czuje jego ducha, zmieniającego się według pór roku. Wyjątkowo obrazowo potrafi on opisać przyrodę Nor-

wegii. Mieszkał tam u swojej córki i jej męża wraz z – jak o niej pisze – „ukochaną wnuczką”²⁴. „Spędziłem tam w sumie cztery lata” (s. 125) – mówi. To właśnie opisy przyrody Skandynawii (po niej są opisy ukochanej przez autora Jury) dominują w *Notatkach z czasu*. Zachwyciła się nimi – jeszcze w cyklu *Przywiezione z Norwegii* (z tomu *Wiersze*) – Ludmiła Marjańska. Wypadałoby za nią powtórzyć, jako że te spostrzeżenia są adekwatne również wobec *Notatek*:

„(...) oprócz znakomitych opisów tamtejszego krajobrazu jawią się nostalgiczne refleksje nad życiem i przemijaniem. (...) Fiordy, polarne światło – Gierymski umie to ukazać, a mówię o tym z pewną zazdrością, bo będąc parę lat temu w Norwegii nie potrafiłam znaleźć słów na ich opisanie. Może trzeba tam dłużej przebywać niż kilka dni, kiedy wrażenia z podróży nie zdążą zmienić się w słowa?”²⁵

Bez wątpienia rację ma nestorka polskiej poezji. Również byłem w Norwegii. Natura tam jest na pewno znacznie trudniejsza do opisu niż plener i flora np. w Polsce. Przyroda norweska, nawet latem, jest ascetyczna i dzika. Autorowi udaje się ukazać zjawiska trudno wyrażalne. Bo tak jest często w przypadku surowego pejzażu, który chcemy uzewnętrznnić słowem. Jest u Gierymskiego zachwyt kolorem, są motywy akwaticzne, jest dźwięk. Jest wreszcie współistnienie z przyrodą. Koegzystencja, gdzie zmiana pogody i przestrzeń przyrody wpływają na samopoczucie. Sam nadawca przyznaje się do tego, że jest meteoropatą:

„Ucichł wiatr, przestało koziółkować ciśnienie atmosferyczne. Wstałem z łóżka, kiedy wełna chmur była już rozjaśniona, a moje nerwy mniej rozdygotane. Około szóstej zaczęły się na niebie pokazywać bławatki błękitu. Nieśmiało, wstydlive jak pierwsze kochanie, co mogą prorokować wielką miłość albo tylko przelotne ukojenie. Kim jesteś? Meteoropatą”. (s. 125)

Gierymski pojmuję, iż śmierć – a przecież co rusz mówi o jej odczuwaniu – nadaje pełny sens ludzkiej egzystencji, ponieważ jest ona postrzegana jako przejście do Życia. Rzecz jasna nie pisze o tym tak, jak ja to ująłem, niemniej snuje wnioski, których istota brzmi podobnie. Przywołajmy jeden z wielu cytatów: „Rodzimy się ze stygmatem śmierci. Ergo, wraz z końcem życia umiera też śmierć. Zło śmierci tkwi nie w niej samej, tylko w umieraniu. I tego najbardziej się lękamy.” (s. 132)

W swoim dojrzałym wieku wie też, że przymus, bądź może lepiej: potrzeba „być” i potrzeba „mieć”, funkcjonują równolegle. Są współrzędne. Wpływają bowiem ze wspólnego bodźca, jakim jest niepokój. Biorą się chociażby – o czym z różnym natężeniem mówi autor – z lęku o najbliższych, ale przede wszystkim z troski o siebie – o zdrowie i własny byt. To właśnie taki typ zaniepokojenia zapuszcza swoje korzenie w konstatacji schyłku egzystencji. Niepokój ów przeistacza niejako skalę priorytetów. Ukazuje istotę wartości duchowych (wszak generalnie autor czerpie ze świata ducha²⁶), które potęgują niejako potrzebę trwania. Uświadamiają jego sens. Bo przecież Gierymski – raz jeszcze przytaczając słowa Elżbiety Hurnikowej – „przypomina prawdę, do której każdy z nas dochodzi kiedyś sam. Z biegiem czasu wszyscy stwierdzamy, że najbardziej bezcenny jest sam fakt istnienia”²⁷. W każdym człowieku zamknięty jest cały jego świat. Z wiekiem ów świat staje się coraz to bardziej światem i czasem przeszłości i marzenia. Tak to ujmuje autor:

„Dwa rodzaje marzenia. Pierwszy skierowany ku przyszłości, drugi ku przeszłości, *ex post*, czyli retrospekcyjny. Naturalnie, ten pierwszy rodzaj dotyczy z reguły ludzi młodszych, mających przed sobą możliwości zmiany losu, życia. Te dwa typy marzenia różnią się i tym, że pierwsze mogą się urzeczywistnić lub nie, drugie tylko nie, ponieważ przestawić figury na szachownicy, na której się grało przed laty – jest niemożliwe, nierealne”. (s. 174)

Jego osobliwa polemika z Absolutem – bo i to stanowi treść *Notatek* – zaczęła się na początku młodości. W tekście obserwujemy schyłkową fazę tego konfliktu, który trwa u Gierymskiego przez całe dorosłe życie. Jak stwierdza: „Zająłem się filozofią, wadzeniem z Bogiem. Te spory zaczęły się dużo wcześniej, a mianowicie w pierwszych dniach września 1939 roku” (s. 9). Krótko mówiąc, w *Notatkach* da się zauważyć zarówno owo wadzenie się z Bogiem, jak i wadzenie się ze światem i z samym sobą – zatem i pewne problemy teodycealne są także treścią zapisu. Ostatecznie jednak interpretuje on relatywizm i dualizm świata opierając się przeważnie na wierze. Piszę „przeważnie”, jako że i przyziemna (agnostyczna?) interpretacja nie jest mu obca. Obie przecież w swej koegzystencji nie są aż tak paradoksalne:

„Świat, w którym żyjemy – jak ujął to Tomasz Halik – jest głęboko ambiwalentny i rzeczywiście daje możliwość obu interpretacji: ateistycznej i opartej na wierze (...). Rzeczywistość stoi przed nami jako niewyczerpana tajemnica, pełna paradoksów, otwarta na wielość alternatywnych interpretacji”²⁸.

Tadeusz Gierymski nie jest – jak mogłoby się wydawać patrząc na jego niewątpliwy egocentryzm – typem samoluba; jeśli już, to raczej samotnika. Jest on samotnikiem, nie stroniącym jednak od ludzi. Człowiek łąnie na ogół do tych, którzy są jemu podobni – i nawet jak patrzą na świat inaczej, to wspólne są im pewne wartości. Autor swoje spotkania również – acz incydentalnie – wspomina w tekście *Notatek*²⁹. Spotkania z innymi ludźmi są dla Gierymskiego jednym z ważniejszych sensów ludzkiej egzystencji. Zresztą ów sens dotyczy wielu ludzi. Może to właśnie spotkanie z drugim człowiekiem nadaje ludzkiemu życiu prawdziwą treść? Trafnie ujął to, przywołując opinie innych, Krzysztof Michalski:

„O sensie mojego życia, tak jak zresztą o każdym sensie, decyduje – twierdził Hegel, twierdził też Marks – nie refleksja nad samym sobą, nie kontemplacja natury, lecz stosunki społeczne czy, jak by to powiedział Tischner: spotkania z innymi ludźmi”³⁰.

Reasumując: *Notatki z czasu* w zasadzie – pomimo zdawkowego opisu wydarzeń i epizodów z życia autora – nie tyle są o czymś, ile same w sobie są czymś. Czymś, w swej treści, osobliwym dla Tadeusza Gierymskiego. Przeprowadza on wiwisekcję swoich stanów wewnętrznych. We wszelakich dziennikach, notatkach, brulionach i w ogóle w literaturze – okreśłmy ją – intymistycznej (która jest niczym innym jak potrzebą zapisywania), istnieje pewien rodzaj zahamowania. Zahamowanie u Gierymskiego jest minimalne. Literatura intymistyczna – a przecież w jej obszarze sytuują się *Notatki* – odrzuca z założenia wszelką fikcję. To zapisywanie konfesyjne, będące niczym innym jak zwierzeniem. Nie ma wątpliwości, że uprawia on poletko konfesji pojmowanej jako właśnie wyznanie. Nadawca staje się konfesorem (łac. *confessor* – wyznawca). Pisze szczerze i wprost. Pisze w pierwszej oso-

bie, pisze we własnym imieniu. Prawda dla Gierymskiego to nade wszystko prawda jego doświadczenia. To prawda rozczarowania, jako że w egzystencji swej rozgoryczenie towarzyszy Gierymskiemu często. W wieku dwudziestym podobne spostrzeżenia miał chociażby Emil Cioran: „Spośród wszystkiego, co sprawia, że cierpimy, nic nie daje nam tak wyraźnego poczucia, że wreszcie dotykamy Prawdy, jak rozczarowanie”³¹.

W swoim pisaniu, nie tylko *Notatek*, jest Gierymski – bo trzeba to powiedzieć – typem egomana. Jest zaabsorbowany sobą i reprezentuje (prawdopodobnie nieświadomie) „szkołę” cokolwiek narcystyczną. On sam – Tadeusz Gierymski – jest w jej centrum, stanowi kryterium i punkt odniesienia. Oczywiście ma do tego prawo. Zresztą jego „wszechnica” daje, w znacznej części tekstu, zajmujące efekty i nie nuży czytelnika.

Krótko mówiąc, *Notatki z czasu* to wolumin dziwnie rozczarowujący, lecz równocześnie dziwnie ciekawy. Rozczarowuje, ponieważ nierzadko jest w nim egzaltacja, klikiowość stylu i pospolitość myśli. Ale też frapuje, bo w jego treści, obok trywialności refleksji, jest i jej niepowierzchnowość. I właśnie dla tych mądrych intencji warto po niego sięgnąć.

Z dziennika Gierymskiego pozostało mi w pamięci kilka profetycznych zdań – na przykład: „Cały dramatyzm życia, jego bujność, piękno, straciłyby na wartości. Życie dopiero w perspektywie śmierci ma sens”. (s. 116)

1 Tym właśnie twórcom-poetom (dodać dla porządku trzeba jeszcze Halinę Poświatowską) poświęcona jest książka – ze wstępem i wyborem wierszy Elżbiety Hurnikowej – *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”*. *Antologia wierszy Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej, Ludmiły Marjańskiej*, Częstochowa 2006.

2 O tym, czym jest artyzm w sztuce i literaturze, pisałem w książce: K. Ludwicki, *W kręgu kultury i literatury wieku XX*, Piotrków Trybunalski 2012. Rozpatrywałem go też (głównie w kontekście literackim) w monografii: Tenże, *Pisanie jako egzystencja(izm). Refleksja autotematyczna na marginesie „Księgi niepokoju” Fernanda Pessoa. Wyimki z literatury europejskiej wieku XX*, Warszawa 2011. W tejże publikacji pisałem (w rozdziale VI) na temat gatunku dziennika i jego poboczy jak również na temat literatury konfesyjnej, w której obszarze są *Notatki z czasu*.

3 Czy wyznacznikiem owej obecności w literaturze są przyznane nagrody, kolportaż i nakład? Właściwie w znacznej mierze – tak. Mimo że decydować powinna raczej ponadczasowość i uniwersalność dzieła. Artyzm stylu. Dominuje jednak marketing i promocja – wygrywa ilość sprzedanych książek. Na szczęście nie zawsze.

4 A. Frania, „*Solidne niefarbowane retro*”. *O poezji Tadeusza Gierymskiego*, Częstochowa 2004, s. 5.

5 W. E. Piekarski, Z. Stańczyk (red), *Słownik bibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Częstochowa 2006, s. 107.

6 To, rzecz jasna, wyłącznie moja opinia. Może to i potrzebny oraz szlachetny sentymentalizm. Tak twier-

dzi, odnośnie Gierymskiego, m.in. Arkadiusz Frania, pisząc: „Autor, publicznie głoszący niechęć do sentymentalizmu, czułościowości i liryków karmelkowych, okazał się w tomach *Piołun* i *Tulia* sentymentalistą w najszlachetniejszym, szczerym, bo urzekającym, znaczeniu tego słowa”. A. Frania, *Klasyk z sercem*, w: „Akant” 2006, nr 1 (105), s. 24. Tomik *Tulia* interpretuje też Frania w tekście *Tadeusza Gierymskiego „Pieśń nad pieśniami”*, w: „Akant” 2004, nr 13 (91), s. 42. Mówi tam: „Książka stanowi dojrzałe i mądre opracowanie dyskretnych, delikatnych i jednocześnie drapieżnych związków między kobietą a mężczyzną”. Tamże.

7 Mam tu na myśli teksty w rodzaju *Biała róża przy żłóbku w Betlejem*, zamieszczony w „Częstochowskim Dwumiesięczniku Kulturalnym” 1996, nr 1, s. 11. Rzecz jasna, i ten artykuł ma sporo wartości (głównie poznawczych), jednak daleko mu do najlepszych obszarów nie tylko lirycznej refleksji autora.

8 Por.: felieton *Donosiciel*, „Aleje 3” 1996, nr 3, s. 18.

9 Informacje bibliograficzne dotyczące tekstów Tadeusza Gierymskiego i o Tadeuszu Gierymskim zamieszcza m.in.: A. Frania, „*Solidne...*”, s. 44-45, jak i W. E. Piekarski, Z. Stańczyk (red.), *dz. cyt.*, s. 108-113.

10 A. Frania, „*Solidne...*”, s. 5-6.

11 Zasadniczo cztery książki prozatorskie wydał Tadeusz Gierymski. Wszystkie opublikowane w Częstochowie. Będą to: *Opowiadania najkrótsze* (2002, ss. 126), *Region częstochowski w literaturze pięknej* (2003, ss. 96), *Notatki z czasu* (2003, ss. 196) i *Miscellanea literackie* (2005, ss. 249).

- 12 J. Czapski, *Wyrwane strony*, Warszawa 2010, s. 144.
- 13 T. Gierymski, *Notatki z czasu*, Częstochowa 2003, s. 7. W dalszej części tekstu po cytacie będę podawał tylko numer strony z tejże publikacji. Odwołuję się do drugiego wydania książki, pełniejszego niż to z roku 2001.
- 14 E. Hurnikowa, *Podróż w głąb czasu*, w: „Aleje 3” 2002, nr 39, s. 28. W tym miejscu zaznaczyć trzeba, iż dwa jedynie, zaledwie jednostronicowe teksty, traktują o *Notatkach z czasu*: cytowana przeze mnie recenzja Elżbiety Hurnikowej i wstęp do książki napisany przez Stanisława Podobińskiego, będący jednocześnie *Notką edyorską* wydawcy. Jak widać, omówienie tego utworu prozatorskiego T. Gierymskiego jest nader skromne. Zobacz też: http://pbl.ibl.poznan.pl/dostęp/index.php?s=d_biezacy&f=zapisy&p_tworcaid=431
- 15 Tamże.
- 16 Por. T. Gierymski, *O języku (nie tylko) w telewizji*, w: „Aleje 3” 2007, nr 63, s. 41.
- 17 Wspomnienia są charakterystyczne dla dzienników. Są wręcz nieodzowne dla diariuszów spisywanych pod koniec życia. Mówiło o tym w wieku XX wielu: Czapski, Iwaszkiewicz, Koniński, Marai... – przywołajmy tego ostatniego: „Jednym ze zjawisk towarzyszących starości jest ustawiczne, falujące, ciężkie powracanie wspomnień, które w dawniejszych latach świadomość zasnęła mgłą zapomnienia, mroku czy zbagatelizowała”. (S. Marai, *Dziennik*, przeł. T. Wórowska, Warszawa 2004, s. 371).
- 18 W *Notatkach z czasu* temat wojny pojawia się marginalnie, niemniej Gierymski pisał o nim m.in. w tekście *W Guberni Generalnej* zamieszczonym w „Alejach 3” 2008, nr 67, s. 38-39, jak i we wspomnieniu *Pamięć przez mgłę*, w: „Aleje 3” 2008, nr 66, s. 22-24.
- 19 „Potrzebę bycia”, ale i potrzebę namiętności erotycznej, którą schyłek egzystencji jedynie pobudzał. Na gruncie polskim widać to w życiu i twórczości Karola Ludwika Konińskiego, Jarosława Iwaszkiewicza czy Leo Lipskiego, ale także innych. Piszę o tym szczegółowo w IV rozdziale książki: K. Ludwicki, *Pisanie...*, dz. cyt.
- 20 A. Broyard, *Upojony chorobą. Zapiski o życiu i śmierci*, przeł. A. Nowakowska, Wołowiec 2010, s. 79.
- 21 W. Grzegorzewska, *Spisane na kolanie. O opowiadaniach Tadeusza Gierymskiego*, w: „Aleje 3” 2002, nr 39, s. 27. Grzegorzewska pisze o opowiadaniach, niemniej to samo możemy zauważyć w *Notatkach z czasu*, a pewnie w ogóle w całej twórczości Gierymskiego.
- 22 A. Gide, *Dziennik*, przeł. J. Guze, Warszawa 1992, s. 17.
- 23 Na temat przyrody i jej roli w twórczości nie tylko poetyckiej (ale i marginalnie prozatorskiej) Gierymskiego pisał A. Frania w przywołanej już publikacji „*Solidne niefarbowane retro*”. Pisze też o przyrodzie Ludmiła Marjańska – por. tejże, *Kilka słów o poezji Tadeusza Gierymskiego*, w: „Aleje 3” 1999, nr 24, s. 18. Zarówno Frania, jak i Marjańska, skupiają się m.in. na opisach przyrody Norwegii – również w *Notatkach z czasu* dominuje przyroda skandynawska.
- 24 Podpis pod fotografią zamieszczoną w *Notatkach z czasu* (poeta miał trzy wnuczki).
- 25 L. Marjańska, dz. cyt., s. 18.
- 26 Czerpie z własnego wnętrza i własnej psyche, ale odkrywa nowe rzeczywistości duchowe również z lektury innych. Mówi o tym już na samym początku *Notatek z czasu*. Przywołuje nie tylko pisarzy i poetów, ale i filozofów czy odkrywców. „Jestem wszak – pisze Gierymski – prawnikiem Newtona, Kolumba, Kartezjusza”. (s. 11) W innym zaś miejscu, tak mówi (ciut przekornie) o sensie lektury filozofów: „Tak, różnych Kantów, Kartezjuszów, Schellerów, Bergsonów czytać można, lecz pożytku z filozoficznej lektury – niewiele. Przyswajając filozofię należy w młodości. Głowa musi być czymś napełniona. Potem dostrzegamy, że żaden filozof, żaden system nie dają pełnej odpowiedzi na fundamentalne pytania (...)” (s. 188).
- 27 E. Hurnikowa, *Podróż...*, dz. cyt., s. 28.
- 28 T. Halik, *Żyć z tajemnicą. Impulsy do rozmyślań nad wiarą*, wybrane teksty przeł. A. Babuchowski i J. Zychowicz, Kielce 2015, s. 20-21. „Gdyby wiara – czytamy kilkanaście stron dalej – na swojej drodze zgubiła swoją siostrę wątpliwość, przestałaby być poszukiwaniem i zadawaniem pytań, mogłaby spaść do poziomu bezdusznej praktyki religijnej, obrzędowości i ideologii”. Tamże, s. 44.
- 29 Pisze na przykład: „Szedłem do J., która na komputerze przepisała mi ogrom tekstów. Gratis. Nie mogłem więc bez kwiatka (...)”. (s. 189) i dalej o tym wydarzeniu całe mini opowiadanie. Ze zdaniami w manierze cokolwiek staroświeckiej, a może celowo stylizowanymi na estetykę początku dwudziestego wieku (?). Są i opisy spotkań z innymi – pojawia się „Pani K., która wróciła z grudniowego sanatorium (...)”, „Janek” i kilku innych. Zobacz: s. 191. Albo: „Wernisaż u Małgosi. Nie urzędowy, prywatny pokaz dorobku malarskiego” (s. 170).
- 30 K. Michalski, *Eseje o Bogu i śmierci*, Warszawa 2014, s. 97.
- 31 E. Cioran, *Wyznania i anatemy*, przeł. K. Jarosz, Kraków 2006, s. 47.

Tadeusz Piersiak

TADEUSZ Z GIERYMSKICH I Z HOMMERSÅK

Niedawno minęła 90. rocznica urodzin Tadeusza Gierymskiego. Za rok wspominać go będziemy w 10 lat po jego śmierci. Był bezsprzecznie jednym z najwybitniejszych poetów Częstochowy i mentorem młodych literackich pokoleń.

W 2008 roku, w 50 rocznicę twórczości Tadeusza, robiłem z nim wywiad dla *Gazety*. Nowa naczelna oddziału zabroniła zwracania się do rozmówców po imieniu. Panowaliśmy więc sobie z poetą na łamach, mimo że od dawna byliśmy na ty. O naszej bliskości zaświadcza fakt, że w tamtej rozmowie Tadeusz odsłonił się w wielu sprawach. Przyznając choćby, że jest z „tych” Gierymskich, choć talentu plastycznego u niego za grosz. Robił to po raz pierwszy, bo w minionych czasach niebezpiecznym było nie mieć korzeni proletariackich, a w nowej Polsce wstyd przyznawać się do antenatów, kiedy wszyscy okazują się być z Potockich i Lubomirskich.

W tym wywiadzie Tadeusz mówi również, że u kresu nie jest dumny z poetyckiego dorobku; czuje, że jego powołaniem jest służba społeczna – niesienie pomocy potrzebującym, cierpiącym przez chorobę lub biedę. Sam poeta chorował już wtedy. W ostatnim czasie odsunął się od ludzi. Bliscy mu wiedzieli, że w każdy pogodny dzień pakował rano plecaczek i korzystając z przywilejów emeryta, za darmo jechał autobusem do Olsztyna. W samotności, jak Mickiewicz na Ajudahu skale, na skałkach i w lasach Sokolich Gór słuchał głosów z... Zatapiał się w przyrodzie i kontemplantował spokój płynących po niebie chmur.

Przyroda stała się mu tak bliska w Norwegii, gdzie mieszkali jego dzieci, córka – Hanna Hvaring i syn Wojtek. Wśród skał i fiordów mieszkał w domu córki w Hommersåk koło Sandnes. Raz spędził

tam około roku, inne pobyty były krótsze. Ta Norwegia połączyła nas z Tadeuszem. Wraz z rodziną odwiedzałem w tymże Hommersåku naszą przyjaciółkę Annę Hvaring (z domu Wnuk), szwagierkę córki naszego poety. Z nestorem częstochowskiej literatury mieliśmy więc liczne tematy do rozmów. Bo magii norweskiej przyrody nie sposób nie ulec.

W Hommersåku często wpadałem do Wojtka, Tadeuszowego syna. Przyznając: jako nałogowy palacz przychodziłem go opalać ze skręcanych papierosów. Dla Polaka w latach 90. Norwegia była niesamowicie droga. W rozmowach z Gierymskim jego syn był jednak tematem tabu. W Polsce Wojtek zaczął pisać wiersze, odnosił sukcesy w konkursach poetyckich, również rangi ogólnopolskiej. Nie wiem, czy właśnie porzucenie Euterpe nie poróżniło ojca i syna. Kiedy w maju szykowaliśmy na czerwiec wystawę rocznicową Tadeusza Gierymskiego w Muzeum Częstochowskim, w biurku poety znalazłem teczkę z wierszami syna. Sam Wojtek, napotkany w maju na pogrzebie matki, o swojej twórczości mówił z lekceważeniem. Jakże szkoda!

Tadeusz Gierymski był poetą, któremu los odmówił należnej mu wielkości. Zabrakło tego czegoś – przypadku, kontaktu z właściwym środowiskiem, pozyskania mecenasa. W rozmowach ze mną Ludmiła Marjańska mówiła o jego twórczości z wielkim uznaniem i szacunkiem. O nim samym z nieukrywaną sympatią. Kore-spondowali zresztą ze sobą.

Tadeusz – jak każdy – miał wiele twarzy. Otwierając w Muzeum Częstochowskim wystawę dedykowaną poecie, przywoływałem to jego szlachetne oblicze. Człowieka, który wniósł wiele w rozwój częstochowskiej kultury. Twórcy „Nad Wartą”, dodatku

kulturalnego „Gazety Częstochowskiej”, później dwumiesięcznika „Aleje 3” (której i ja śladem Tadeusza miałem okazję przez chwilę prowadzić). Mentora częstochowskich poetów; i tych, którzy w nurcie amatorskim pozostali, i tych, którzy stali się dumą swego przewodnika: Arkadiusza

Frani czy Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza. Żał, że wystawa dedykowana zmarłemu poecie otwierana była bez udziału kolegów po piórze. W lipcu Muzeum planuje na wystawie jubileuszowej meeting poetycki pod wezwaniem Tadeusza Gierymskiego. Może wtedy...?

LIST DO TADEUSZA GIERYMSKIEGO PISANY ZIELONYM ATRAMENTEM

Drogi Tadeuszu!

Po wielokroć czytam Twoją dedykację w *Opowiadaniach najkrótszych*: „Januszowi Mielczarkowi, przyjacielowi jeszcze z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku! T. Gierymski, marzec 2002 r.” Cenię sobie słowa i wcale nie jestem pewien, czy zasłużyłem na takie honory, bo to Ty byłeś tym, który życzliwie podał mi rękę. W czasie pierwszego z Tobą spotkania w redakcji „Gazety Częstochowskiej”, która mieściła się w parterowym budynku w miejscu dzisiejszych „Kwadratów”, miałeś przed sobą roztrzęsionego grafomana, który przyniósł Ci dwie kartki z odręcznie nagryzmołonymi fraszkami. Zapewne byłeś tą wizytą zakłopotany, ale przez wrodzoną delikatność nie pozbyłeś się go od razu, tylko coś tam odpowiedziałeś i zachęciłeś do ponownych odwiedzin. Przyszedłem, tym razem kilka propozycji wybrałeś do druku.

Z radością, towarzyszącą ujrzeniu wierszowanek w „Gazecie”, pojawiła się także refleksja o ich błahości; fraszki pozostały na uboczu.

Był rok 1955, zakochałem się, a jak można przeżywać ten stan bez pisania wierszy? Nie da się. I choć tutaj liczyły się tylko słowa własne, osobiste, choćby najbardziej kulawe, to, by się „rozpięknąć”, sięgnąłem po wiersze Grochowiaka, Herberta i innych, a Twoja naprowadzająca ręka i delikatnie odpowiedziane sugestie były najlepszym azymutem. Gleba, na którą rzucałem ziarno, nie była już ugięta.

Prawdopodobnie wydorostałem w Twoich oczach, gdy ujrzałeś mnie 21 października 1956 roku w czołówce przemierzającej Aleje politycznej manifestacji częstochowskich studentów. Po zakończeniu wiecowania pod Ratuszem podszedłeś i zagadałeś. Mieliśmy podobnie gorące głowy, więc dyskutując przeszliśmy kilkakrotnie miejscowy „cielętnik”, czyli tę najważniejszą spacerową wówczas przestrzeń miejską pomiędzy placem Biegańskiego a mostem kolejowym.

Moje Październikowe zaangażowanie owocowało także tym, że zaprosiłeś mnie na spotkanie nowo powstałego Klubu Młodej Inteligencji, jakie odbywały się w kawiarni „Sielanka” (róg ulic Nowowiejskiego i Kopernika). Chłonałem wasze dyskusje i spory, podglądałem rodzenie się nowego, niezależnego pisma. Tamże – przy Twoim boku – uczestniczyłem w spektaklach powstałego na odwilżowej fali Kabaretu „Pif-Paf”, a nawet, sprowokowany przez Ciebie, zdobyłem się na publiczne odczytanie jakiejś satyry politycznej. Tam też, co warto pamiętać, usłyszałem po raz pierwszy piosenkę, która później stała się przebojem



Zdjęcie wykonane przez Edmunda Mularza podczas spotkania autorskiego w częstochowskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki 29.11.1988 r.; Tadeusz Gieryski (czwarty od lewej, w jasnej marynarce), Waldemar Gaiński (pierwszy z prawej), obok niego Janusz Mielczarek

– *Kasztany*. Tekst napisała Krystyna Wodnicka, wówczas aktorka Teatru im. A. Mickiewicza i jej pierwsza wykonawczyni, a muzykę skomponował Zbigniew Korepta, także aktor i muzyk, częstochowianin.

Redakcja tygodnika, będąca pod presją prowincjonalnych decydentów partyjnych, nie była dla Ciebie wymarzonym miejscem pracy. Wydawało Ci się, że azylem będzie miesięczny dodatek kulturalny do „Gazety”, o którego powstanie zabiegałeś, i który zmaterializował się w roku 1958, ale już bez Ciebie.

Żeby porozmawiać o sztuce i twórczości, przychodziłem teraz do Twojego nowego miejsca pracy, którym była Biblioteka Pedagogiczna, mająca siedzibę przy ul. Katedralnej.

Wciąż ciekaw Twoich sądów literackich, sam powoli odkrywałem ukazujące się nowości i z najciekawszymi pędziłem do Ciebie. Nie zdradzałeś ulubionej klasyki, ale cieszyły Cię moje propozycje. W ten sposób wspólnie odkryliśmy uroki pisarstwa Konstantego Paustowskiego, które obaj, jako licealiści – a jego *Kolchida* była lekturą obowiązkową – bojkutowaliśmy, bo należała do „przodującej” literatury Kraju Rad.

Wówczas, a pozostało mi to do dzisiaj, wyżywałem się w popisach na konkursach recytatorskich, pokochałem dzielenie się literackimi wspaniałościami podczas głośnego czytania. Tak też któregoś dnia przyszedłem do Ciebie, na Katedralną, z nowo odkrytymi opowiadaniem Izaaka Babla. Byłem podekscytowany, mówiłem, że kilkunastostronicowy tekst *Mojego pierwszego honorarium* powstawał przez piętnaście lat, że opublikowany został po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych w roku 1965, a więc dwadzieścia pięć lat po śmierci autora zamordowanego z wyroku Stalina, wydanego pod presją „marszałka” Budionnego. Drżałem, że nie będziesz miał ochoty słuchać mojej interpretacji, ale na propozycję przystałeś.

Opowiadania wysłuchałeś w skupieniu, z przymrużonymi oczami. Gdy skończyłem, bez słowa sięgnąłeś po książkę i powoli przekartkowałeś tekst. Potem zaparzyłeś napój o nazwie kawa, a gdy sięgnęliśmy po fusiasty płyn o aromacie oleju samochodowego, powiedziałeś:

– Przeczytaj to jeszcze raz... Tego trzeba by nauczyć się na pamięć.

Uwierz mi, że była to dla mnie chwila szczęścia.

Za jakiś czas, wczesną jesienią 1958 roku, dałem Ci do przeczytania moje pierwsze opowiadanie. Było słoneczne popołudnie, siedzieliśmy na ławce na środku placu Biegańskiego, a Ty wpatrywałaś się w maszynopis wystukany jednym palcem na erice o małej czcionce. Mam go do dzisiaj. To ledwie trzy kartki maszynowej przebitki zachowane bez żadnych poprawek, nawet z błędem ortograficznym. Opowiadanie nigdy nie było drukowane; istnieje jakby na uboczu tego, co napisałem.

Właściwie dopiero dzisiaj, podczas pisania do Ciebie tego Listu, uświadomiłem sobie osobność, może nawet niezależność tego tekstu o tytule *Żółty kundel*. A przecież Twoja ocena, jak na pracę debiutanta, była marzeniem. Powiedziałeś tylko: – Ja bym tutaj nic nie zmieniał.

I tak zostało. Papier starzeje się, ale wciąż są na nim Twoje ślady i ta napędzająca energia, którą mogą obdarzyć nas tylko Przyjaciele.

Janusz Mielczarek
Częstochowa, w czerwcu 2018 r.

Arkadiusz Frania

BALLADKA O STARYCH POETACH (FRAGMENT)

[...]

Byłem u miejscowego starego poety w bloku na skraju osiedla, przyzielnego dzielnicy. Za jezdnią las. Nazywam ten skrawek miasta „Las Angeles”. Tam poczęło się niejedno życie, zabito wiele marzeń i kilka ciał. Przed wiekami w czasach ludowych na brzegu zagajnika ustawiono budę, z której sprzedawano chrupiące placki ziemniaczane i koktajle mleczne. A podczas zabawy w „wyścig pokoju” kolega zgął przednie koło kolarzówki, wjeżdżając z mocą finiszu w brzozę.

W pokoju starego poety zerknąłem na szybę z pęknięciem, raczej z rysą, szramą. Zaczynał deszcz, jak na uroczysku. Zastanawiałem się, czy zacznie przeciekać, czy przemokniemy. Nagła ciemność, pogasły widoki i raptem jasno, bezwietrznie, cichutko, bez kropli. Sucho na parapecie, pieprz na dywanie. Tęcza wymysknęła się spomiędzy gałęzi, płosząc bez wątpienia jakiś szczegół natury – jaszczurkę, która zjadła chrząszcza. Jest tak osowiała, że nie

dla niej wspinaczka na najniższą barwę. Najedzona nie pragnie wrażeń estetycznych, podobnie jak człowiek.

Stary poeta został wychowany na łacińskie, kulturze śródziemnomorskiej, kolegował się z kimś, kto później odniósł duży sukces w literaturze polskiej, w sektorze powieści dla dzieci i młodzieży. Często używał wyrazów rzadkich, których znaczenie bez pomocy słownika stawało się wyłącznie ozdobą lingwistyczną, jałową glorią. Chciał pisać wolne wiersze, a trafiały się teksty spętane przez rytm i rym.

Gospodarz wstawił wodę na gaz. Zaparzył kawę – dla siebie, herbatę – to dla mnie. Szklanki osadzone w srebrnych koszyczkach. Poczęstunek z ciasteczek. Markizy, maślane, wafelki i w rogu talerza samotny cukierek owinięty niebiesko-czerwonym celofanem. Sierota, bez ojca, matki, braci i siostr. Agatka od razu zjadłaby cukrową kulkę, z miłosierdzia, z dobrego serca, żeby dłużej nie gryzła tego cukierka

tęsknota za rodziną. Gdyż nie ma chyba nic gorszego w parszywym ludzkim życiu od samotności, bycia niczym, na boku. Te ciasteczka pewnie kpiły z Tomka Palucha, który czekał na wybawienie, miał tyle do zaoferowania – rozpuszczając się na języku, wypuszczał endorfiny. Tę moc uda się przebić tylko komunii świętej. Opłatek przyklei się do podniebienia, Boga chłonieś od wewnątrz.

Stary poeta jadł słodkości, ale nawet nie spojrzał na bezdomnego. Ciasteczka pyliły przy gryzieniu. Spadło z ust kaloryczne konfetti, przyproszało koszulę, spodnie, fotel. Pogadaliśmy o jego poezji i niechęć do poezji w ogóle. Po wysączeniu szklanki kawy ze śmietanką wytaszczył spod łóżka paczuszkę z ostatnimi egzemplarzami tomiku. Wyjął jeden niezgrabnie, jakby chwytając za dużą papierówkę, i podarował mi. Podziękowałem grzecznie, to już drugi raz. Książka była źle sklejona, rozleciała się po kilku czytaniach.

Starego poetę orał chwiejny nastrój. W poniedziałek popadał w depresję bez końca, a w czwartkowe popołudnie kochał, kochał, świat, świat, ludzi, ludzi, kochał, kochał. Patrzył i widział, słuchał i słyszał, jak „stukają” obcasy tej pięknej pani – ognistej czarnulki, przy której zimno się robi. Miał na koncie dwie czy trzy próby samobójcze. Pewnego razu spotkałem go w kawiarni. Był z żoną. Godzinę wcześniej odebrał wypis ze szpitala, żona odebrała starego poetę. Targnął się, ale został odratowany, wyrażał żal, niewyraźnie mówiąc (rozumiałem co drugie słowo, co czwarty smutek), że niestety znowu lekarze byli szybsi.

Nie mogłem stanąć przy trumnie ze zwłokami starego poety. Wiadomość dotarła za późno albo byłem poza miastem. Czekam na wydanie jego dzieł wszystkich w skrópodobnej oprawie.

Arkadiusz Frania, *Rzeźby w masle. Prozy z pamięci*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2014.



Arkadiusz Frania

T.G. Z PAMIĘCI

O d dawna zabieram się do porządkowania „papierów literackich”: korespondencji, notatek, wycinków, druków ulotnych, i wciąż mnie coś odrywa, jakaś siła fatalna, jakaś moc frontalna ze wszystkich kierunków, jakieś zdarzenie, telefon, dlatego prace idą opornie, niemniej w czasie jednego ze zrywów przeszu-kałem „archiwum” (pudło piwniczne), skąd wydobyłem kilka skarbów, na pewno mało ważnych dla czasoprzestrzeni wszechświatowej, ale galaktycznych dla mojej prywatnej cywilizacji. Oto „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” z moim debiutanckim wierszem (8 kwietnia 1993 roku). W środowisku literackim tamtej częstochowskiej ery prezentacja liryku w tzw. „Okienku z wierszem” była nobilitacją, zwłaszcza że prowadził je ukrywający się za literą „y” – Tadeusz Gierymski, z rodu, który wydał malarzy: Aleksandra i Maksymiliana.

Tadeusz to świetny klasycystyczny poeta; o sobie zwykł mawiać, że jest eklektyczny (dodam, na własną odpowiedzialność: że i elektryczny); wiruje mi w umyśle wiele cytatów z Jego tekstów, szczególnie właśnie klasycystyczna fraza „cóż my bez miocenu?”. Żył w cieniu światła „otulającego go” (miodem i cieniem) jako odkrywcę talentu Haliny Poświatowskiej. Materiały masowego przekazu w pierwszej kolejności uwydatniają tę właśnie „zasługę”. Przebiegła panna Wikipedia podaje na jednym wdechu: „Tadeusz Gierymski (ur. 1928 w Płońsku – zm. 22 listopada 2009 w Częstochowie) – polski poeta i prozaik, odkrywca talentu Haliny Poświatowskiej” (https://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz_Gierymski – dostęp 24 sierpnia 2017 roku). Na wieść o śmierci poety na stronie inter-

netowej częstochowskiej odsłony „Gazety Wyborczej” w dniu 24 listopada 2009 roku znalazł się wpis: po tytule: „Odszedł poeta. Tadeusz Gierymski” i rozwinięciu: „W niedzielę zmarł w szpitalu nestor częstochowskich literatów Tadeusz Gierymski” pojawiło się pierwsze zdanie telegraficznej notatki: „Za jego sprawą lokalna prasa opublikowała pierwsze wiersze Haliny Poświatowskiej” (http://czestochowa.wyborcza.pl/czestochowa/1,35271,7290485,Odszedl_poeta__Tadeusz_Gierymski.html – dostęp 24 sierpnia 2017 roku). Kontakt z przyszłą rewelatorką współczesnej poezji miłosnej stał się istnym przekleństwem, usuwającym w tył własne literackie dokonania.

Inna sprawa, że Tadeusz, niestety, nie do końca spełnił się na niwie literackiej, wiele lat musieliśmy czekać na oberwanie chmury z Jego książkami. Tej twórczości poświęciłem studium „*Solidne niefarbowane retro*”. O poezji Tadeusza Gierymskiego (wydane jako osobna książeczka w 2004 roku) oraz kilka recenzji i szkiców. Przede wszystkim zaś miałem przyjemność wygłosić laudację podczas uroczystości „Złotelecie” pracy twórczej Tadeusza Gierymskiego, która odbyła się 20 grudnia 2005 roku w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie (wypowiedź zatytułowałem *Klasyk z sercem*, gdyż widzę w poezji Tadeusza harmonię i miarę na równi z polotem i gorączką). Na marginesie, pamiętam również swój niski stan psychiczny tego zimowego dnia; od kilku dni nasiliły się krwotoki z pękniętych naczyń krwionośnych w przegrodzie nosowej. Mimo wszechogarniającego osłabienia, występ się udał. Potem w trymiga: poczęstunek w teatralnym foyer, taksówka, dom, sen.

Drogi Arku,

Otrzymałem od Ciebie dwie książki, połączoną mi leżącą
 tomik poezji („ale się nie bawi”) i jestem nim po prostu zachwycony.
 Wiersze są niezwykle oryginalne i to mnie uderzyło (Kajetan
 Jaskóła, Antek i Olwyn) to prawdziwa poezja, którą
 potrafisz wyolabyc z pozornie banalnych opłót Twojego oglądu
 rzeczywistości. Najbardziej do Ciebie mówię: „nie ma wyrażone
 z lekkością”. To jest wspomnienie! Nawet te strofy są tam
 potrzebne (także wiele przynajmniej dzieci i kobiety). I to „ko-
 szulski” (i) podobnie uśmiewającym leżącym. Dla mnie to najlepszy
 tekst Twojej Tomiku. Ale jest z najlepszym. To prosty
 uśmiewa ci się przewidywalnie rzeczywistości. Z Rzeczy pozornie
 interpretującą wyolabyc motywy poezji. I myślenie
 poezji w opole człowieka (i) woli — filozofia
 budować „ale (i) u nocy/leżących nie ma dźwięku
 albo superpoetyckie paratekstowe obrazy fraszki
 która jest intrygująca np. (i) „Złoty Chłopek” czy
 Modigliani, i Złoty Chłopek, w poezji to nie użycie
 „poetycki” i to, lecz zły i to, to jest użycie, aby
 powrócić do elektrycznej spójności. To niełatwo zrobić!

Myślę, że Pan przez ostatnie pięć lat jest zadowolony
 literackie! Drogi Księżu, nie ma wyrażone, ale myślę, że
 Pan „ale się nie bawi” jest lepsze od całej twórczości,
 jeśli Pan ośmiągnie. Z jednym użyciem.

Dziękuję za miłą kartkę, jeśli Pan dostał do przeczytania
D tym książkę z tytułem (miscellaneous proza) „E”
widersem. Ale tytuł podziem Wydawnictwa przez telefon
jednak + I byłem w domu (jak zawsze są ci rano
z domu u fizyczny depresji) Autorski korekt nie
przepraszam. Uważam jednak, że to może nie usprawnienie
Mieć culpa!

Jako motto do Pana tomiku: „w świecie bez
cenzury / nie ma miejsca dla boga”

T. Gieryski

P.S. Jeśli czytamy a jednocześnie oblikać ją
u Pan ustele erotyczny. Nie z wielkimi
Ale się nie baw „2” Myślę że jest Pan
zgodnie obywateli i realnie faktory na świat.
Jest Pan upełnionym, jony zadowolony z siebie
Obscurum nieczytelnego. Rozumiem, że nie, ni c.

T.G.

Zwracam uwagę, co widać się z fali się widać. Ponieważ nie
dokonuje Pan „wieloletni” swojego, ja” i) każdy raz nie mamy
do czytania z uśmiechem, niekomunikatywnych psychologii. Gratyfikacji
czy też tomiku. Szczerze uśmiech i pozdrawienia dla Zony.
Wierzę, że to „Apokalipsa”. Pisane z lekkością dystansu do świata. Sam
autor jest nadeł brzo tajemniczy. Odnosi się to do tego.
podmiotu literatury.

Przepraszam za kłopoty. Ale to wina depresji.

Tadeusz lubił kobiety i alkohol, zalecał się do kobiet i alkoholu, ale i obie te używki wzięły sobie na cel Tadeusza, że nie było odwrotu, nie było powrotu, nie było wyboru. W końcowym okresie życia nie odpuszczała mu macocha depresja, dająca o sobie znać znienacka także dużo wcześniej. Pewnego majowego dnia spotkałem Go w kawiarni, był razem z małżonką, której poświęcenie i troska oddalały ostępczą zgubę, totalny krach duszy i jej przeadek na rzecz demona. Wymieniliśmy uprzejmości, zapytałem o plany literackie. Był rozradowany od pierwszych słów, ale nagle oznajmił mi, że właśnie wyszedł ze szpitala po kolejnej nieudanej (zwykły zaznaczać: niestety) próbie samobójczej. Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo wytrąciło mnie z równowagi takie zderzenie w ułamku sekundy euforii i choroby.

Kilka razy odwiedziłem Tadeusza w mieszkaniu przy częstochowskim Lasku Aniołowskim. Pierwszy raz zaprosił mnie, by „pastwić się” nad wierszami; czytał na głos, oceniał, doradzał, zawsze w tonie spokojnym, nienachalnym, bez podnoszenia głosu, zwyczajnie po ludzku, po koleżeńsku. Kiedy indziej odwiedziłem Tadeusza w ramach gromadzenia materiałów do szkicu o Nim. Nagle zaczął padać deszcz, jeden z najpiękniejszych deszczów, jakie mnie nie przemoczyły. Woda kropliście i jakoś lekko uderzała w szybę. Spozrzegłem drobną rysę, małe pęknięcie w lewym dolnym rogu szkła zewnętrznego. Pomyślałem sobie, że może zagubio-

ny ptak, albatros, kormoran chciał wpaść do pokoju poety, by zagnieździć się w jego duszy. Deszcz był rozświetlony, nieprzenikniony brudem życia, dziewiczy, łagodny, na pewno zesłany przez Aniołów, które wyfrunęły do ludzi z Lasku Aniołowskiego. Potem Tadeusz poczęstował mnie mocną, czarną herbatą i ciasteczkami. Sam dolał do swojej szklanki z kawą mleko, ja niespecjalnie łaknąłem laktozy. Kruszyły się w rękach poety herbatniki i wafle, cukiernicze drobinki spadały na beżowe jak herbata z mlekiem spodnie z grubego sztruksu. Unosił się pyłek z marcepana.

W wielkiej szufladzie, ciągle w stanie przed sprzątaniem, natrafiłem na jedyny list, jaki otrzymałem od Tadeusza. Na kopercie data ze stemplem pocztowym: 1 czerwca 2005 roku. Pismo poety jest rwane, litery o nierównych wysokościach, tu i ówdzie mniej czytelne, na końcu dopisek: „Przepraszam za kaligrafię. Ale to wina depresji”. List zawiera i „skazę”, będącą najszczerzym przejawem poezji życia: w dolnej części północno-wschodniej ćwiartki pierwszej stronicy znajdują się dwie odpapierosowe plamy: jedno małe nadpalenie i drugie, większe z dziurką. Wyobrażam sobie, jak Tadeusz siedzi nad papierem, trzęsącą się ręką rzeźbi długopisem literki, co kilka chwil zaciąga się papierosem, ale następuje moment nieuwagi albo dłoń mocniej drgnie i niestrzepnięty popiół spada, sygnując list pieczęcią poety. Moja mała relikwia.

Zbisław Janikowski

ROZMYŚLANIA – JESZCZE RAZ O KALENDARZU



Ale się porobiło! Koniec kwietnia i pierwsze dni maja wymknęły się spod odwiecznej kurateli papieskiego gregoriańskiego porządku, który już od 1582 roku papież Grzegorz XIII bullą *Inter gravissimas* wprowadził i określił we wprowadzonym wtedy kalendarzu. Więcej, w tym kalendarzu był wielki porządek, były poszczególne i to kolejno po sobie następujące robocze dni tygodnia, była też świąteczna niedziela. A teraz? Wielki weekend, majówka, wolne, nieczynne, zamknięte, odwieczny porządek i rytm runął, coś ustalić, uzgodnić – niemożliwe, wszystko odłożone na „po 7.” (7 maja 2018, poniedziałek). Właśnie wtedy, 7. ma wrócić normalność, ale czy na pewno? Wprawdzie tydzień będzie miał znowu 5 dni roboczych i wolną sobotę (a przecież po Bożemu sobota jest dniem roboczym) i święto w niedzielę, bo ta niedziela znowu będzie świąteczna, a nie handlowa, choć któraś tam handlową będzie.

Do tego kalendarzowego zamętu dołączyła pogoda. No tak, czas wiosenny, powinno być mokro i chłodnawo, a tu afrykańskie upały. Właśnie teraz powinny w ustalonym przez lata porządku zakwitać owocowe drzewa, najwcześniej czereśnie i wiśnie, a potem jabłonie, grusze i inne. Na ogrodowych i parkowych rabatkach po przekwitnięciu krokusów – jakże często schowanych przez kapryśną pogodę pod grubą warstwą ostatniego śniegu – jako pierwsze powinny pojawić się żółte żonkile, następnie białe narcyzy i wreszcie wielobarwne tulipany – a tu wszystko naraz. Początek maja, a bzy już przekwitły, piwonie, nie czekając na święto Bożego Ciała, lada dzień eksplodują swymi różowymi wielkimi kwiatami. Szybkim krokiem nadchodzi czas, kiedy świeże kolorowe kwiaty znikną na długo, aż do jesieni i jesiennych odmian przeróżnych żółtości. Na-

wet komary nie zdążyły się rozmnożyć, much też nie ma, a o pszczołach, które w większości już wytrute, w ogóle mówić nie warto. Jedynie moje ukochane kasztany ratują kalendarzową sytuację, i to nie te jesienne, brunatne kule ukrywające się w kolczastych łupinach, a te wiosenne, wiosenne majestatyczne drzewa, które teraz wszyscy uparli się nazywać kasztanowcami – a niech tam – drzewa zielone soczystą świeżą zielenią, które obsypały się piramidkami biało-kremowych kwiatów, ubarwionych różowymi pręcikami. Zakwitły. Zakwitły ratując kalendarium, zakwitły wtedy, kiedy trzeba, zakwitły wraz z rozpoczynającymi się maturami.

A co do samego kalendarza gregoriańskiego, to on wcale tak dokładny nie jest – mimo dodawania raz na cztery lata dni zgubionych w zamęcie niby to kosmicznego porządku. Zatem grozi nam kolejna reforma, bo jednak ten „gregoriański”

też błąd skrywa i raz na 3 322 lata gubi jeden dzień, więc... więc za mniej więcej 2 990 lat (dokładnie nie chce mi się liczyć) będzie trzeba go znowu reformować... Święty Grzegorzu, twórco kalendarza, czyś ty to przewidywał?

A zresztą, niech tam...

Skończyłem.

Niestety, nie tak szybko zorientowałem się, że współczesne kalendarze kryją jeszcze inne tajemnice. Jest taki dziwny podział miesiąca, mający nie mniej dziwne okresy – 5., 10., 15., 20., 25. i 1. vel 30. – to dni wypłat ZUS-owskich rent i emerytur. Przy okazji przypomniał mi się PRL-owski podział miesiąca na dwa okresy wyznaczone rytmem wypłat – od 1. do 15. i drugi od 15. do 30. Teraz nawet tego już nie ma, wypłaty gotówki – co to takiego ta gotówka? – przelew pieniędzy na konto i tyle.



Z dawnych czasów zachował się jeszcze pamiętający czasy feudalne kalendaryzowy rytm dni targowych, bo z jarmarków, które były miejskim przywilejem, i to zawsze pod patronem jakiegoś świętego, na przykład w takim Wilnie sławne Kaziuki w dniu św. Kazimierza (4 marca) mają 400-letnią tradycję. W całym kraju ostał się pewnie tylko ten w Gdańsku – Jarmark Dominikański, no i jeszcze Krakusy mają to swoje Emaus, ale co to za jarmark, odpust z kramami ze świecidełkami, obwarzankami i niby to folklorem – drewnianymi figurkami żydowskich grajków... i na dodatek nigdy nie wiadomo, kiedy w którym roku wypadnie... (dla przypomnienia: Emaus wypada w drugi dzień Świąt Wielkanocnych).

A my się jeszcze trzymamy i na naszym Zawodziu dni targowe to wtorek i piątek – warto się wybrać, niekoniecznie na zakupy, warto, bo warto!

Tak sobie myślę oglądając w TV ślub księcia Hary'ego, że:

– primo: ślub mogli pokazać Anglicy i cały świat tym zainteresować i zadziwić, mimo że jakiś tam *brexite* urządzili, przyjaciół zawiedli... chociaż? Właśnie, czy pierwszy lepszy może taki *brexite* całemu światu zafundować, więcej – zrobić to tak spektakularnie? Myślę i myślę i wymyśliłem, że nie każdy może, np. my. Wyszliśmy z obozu KDL-u i nikt się tym nie zainteresował, a jeżeli zainteresował, to z marnym skutkiem, więcej, wyszliśmy, a większość posiadanych tam zabawek zabraliśmy ze sobą i dalej się nimi bawimy, słowem – wyszliśmy na dudka i to z tzw. gołą d... Podobnie wyszliśmy z wojskowego Układu Warszawskiego, tym razem zabawki zabraliśmy, ale już się popsuiły i znowu wyszliśmy na dudka;

– secundo: a takiemu ślubowi księcia H. co my możemy przeciwstawić? Ślub Dody, która to na ślubnym kobiercu sta-

nęła, ale europejskiego (o światowym nawet nie ma co mówić) formatu, niestety, nie osiągnęła;

– tertio: znowu się zamyśliłem, tym razem kosmicznie, bo kosmonauci chodzą mi po głowie (nie dosłownie, ale chodzą) i wymyśliłem, że nawet jak nasz w kosmos poleciał, to źle zrobił, bo w złą stronę poleciał i jako kosmiczna wrona wrócił;

– quatro: jednak się zdrzemnąłem;

– quinto: tylko nos na kwintę spuścić.

Już miałem wysłać tekst, ale bieżące wydarzenia sprawiły mnie w osłupienie. Oczywiście osłupiałem w moim drzemkowym fotelu i chyba tylko dlatego, że siedziałem, a nie stałem, w słup soli nie zmieniłem się jak niejaka Locina (chyba tak to z polską to brzmieć powinno?). Otóż w dniu dzisiejszym, czyli 25. maja, fizycznie zaistniał w naszym domu RODO. Wiedzano, że przyjdzie, że będzie, że..., a jednak zaskoczył.

Telefon, Internet, a nawet kioskarka w kiosku przypominali, uświadamiali, tłumaczyli, a ja nic, impregnowany byłem, aż wreszcie... osłupiałem, bo otóż moja (no, nie rodzona, a wieloletnia) żona poinformowała mnie, że nie jest już moją Joasią, bo została właśnie zakodowana i odtąd będzie występowała jako C 8. ??? No tak, okazało się, że zatelefonowała do Niej „przychodnia lekarska” (tak, ta, do której nigdy dodzwonić się nie można) z informacją, że właśnie tą C 8 została i odtąd jako Joasia J. (też RODO) już nie istnieje.

Nie wiem, co jeszcze mnie czeka, bo Ona w kilku specjalistycznych przychodniach jest zarejestrowana.

Wasz J 23 – taką ksywkę wybieram, bo CR 7 hiszpańskie, nie nasze.



KĄCIK DLA NAJMŁODSZYCH

*Bohaterem tej bajeczki nie jest żaden amerykański Teddy Bear ani ruski Misza, tylko...
Przeczytajcie!*

MIS

Niedźwiedź, misiem zwykle zwany,
ma różne życiowe plany,
które tak realizuje:

zimą w jamie smacznie chrapie,
przez sen czasem się podrapie,
czasem kaszle, czasem kicha
albo bardzo głośno wdycha.
O czym śni – nikt się nie dowie,
bo misiek tego nie powie.

Ziewa, kiedy wreszcie wstanie,
rozgląda się za śniadaniem,
a tu nie ma nic a nic!
– Bieda! – myśli sobie miś.
Nie ma kluserek na mleku,
nie ma soczystego steku,

nie ma także pomidora,
bo to wczesnej wiosny pora.

Rusza zatem na śniadanie.
Czy gotowe gdzieś dostanie?
Zobaczymy – zjeść coś musi,
idzie zatem do mamusi,
lecz mamusia jeść nic nie da,
bo i u mamusi bieda.

Pozostaje restauracja,
a w niej wystawna kolacja,
ale miś pieniędzy nie ma
– to doprawdy przykry temat!
Za pazuchę łapę wkłada –
pusto!
Miś karty też nie posiada...

Więc co zrobi głodny miś?
Pod dom ludzi musi przyjść,
bo miś w wielkiej jest potrzebie...
A tam w śmietniku pogrzebie,
czasem znajdzie coś dobrego –
miś nie lubi byle czego!

.....

Zatem, ludzie, pamiętajcie,
o zwierzęta zimą dbajcie,
szczególnie pod koniec zimy
o zwierzęta się troszczymy!
Dokarmić zwierzątko trzeba,
bo inaczej będzie bieda!

Głodne, coś nam zdemolują,
coś połamią, coś zepsują,
o porządek nie zadbają,
zniszczą lub poprzewracają,
może nawet kogoś zjedzą! –
o tym w TV nam powiedzą...

Wielki news z tego powstanie:
– miś zjadł człeka na śniadanie!

(W taką niezimową grudniową zimę 2017 roku.)

Barbara Strzelbicka

PODRÓŻ DO WNĘTRZA. O WIERSZACH ADRIANA MUSIAŁA

„Poznaj samego siebie” – to maksyma, wyryta na frontonie świątyni Apollina w Delfach, spopularyzowana przez Sokratesa. Maksymę tę z powodzeniem realizuje Adrian Musiał, większość swoich wierszy poświęcając głębokiej i wnikliwej autorefleksji. Refleksji tej przyświeca czytelnemu dążenie do samopoznania, zadania najtrudniejszego i wyznaczonego naturom refleksyjnym na całe życie. Autor cierpliwie penetruje swój świat wewnętrzny nie dla samozadowolenia ani tym bardziej dla samozachwytu, nie jest to także emocjonalny ekshibicjonizm – celem jest samowiedza, która pozwoli znaleźć sens życia i miejsce w świecie.

Emocje są w tych wierszach wyciszone, a jeśli dochodzą do głosu, to w sposób bardzo subtelny. Zauważalne jest pewne rozdwojenie czy też wewnętrzne rozdarcie w wyznaniach podmiotu lirycznego, poczucie obcości i zagubienia. Nieraz także dochodzi do wewnętrznej walki między dwiema przeciwnymi tendencjami: potrzebą samotności i potrzebą przebywania z ludźmi, introwersją i ekstrawersją. Bohater ma świadomość swojej nieprzystawalności do współczesnego świata, w którym obserwuje pogoń za modą i za posiadaniem rzeczy, w którym dylemat między „być” i „mieć” rozstrzygany jest na korzyść tego drugiego. W takim świecie serce wrażliwego człowieka staje się pozbawione uczucia, jak pozbawiona jest wody suszona śliwka, ale taka postać ułatwia przetrwanie, przedłuża czas przydatności do spożycia – jeśli pozostaniemy w kręgu stylistyki wiersza *Węgierka* – i umożliwia doczekanie lepszych czasów.

Najbardziej wymownym spośród prezentowanych wierszy jest *Bukłak*, którego *incipit*: „wyruszasz na spotkanie siebie” doskonale charakteryzuje zawartość tekstu. Podróży przyświeca jeden cel – samopoznanie, które będzie źródłem szczęścia i miłości. W dotarciu do siebie może pomóc drugi człowiek, bo pewien rodzaj wiedzy rodzi się w dialogu, zwłaszcza gdy chodzi o identyfikację uczuć, które bywają niejednoznaczne i tylko konfrontacja z Innym pomaga je nazwać. Samopoznanie może nastąpić także gwałtownie i jak Wielki Wybuch zainicjować proces harmonizowania się duszy.

Prezentowany wybór wierszy w klamrę ujmują teksty o odmiennym od pozostałych charakterze. Pierwszy z nich *Pod gruszą* to ballada o miłości niewypowiedzianej, subtelny tekst o delikatnym uczuciu, nieco z pogranicza snu. Wiersz ostatni *Pióro, atrament, papier* to rodzaj poetyckiego *credo*, wyznanie pełne przekonania o mocy poetyckiego słowa, o mesjańskim posłannictwie poety. Wskazując literackie powinowactwo, wiersz ten w sposób oczywisty wyrasta z tradycji romantycznej.

Stylistyka wierszy jest spójna, Autor świadomie posługuje się językowym tworzywem i wydaje się, że jest na dobrej drodze do znalezienia własnego stylu, choć jeszcze nie wiadomo, jaką drogą podąży. Czy będzie to liryczno-oniryczna prostota, czy zwyciężą wiersze silnie uwikłane w kontekst filozoficzno-kulturowy o egzystencjalnym rodowodzie, czy też może poezja sięgająca szczytów mocy?

Zapraszam do wewnętrznej podróży, którą proponuje w swoich wierszach Adrian Musiał.

Adrian Musiał**WIERSE WYBRANE****Pod gruszą**

poznali się pod gruszą
prostą, obsypaną kwiatem
nie łączyło ich nic
jedynie słodki zapach gruszy

on wyruszył gdzieś
bo serce go paliło
ona zapomniała
że rozпалиł ognisko pod gruszą

minęła wiosna
grusza wydała owoce
nadeszła jesień i zima
liście rozrzucił wiatr

ona nie mogła zapomnieć
on powracał myślami
choć nie łączyło ich nic
prócz zapachu kwiatów

po latach wśród bielej
odnaleźli gruszę
ich oczy pałały, odwrócili się
bo przecież nie łączyło ich nic

Nie ma mnie

Nie ma mnie, nie, jest on
Zna mnie lepiej niż własna matka
Niestety nie tylko z widzenia...

Jest ze mną zawsze
Każdego poranka z radością mówi dzień
dobry
Każdego wieczora z dziką satysfakcją szep-
cze do ucha, a nie mówiłem...

Jest jedno ciało,
A we wszystkich członkach on
Bo przecież nie ma mnie, nie

Niby ten sam pień,
Ale gałąź zupełnie inna

Mnie nie ma już dawno,
Zapomniałem jak to jest cieszyć się
Śmiać się z tego co śmiesznym wcale nie
jest
Żyję, jak roślina bez wody

Jesteśmy razem, ja i on
Ten sam uśmiech
Te same ręce i nogi,
Tylko serce jakby rozdarte na dwie,
Wcale nierówne części
Jedno ciało, duchy jednak dwa

Lubimy się? Nie
Nie można lubić jego
Bo on nie lubi mnie

Kiedy odejdziesz?
Nie wiem
Pociesza mnie myśl, że on też nie wie
Bo nikt tego wiedzieć nie może

Myślałem, że to maska, aktor,
Który gra rolę inną niż przewiduje scenarzysta
Dzisiaj już wiem, że nie jest aktorem, jest
po prostu sobą

Kim jest? Nie jest mną
Choć chce mną być
Nosi moje imię
Choć mu na to nie pozwoliłem

Odejdzie chyba wtedy
Kiedy wrócę ja
Ale jak wrócić skoro nie ma mnie?
Gdzie droga i światło?
Zgubiłem je
i od razu zjawiał się on

czekam wciąż na siebie
czekam na mnie
czekam...

Walka na pustyni

zanurzam się w oceanie ciszy
oplatam blaskiem Księżyca
łapczywie pożeram mrok

myślę

obmyty wieczornym chłodem
porażony ognistymi gwiazdami

walczę

wyrywam włosy, one nie chcą
krzyczę, usta zamknięte

placzę

chcę zostać na pustyni
nie mogę, nogi idą do ludzi

ulga

Węgierka

Szkoda, że straciłem termin
Termin przydatności do spożycia
Widocznie za mało konserwantów
Lub temperatura zbyt niska

Cóż z tego, że jestem,
Że remanent się zgadza,
Że fizycznie sztuka jest sztuką
Jak nie ma mnie już na półce

Promocja jest na świeże mięso
A nie na wyschnięte serce
Które wygląda jak węgierka
Po długim suszeniu

Może i smakuje dobrze
Może i jest dobra do ciasta
Ale nie wygląda
Nie sprzeda się

Więc jestem sobie jak ta węgierka
Czekam, aż przyjdzie moment
Czekam, że zdarzy się chwila
Najwyżej wyschnę jeszcze bardziej

Przepakują mnie do nowego kartonu
Niech czeka, szkoda wyrzucić
Bo będzie strata,
Bilans, słupki, procenty, wykresy padną

Pamiętaj tylko, że świeże mięso też się ze-
starzeje,
Że nie będzie zawsze soczyste
Obyś nie stał się kiedyś węgierką
Smaczną, ale bez terminu ważności

Butik

W witrynie ekskluzywnego butiku
 Oświetlonego blaskiem sztucznej chwały
 Nie znajdziesz mnie

Pośród prężących mięśnie plastikowych
 Odlewów człowieczeństwa
 Nie szukaj mnie

W katalogu dopasowanym do potrzeb
 Wraz z kolorem i rozmiarem
 Nie mieszczę się w standardach

Zamówienie zgodnie z najnowszymi trendami
 I najlepszym fasonem
 Niemożliwe do realizacji

A ja jestem, w lumpeksie
 Pośród kiczowatej mozaiki kolorów
 Niemodnych wzorów i fasonów

A ja jestem, pośród milionów wieszaków
 Gdzieś w głębi, poza światłem starych lamp
 Ciągłe z metką, z wszystkimi guzikami, bez dziur

A ja jestem, nieużywany, nowy
 Wyrzucony zaraz po kupieniu
 Bo miałeś prawo zwrotu, bez podania przyczyny

Chcesz znaleźć?
 Czekają miliony wieszaków do przejrzenia
 Dlaczego tak trudno?
 To co łatwo znaleźć
 Łatwo można potem zwrócić

Bukłak

Wyruszę na spotkanie siebie
 Z bagażem wypełnionym po brzegi
 Zniszczonymi zdjęciami niebytych chwil
 I bukłakiem pełnym wyschniętych łez

Wyruszę bez planu, bez kompasu
 Z mapą wrytą na sercu
 Pełną załamań i nieczytelnych pól
 Nigdy nie była dobrym przewodnikiem

Wyruszę bez parasola
 I tak nie chronił przed żarem goryczy
 Niech deszcz obmyje rozpalone członki
 Jak katharsis niech będzie każda kropla

Wyruszę sam, bez słowa i bez czasu
 Bez laski pasterskiej, upadek to też spotkanie
 Słabości i niemocy
 Może wstanę sam, może pójdę dalej

A kiedy już dotrę do celu bez celu
 Chciałbym wyrzucić plecak pełen zadrapań
 Kupić nową mapę, czytelną
 I wyruszyć znów znajdując nieosiągalne
 Bukłak wypełniony po brzegi szczęściem
 I czerpać z niego ciągle życiodajny napój miłości

Kłębek

czasami mi się wydaje
co głupio brzmieć może
że jestem jak kłębek wełny

jaki kolor?
nie wiem, czy kolor jest ważny?
wystarczy, że jest kolorem
tak jak ptak ma skrzydła
bo jest ptakiem
bez względu czy orłem, wróblem, bocianem

więc jestem kłębkim barwnym, lecz
bez koloru
w którym myśli pomieszanie plus
poplątanie
daje wynik
jednak odczytać go nie mogę

gdzie zaczyna się urok
a gdzie jest już miłość
czy ta nitka to już wiara
a może tylko nadzieja

zbyt wiele za długich nitek
bez końca i bez początku
zawieszone w próżni
labirynt
a co w środku?
oby nie Minotaur

toczy się mój kłębek
różni ciągną za niteczki
plącząc bardziej

tak już żyje sobie poplątany
może ktoś kiedyś gdzieś
dotrze do środka labiryntu
może zaryzykuje...

Kształt człowieczeństwa

Bezkształtna masa mojego chaosu ciągle
czeka
Czeka na wielki wybuch, który ją uporząd-
kuje,
Tak jak kiedyś galaktyki,
W których rządzą teraz uporządkowane
prawa fizyki
Wszystko ma sens, harmonię i jest ze sobą
powiązane

U mnie na razie tylko czarna dziura,
Która pochłania wszystko, nie zostawiając
nic
Nie ma początku i końca też nie widać
W otchłani chaosu giną słowa, dźwięki,
gesty

Masa bezkształtna, nieuporządkowane mi-
nerały
Każdy z osobna nie znaczy nic, jest skład-
nikiem
Połączone tworzą dzieło niedoskonałe
wymagające formowania

Rzeźbiarze więc mile widziani
Jak już wielki wybuch uporządkuje wszyst-
ko
Potrzebne będzie dłuto,
Które nada kształt człowieczeństwa

Posiadanie

W wielości wielkości królującej nad światem
Nie ma miejsca na małość małości

Liczbę mówią wszystko

Duże jest duże

Małe jest małe

A człowiek jest...

Po prostu jest

Posiadanie posiadania wyznacza wartość

Wypada mieć, nie być

Bo wtedy można policzyć, zaksięgować

Wpisać do rejestru i przyznać nagrodę

Za posiadanie

A człowiek jest...

Nie ma czasu na bycie

Pochłonięty posiadaniem

Posiada, ale nie ma

chce być

ale bycie to posiadanie czasu

czasu na bycie

Pióro, atrament, papier

pióro moje
spełnia mesjańską misję

atrament mój
zostawia wieczysty ślad

papier mój
jak dekalog człowieka

pióro napełnione atramentem
przesuwane po papierze

moje życie
trwały pomnik



Adrian Musiał; foto ze zbiorów prywatnych

Adrian Musiał – magister politologii, filologii polskiej, a obecnie doktorant historii na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie. Debiutował w 2016 r. na łamach *Antologii Debiutów Poetyckich Częstochowy „Potencjometr”*. Miłośnik kawy i dobrej muzyki. Poszukiwacz prawdy o życiu i sobie samym.

Arkadiusz Frania

NIE PISZĘ WIERSZY

tak to jest nie
nie to jest tak
te wiersze przytyły
obrosły tłuszczem cukrzycą i cholesterolem
i innymi łacińskimi wskaźnikami
mają mało ruchu i mało światła
nic tylko cztery ściany i ciemność

tak to jestem ja

od trzech dni siedzę w domu
i
przeżywam nieprzeżywalne
dotykam niedotykalne
zapisuję niezapisywalne

po pierwsze:
piszę ostatni wiersz

powtarzam po raz ostatni:
to jest mój pierwszy wiersz

pomiędzy pierwszym i ostatnim wierszem
hektolitry słów
słowniki krwi

trwoga czysta i pewna jak amen w pacierzu
bez mrugnięcia powiek

kawałki tynku spadają z mojej duszy
wokół hałas i pył
wokół cisza i nic

za oknem wolno płynie niebieski wóz
przedsiębiorstwa oczyszczania miasta
jakby anioł zstąpił z chmur

wybiegam przez szybę
by w otchłań wykutą w pancerzu
wrzucić popękane skorupy z kilkoma
słowami

nie piszę wierszy
siedzę cicho
nie rozpowiadam o sobie
o duszy sercu łaknieniu
stać mnie jedynie na
„poproszę dwie kajzerki i setkę finlandii”

rozbierz mnie do cna
do głębi
do łyka
do tchawicy
do żył

ogryź rękę z mięsa i ścięgien
ogryź rękę którą piszę
żeby zostały tylko kości
tylko ości
bo czuję się już rybą
która nie umie pływać

póki co zaznaczam wielką literą W
na boku kartki
że to wiersz jego szkic
pierwsza próba bardziej udolna od oryginału

wiersze powinno pisać się
od razu na czysto
bez skreśleń poprawek dodatków

dygotanie duszy i kilka słów miażdżących
nicość

Wiesława Owczarek

ALEJA GRYFA

PRZY ALEI GRYFA

Przy Alei Gryfa papierowe łódki pływają w kałużach,
jesienne topole gubią złote pieniążki drobnych liści.
Nie oglądam się za siebie, ja tylko umieram,
migotliwe obrazki do albumu pamięci wklejam.
Teatr cieni nagradza mnie gromkimi brawami
i nie czeka na ukłon, sam się świetnie bawi.

Na ciemnym asfalcie trwa zabawa w klasy,
kamyk toczy się niemrawo, o niebo lub piekło zahacza.
Piekło i niebo poszły za mną na inne ulice,
kamyk w kamień się zamienił, jak lawina się toczy.
Księżniczka skarby chowa w sobie znane zakamarki
– odejdz, zły czarodzieju, masz znaczone karty.

Płynę swą łódeczką nurtem znanej od dziecka ulicy,
ja, księżniczka skarbów z mgły, rosy i lodowych taflí.
Pożegnam się z tobą, topolo, porywa mnie wir.
Teatr cieni bawi publikę na innych podwórkach.
Nie przybiegnie na pomoc anioł stróż z daleka,
na próżno w swej łódeczce tysiąc lat już czekam.

ALEJA GRYFA

Już była wzgardzona i zapomniana, schowana w niepamięci. I nagle, po tylu latach zaczęła powracać i to, co było kiedyś niedoskonałością, a może nawet brakiem urody (a uroda jakby z nadania należy się małym uliczkom), stawało się powoli dobrem, które należało do mnie, tym, co miałam w życiu najlepszego. Trochę to trwało, zanim pojęłam, że to żal we mnie przywracał mi moją ulicę dzieciństwa, ubierał ją w urok i we wdzięk, którego kiedyś nie widziałam. Inne ulice, które zaczęły wbiegać w moje życie, już nie były takie beztroskie, nie wypadało mi z racji niestrudzonego wchodzenia w dorosłość biegać po nich na bosaka, grać w klasy, bawić się w chowanego i w inne zabawy z tamtych lat. Więc zaczęła moja ulica wracać do mnie natarczywie, domagać się mojej uwagi i mojego wzruszenia.

Tak się stało, że przez wiele lat nie było okazji, by jechać do odległego miasta ziemi szczecińskiej, zostawiłam bowiem za sobą moje rodzinne strony i porwana zawieruchą życia zapuszczałam korzenie to tu, to tam, mając ciągle nadzieję, że to co przede mną będzie lepsze niż to, czego zaznałam dotychczas.

Aleja Gryfa w Stargardzie Szczecińskim już samą nazwą wyróżniała się wśród innych ulic: Armii Ludowej, Wojska Polskiego, Kopernika, Szczecińskiej. Tylko ona nie była zwykłą ulicą, była Aleją i tylko wzdłuż niej rosły włoskie topole, i trzeba było żyć w Polsce Ludowej lat pięćdziesiątych, by docenić tę nazwę – włoskie. Smukłe, wysokie, jakże szumiały, gdy za-

jął się nimi wiatr. Szum niósł się wzdłuż ulicy pod tak zwaną „górkę”, bo wznosiła się ulica w pewnym miejscu, by wybiec na rozległe pola, gdzie latem rosły zboża, a w nich chabry, kąkole, maki – nasze letnie bukiety. Z tej właśnie „górki” był najlepszy widok na odległą wieżę kościoła św. Jana i przy dogodnej aurze dochodził z tamtej strony dźwięk dzwonów.

Moja Aleja Gryfa – cypelek na skraju powiatowego miasta, a dla nas, dzieci – cały świat. Ulewy były tu intensywnie, śniegi kopiaсте, lata gorące, jesienie pełne barw. Letnie kałuże pozwalały chłopcom na wypuszczanie całych flotylli papierowych łódeczek lub pracowicie wystruganych z kory okręćków. Wystarczyło dmuchać lub wzniecać kijem fale, by całe armady wyruszały na podbój świata lub staczały śmiertelne bitwy. Pierwsze ekskluzywne buty – kozaczki czy oficerki – mieliśmy z błota i jakoś nikt się nie martwił, że się przeziębimy, że jakieś bakterie zmasowanym atakiem zniszczą nasze młode życie. Mury piętrowych, ponemieckich bloków poobijane były od naszych piłek, graffiti drzemało jeszcze w umysłach przyszłych pokoleń. Godzinami przesiadywaliśmy, my, dzieci, na ulicy i woleliśmy ją od schowanych za domami podwórek i ogródków. No, chyba że przyszło nam do głowy przygotować jakieś „przedstawienie” – wtedy podwórka były naszą sceną, a mieszkańcy w oknach i na balkonach naszymi widzami. Wystarczyło kilka piosenek, wierszyków, skeczy – zbieraliśmy zasłużone brawa. Była i kurtyna – koc zawieszony na sznurze do wieszania prania.

Jeden z domów był doszczętnie zburzony, gruzowisko i odsłonięte podpiwniczenia stanowiły wymarzony teren do zabaw w chowanego, a kawałkami cegieł ze zburzonych murów rysowało się klasy na dobrym, niemieckim asfalcie. Buszowaliśmy w najlepsze wśród gruzów. Niewybuchy? Nikt nas nie przestrzegał, nie pilnował...

W pobliżu znajdowały się dwa ponemieckie cmentarze, rozdzielone ulicą Armii Ludowej. Zarośnięte, zaniedbane, miały jednak zachowany ten niemiecki porządek – kwatery pooddzielane były kwitnącymi wiosną forsycjami i pigwocami, aleje wysadzone drzewami, na których jesienią kołysały się brunatniejące, kosmate kule orzechów. Nie dawaliśmy im dojrzeć – uzbrojeni w patyki, w kamienie, maszerowaliśmy na cmentarz, aby strącać zielone jeszcze kule i wyłuskiwać z nich orzechy. Niedojrzałe, lepkie i słodkie były dla nas namiastką słodczy, których nie mieliśmy zbyt dużo w tamtych latach.

Nagrobne płyty, zdewastowane, przewracane, kryły się w wysokich trawach. Były przeważnie czarne i lśniąco – rodzice mówili, że to marmur – a gotyckie, złożone litery przedstawiały nam z imion i nazwisk tych, którzy tam spoczywali. Byli nam obojętni, biegaliśmy między nagrobkami, bo oto wśród tych grobów wyrastała i zakwitała któregoś lata róża, orlik lub inny, egzotyczny dla nas kwiat, którego nasiona lub korzenie przetrwały wojenne zawieruchy i roślina rzucała się na przekór wszystkiemu do życia, a nasze dziecięce dłonie zrywały ją, traktując jako należne sobie znalezisko. Zadziwiała mnogość i dzikość bluszczu, wiosennych fiołków, asparagusu, margerytek, łubinów, które to rośliny naręczami znosiliśmy do naszych skromnych domów lub też nieśliśmy na przyległy polski cmentarz, aby przyozdobić kopczyki mogił.

Między naszą ulicą a cmentarzami były tak zwane „doły” – dawne wyrobiska piaskowe, olbrzymie jary o stromych zboczach, miejsce naszych zabaw, zimowych zjazdów na sankach, zbierania szczawiu latem. To tam z Marysią, serdeczną przyjaciółką, byłyśmy księżniczkami, gromadziłyśmy swoje skarby – tafle srebrzystego lodu. Byłyśmy bogate, dopóki wiosenne słońce nie rozprawiło się na dobre z tak zawłaszczonym naturze majątkiem.

Wróciłam na Aleję Gryfa. Zjazdy koleżeńskie, noclegi u przyjaciółki, której rodzina mieszka do tej pory na naszej ulicy, pozwoliły mi przywołać wspomnienia, nacieszyć się tym miejscem na ziemi.

Nie ma już topoli, podobno są krótkowieczne, zagrażały bezpieczeństwu i wycięto je. Na gruzowisku wyrosły wille. Doły zasypano i z jednej strony postawiono garaże, z drugiej market. Z jednego z cmentarzy zrobiono park, a ten, na którym rwaliśmy orzechy i na alejkach którego uczyliśmy się jeździć na rowerze, połączono z przyległym do niego polskim cmentarzem i współcześni mieszkańcy miasta też mogą spoczywać wśród kwitnących wiosną forsycji i pigwoców. Na górze, tam, gdzie rozpościła się pola, wyrosło osiedle i ulica zamknęła się, sama w sobie ograniczona murami kolorowych bloków.

Teraz wiem, że to stamtąd, z tego skrawka dzieciństwa wzięłam to, co mnie ukształtowało na resztę życia – zadziwienie światem, zachwyt nad jego pięknem, kolorytem, zmiennością pór roku. Tylko tam byłam bezpieczna i ufna jak nigdy potem. Zanurzałam się w moje pierwsze zimy, wiosny, lata i jesienie jak w rzeczywistość, która – byłam tego pewna – ma jakieś inne, odrealnione znaczenie. Każdy dzień przemawiał do mnie i rozumiałam dobrze mowę mojej ulicy.

Gdy teraz, po tych wszystkich latach, powracam tam myślą, jestem znowu paroletnią dziewczynką w zielonej sukience, stoję oparta o framugę okna i patrzę, jak topola przed naszym domem zmienia się – najpierw naga i zmarznięta wypuszcza pierwsze wiosenne pączki liści, latem cieszy bujnością zieleni, by powoli żółknąć i rozsiewać po ulicy drobne, złote listki.

MARYSI

Dobry Bóg
podarował mi towarzyszkę zabaw
dziewczynkę z warkoczami
która umiała nosić w sobie
moje smutki
zapędzała je w kozi róg
większą lekkością uśmiechu
najważniejsze że była
i jest zawsze blisko
mimo znacznych odległości

różne losy nie tak ważne
jak urok czarnobiałych fotografii
na których
piegi zbłądły z czasem
i odfrunęły spod podkręconych rzęs

adresy wędrowały karawaną przeznaczenia
zapominając po drodze
o szklanych cygarniczkach

dno szafy pełnej niespodzianek
wygląda inaczej
tylko zielone sukienki
wirują ciągle tak samo

(Wiersze pochodzą z tomiku *Między wierszami*, Częstochowa 2008.)

Małgorzata Franc

Z CYKLU: NAJWAŻNIEJSZA JEST MIŁOŚĆ

Na chwilę...

Najwyraźniej
czegoś zabrakło
popołudnie to jeszcze
nie wieczór chociaż
w oczach jej pociemniało...

Splotła dłonie
jak do modlitwy
by odegnąć od siebie
złe myśli nie wiedziała
że tylko na chwilę...

On już się więcej
nie przyśnił chociaż
żyli krótko jak motyle
na dotkniętych mrozem
kwiatach wiśni...

Dzisiaj już
osobno nie razem
czas powoli leczy ich rany
tylko echo wieczności powtarza
Słowa dwa: Kochana! Kochany...

08.05.2018 r.

Na błękitnej wstążce

Na błękitnej wstążce
słońce światłem płonie
splotły się ich dłonie na wieki
ogniem płonął skronie.

Na błękitnej wstążce
kołyszają się gwiazdy
miłość ich jakby w koronie
blisko własnej prawdy.

Na błękitnej wstążce
wszystkie skarby świata
Oni ciągle przytuleni
choć mijają lata.

Na błękitnej wstążce
Księżyc zdobi szronem
jeszcze oczy życia pełne
choć srebrem zroszone.

Na błękitnej wstążce
coraz bliżej nieba
tylko miłość trwa w zachwycie
nic więcej nie trzeba.

08.05.2018 r.

Najważniejsza jest miłość

*Agacie i Pawłowi
z okazji I. Rocznicy Ślubu*

Na drodze
pełnej niespodzianek
nie jeden raz coś Was zaskoczy
i zanim zwiędnie
ślubny wianek
sypnie zniemacka prosto w oczy
los co w rękawie asy chowa
tym co dziś jeszcze nienazwane.

Lecz miłość
będzie wciąż gotowa
odganiać troski i kosmyki
słonecznych chwil
układać czule
by każdy dzień niósł z sobą w darze
gwiazdny pył
tylko dobrych zdarzeń.

Przesieje się
przez nieskończoność
to wszystko co już jest nieważne
w przestrzeni uczuć
tak jak w lustrze
które ukáže ich zawilość
aby pokazać prostą prawdę...
Najważniejsza jest miłość.

13.05.2018 r.

Tysiące róż

Ja – Ukochanemu...

Tysiące róż
nie wskrzeszą tej miłości
Nawet gdy gdzieś odeszła
niedaleko i tylko
smutku cień tutaj zagości
w szarym welonie
już za wspomnień rzeką.

Tysiące łez
obmyją szlochom Ziemię
Jak zimny deszcz

co nigdy nie ustaje
chłodem szarugi odbiera
nadzieję która umiera
ostatnia na rozstajach.

Tysiące serc
zabijają jednym głosem
w cudownych dźwiękach
szukając pocieszenia
i tylko cisza w swej
nieskończoności wolno
podąży do granicy cienia.

∞

Niewierna

Dawno temu
kiedy była dzieckiem
patrzyła prosto w słońce
i jak po omacku
potykała się często
o kamienie upadając
boleśnie zniemacka.

Dawno temu
kiedy młodość przyszła
w bzach fiołkach szukała
natchnienia lecz w oddali
czekała cierpliwie
zagadkowa cicha
smuga cienia.

Dawno temu?
pewnie od zawsze
na kompromis zgodzić się
nie chciała i została
sama w tym teatrze
kochająca a może
niewierna.

09.05.2018 r.

Jacek Gierasiński

KSIĘGA SNÓW

Sposób na nas

dzwonisz że płaczesz
już nie ma
w nas cierpliwości
dom się uzbroił
w ciszę
w potrzebę refleksji
jeszcze twoja
szczoteczka
do zębów
szoruje pamięć
zasnę
zapomnę
nauczę uśmiechu
dzień następny

Księga snów

zabiorę cię
w swoje sny
tam stać mnie
na wszystko
uszminkuję cię
w uśmiech
ubarwię
zapachem kwiatów
dam ci
pierścionki malowane
rubinowe niebo
wszystkie chwile
ozłocę
i umrę
dla ciebie
w uśmiechu

Płacz ślepcy

mówisz że kolory...
twoją twarz dłońmi
widzę
mówisz że masz
niebieskie oczy
czerwone usta
i żółtą sukienkę
płaczę obraz ciebie
niezdolny uchwycić
barwy
tęsknię światło
o którym mówisz
myślę noc
o której opowiadasz
że już czas
zamknąć oczy
które nie mają
koloru
noc we mnie
nie ma końca

Powiew sukienki

mówią że wyszłaś
z mgły
a przecież wyszłaś
po jednej nocy
nierozpoznana
jeszcze
w sukience uśmiechu
usypana spojrzeniem
z dłonią delikatną
ułożona w wiersze
dziewczyno dana mi
do dzisiaj
poezjo dnia
i niespokojnych
wieczorów

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

I ŚNIŁO MU SIĘ

* * *

Jak showman bryluje na czacie
 nawija na facebooku
 nad wirtualnym mrowiskiem świata
 rozpina wyobraźni skrzydła
 bo przytłoczyła go rzeczywistość
 zbrzydła doskwiera ścisaniem krawata
 dławi szyję
 przed tysiącami obcych imion
 obnaża myśli rozdziewa duszę
 przyjaciół szuka w czeluści netu
 jak zagrzebanej w piasku muszli
 która Ocean kryła pod językiem
 a kiedy wraca do realu tuląc
 pościeli zimne pokrycie wtedy
 obkurcza się do bólu
 jego samotne
 ludzkie
 serce

* * *

I po co się tak wymądrzać
 udowodniać zakładać
 rozpisywać w długich naukowych
 referatach
 definicja jest krótka
 zwięzła
 – życie to sen ofiary
 oczekującej kata

Sen psa

...i śniło mu się
 że sięgnął tronu Zeusa
 że uniósł się ponad ziemię
 że w ekstazie podziwu spłodził
 boskiej urody Atenę
 już czuł się jak heros
 wzniesiony ponad wyżyny
 już miecz miał w ręku i wagę
 karał za grzechy i winy
 gdy nagle
 ostrze światła przedarło się
 do źrenicy

sen przysł
 znowu był kundlem
 przypiętym do smyczy

Anna Jędryka

WIERSE SENNE

BEZSENNA NOC

Gdy noc bezsenna spać nie daje wcale,
Latarnia światło na pościeli kładzie,
Wstaję cichutko i do kuchni zmierzam,
Sięgam po zeszyt leżący w szufladzie.

Zapełniam stronę, wyraz po wyrazie,
Myślą, co nagle w mej głowie się rodzi –
Często niesforną, mocno niecierpliwą.
Wspomnieniem żegnam dzień, co już
odchodzi.

I kiedy cała kartka zapisana,
A ja – zmęczona już pragnę zaśnięcia,
To przywołuję obrazy najmiłsze.
Nie chcę pamiętać o trudach, potknię-
ciach.

Gdy już wyczerpię wszystkie możliwości,
A sen mnie nadal omija z daleka,
Zamykam oczy... i niespodziewanie
Sen upragniony na poduszce czeka.

23.01.2018 r.

MARZENIA SENNE

Marzenia sennie płyną jak obłoki,
Często są barwne jak skrzydła motyli,
Jak ogród kwiatów budzący się wiosną,
Jak czerwień maków, żółć frezji, żonkili.

Marzenia sennie jak tęczowe lustra,
Co zdobią niebo po deszczowej chmurze,
Mienią się w słońcu jak kryształki rosy,
Zlewają w całość i pędzą ku górze.

Marzenia sennie nieraz brudne, bure,
Jak gęste błoto w jesiennych kałużach
I choć zapragniesz, by dać im kolory,
To w ciemnych barwach będą się zanurzać.

Brak jest sposobu, by rozjaśnić nieco
Te brzydkie cienie, te czarne widziadła,
Są tak ponure – jak noc bez księżyca,
Jak złe potwory w czeluściach mokradła.

A takie zjawy – to już nie marzenia,
To sen złowrogi, co się w umysł wciska,
Więc jak najszybciej musisz go zapomnieć,
Bo nienawiścią i goryczą błyska...

23.01.2018 r.

NIM NOC NASTANIE

Niech mnie kołyszą listki akacjowe,
co z szumem wiatru tańczyć są gotowe,
niech mi uścielą zielone posłanie –
nim noc nastanie.

Niechaj mnie deszczyk wiosenny obmyje,
niech mi wypłucze ręce, twarz i szyję,
niech mi wilgocią napełni posłanie –
na dobre spanie.

Niechaj mi księżyc rozświetli noc czarną,
zanim me zmysły mroczne sny ogarną,
niechaj rozjaśni mi moje posłanie –
nim sen nastanie.

Niechaj mi gwiazdy w ciemnościach
migoczą,
aby wytchnienie dać zmęczonym oczom,
niechaj mi świecą nad moim posłaniem –
przed zasypianiem.

Niechaj mnie strzegą niebiescy anieli,
co z jasnych niebios na ziemię sfrunęli,
a kiedy rankiem nowy dzień nastanie –
obudź mnie, Panie!

20.05.2017 r.

RACHUNEK SUMIENIA

Podczas długiej i bezsennej nocy,
Kiedy księżyc mrok w jasność zamienia,
Srebrne gwiazdy wpatrują się w okno,
Robię wtedy rachunek sumienia.

Ile złego uczyniłam dzisiaj?
Czy bliźniemu pomogłam w potrzebie?
Jakich błędów mogłabym uniknąć,
Gdybym częściej patrzyła za siebie?

Podczas długiej i męczącej nocy,
Gdy sen nie chce usiąść na powiekach,
Takie sobie zadaję pytanie:
Czy zraniłam jakiegoś człowieka?

Ile dobrych rzeczy mogłam zrobić,
A umknęły, zanim je dostrzegłam?
I nie byłam w stanie ich dogonić,
Choć za nimi bardzo szybko biegłam...

Nocną porą, gdy zaśnie już słońce,
Dopadają mnie wciąż wątpliwości,
Czy zdołałam choć jednej osobie
Podarować okruszek miłości?

Czy u kogoś wywołałam uśmiech?
– Pytam duszę, serce dopytuję.
Czy dzień przyniósł mi zadowolenie?
Ciemną nocą ta myśl mnie nurtuje...

28.12.2017 r.

SEN

Ucisz się, moja duszo, otul mnie, słodki śnie,
Niech szmery już umilkną, niech noc uciszy je.
Ucisz się moje serce, niech błogi spokój trwa,
Poduszka – dobra wróżka, niech mi wytchnienie da.

Niech zaśnie wyobraźnia, umknie natrętna
myśl,
Co mam uczynić jutro – nie chcę planować
dziś.

Mój śnie wyczekiwany, tak bardzo pragnę cię,
Pół nocy już minęło, ty nie usypiasz mnie.

Śnie drogi, przybądź do mnie, zmęczone oczy
zmruż,

A na strudzone ręce – złóż mi bukietik róż.
Podaruj wonne zioła, milion błyszczących
gwiazd,

Zapal srebrzysty księżyc, latarnie wszystkich
miast.

Rozkołysz wiatrem drzewa, ucisz szum mor-
skich fal,

Pożegnaj moje troski, kłopoty, gniew i żal.

I niech tak trwam w uspieniu, aż wstanie
nowy dzień

I blask jasnego słońca przesłoni udręki cień.

17.12.2017 r.

Aleksandra Kowalska

WYZNANIE WIARY



Aleksandra Kowalska, foto ze zbiorów prywatnych

MONOLOG

że Cię kocham
 że przepraszam za zwątpienie
 z podniesionym głosem
 ze zniecierpliwieniem
 i że wszystko mi jedno

że brak siły
 że półtorej godziny
 w monologu dałeś poznać
 że jestem w półprawdzie
 choć i tak godna

byś kochał mnie nadal
 byś nie zwątpił w cień wiary
 byś w chwiejnej miłości mojej
 zawsze czekał przyjąć gotowy
 nawet gdy znów z żalem
 przed Tobą staję

10 grudnia 2016 r.

AUTOPORTRET

proszę
 módl się ciszej
 nie słyszę co mówisz do mnie

gdy słowa zbieram z trudem
 chwilę pomilczę

proszę
 módl się ciszej
 w roztargnieniu zgubiłam ciało duszę

gdy słuchałam siebie
 zapomniałam zamilknąć

proszę
 módl się ciszej nic więcej
 by usłyszeć ciszę

módl się głośniej

krzyczę

11 grudnia 2016 r.

PĄKI NADZIEI

już kruche szarością
zimna białego
boją się kasztany
boją się brzozy
że nie odrosną
zielone marzenia

już wiatr targa
a one jeszcze
pragną wznieść się
posłuchać
gdy czule szepczesz
gdy całujesz

i czerpać z miłości
jakby była ostatnią
nie szczędzić wiary
dzięki niej rosną
nie czekać jutra
błogosławić dzisiaj

bo gdy spadają kasztany
wiedzą czują
że czas powoli odejść
by znów się narodzić
by spotkać się z tobą
bez pretensji umierają

lecz głęboko w ziemi
wciąż świeże korzenie
wody żywej popłyną soki
i w twoim sercu
w czas niedaleki
rozkwitną pąki nadziei

11 grudnia 2016 r.

POMIMO

tylko na chwilę zasnę

ból trawi mocniej
jest częścią mnie
niezmiennie ufam

najbardziej lubię
gdy wspólnie marzymy
nie ma granicy

nie czuję ziemi
kocham
nie ma żalu

najbardziej lubię
przenosić góry

19 września 2017 r.

BLIŻEJ

wybacz
że porównuję swoje dłonie do Twoich

przekręcam spodem do nieba
patrzę

czy krew płynie równie czerwona

1 lutego 2018 r.

Z DALEKA

na wszystkie zranienia
rozczarowania
na żale tęsknoty
marzenia

kłaniam się
choć z daleka
dotykam nieba
czekam

na wszystkie słabości
upadki
na gniew uniesienia
przebaczenia

JESTEŚ

14 września 2017 r.

GÓRA TABOR

chciałabym mieć znów pięć lat

do niebieskiego pudełeczka
z brązowym rzemyskiem
zbierać kamyczki

a potem układać je
jeden przy drugim
nie wiedząc czemu z zachwytem

rozłożyć ramiona
i marzyć że jak ptak
można pokonać strach

chciałabym mieć znów pięć lat

gdy dorosnę obiecaj mi
na Górze Tabor
przemienisz moje dni

29 listopada 2016 r.

WIARA

posłuchaj
skowronek

tyle w nim dźwięków
łęki deszczu nieba
rozmowy która odeszła

skowronek

szary prawie go nie ma
słysząc tylko śpiew
wiary

20 maja 2017 r.

Aleksandra Kowalska urodziła się w 1973 roku w Częstochowie, tu mieszka i tworzy. Jest absolwentką Liceum Plastycznego, a następnie kierunków: grafika artystyczna (1998), wiedza o kulturze (2008), malarstwo (2014) Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza (dawniej: WSP, AJD) w Częstochowie oraz historii sztuki (2015) Uniwersytetu Śląskiego. Jest założycielką i liderką zespołu „Impast”, pisze teksty i muzykę do utworów, które wykonuje. Uczestniczy w artystycznych przedsięwzięciach interdyscyplinarnych. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków oraz do Stowarzyszenia Muzealników Polskich. Pracuje w Muzeum Regionalnym im. Zygmunta Krasińskiego w Złotym Potoku. Uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek oraz grafikę artystyczną, zajmuje się projektowaniem graficznym. Jest związana z Janowskim Klubem Literackim. Poezją interesuje się od młodości, debiutowała w czasach licealnych w miesięczniku „Nasza Częstochowa”, w 2015 r. zadebiutowała tomikiem poezji *W objęciach Boga – miniatury szpitalne*. W 2018 r. ukazał się jej tomik *Polana dwojga*.



Roman Timofejuć, z cyklu: „VEDUTY”

Zdzisław Sierpiński

DZIEWCZYNY CZTERECH PÓR ROKU

Pełnej krwi dziewczyna (względność)

Oni:

Nogi w kształt procy do lotu rozpiąwszy
Sprężyną brzucha gotowa do strzału,
Cięciwę łydek napina pomału
Aż drży w pęcinach.

W jej włosach wicher goni smagłe żagle
Oczy po ojcu – diable.
W ustach zaprasza buklakiem wina
Pełnej krwi dziewczyna.

W meduzach piersi jej kipi drożdży ciasto
Aż blednie wokół. Nagość kibić
Sklada do skoku – jak trampolina.
Pełnej krwi dziewczyna

Dotykiem kolan poziom krwi zawyża
Corpus delicji na snu podporach.
Czerwcami pszczoł brzmi w uszu komo-
rach
Gdy się przybliża.

Przed taką Kmicic głowę by dał –
Choć chłop był na schwał.
Żarem oddechu męskie białko ścina –
Pełnej krwi dziewczyna.

Ona:

A ona kamienie na włos nawleka
Mitręgę ludzką – religię ciała.
Różaniec na palcach jak sieć rozwiesza
W modlitwie cała.

Kruchtą swej głębi w podstępie mielizny,
Którą od wieków piszą kobiecie,
Stalowym łożem w ciała lawecie –
Czeka na okruch męczyzny.

Dziewczyny czterech pór roku

Zimowa

Chcę dziewczynę na zimę!
Wonną i rumianą
By się w nią zanurzyć jak w tęgą pierzynę.

Niczym para herbaciana
Wirująca w szklance
Będę z nią wyczyinał
Herbaciane tańce.

A jak zima skuje
W rurociągach wieże
I krany przestaną mruczeć swe canzony:

Wyjdę na dwór, wezmę dzban miedziany
Puchu doń zaczerpnę i na piec czerwony
Stawię czaru sagan.

Niechaj w nim zahula
aż po biegun cały,
Niech w węgle zadmucha
Celsjusz rozszalały.

Piersi białe, śnieżne kule
Nie lodowcem – lecz w czystości.
Umrzeć w mrozie pono czulej
Niżby anioł łoża mościł.

Wiosenna

A gdy wiosna narkotycznie
Ziemią parną w nozdrza dyszy
Kiedy wszystkie kwiaty, ptaki
Widzisz, czujesz – nawet słyszysz.

Kiedy kwiecień lekko praży
Maj się w bzach zatracą, tonie.
Życie się na nowo rodzi
Oczy płoną, mdleją dłonie.

Wtedy Ona z mgły na łące
Jakimś snem się jawi prawie.
Uda białe, parujące
Stopy bosc, usta krwawe.

Dreszczu śladem do ust blisko
Spływasz – konwaliowy tuman.
Tracisz ciało, duszą jesteś
Tworzysz jedno i to wszystko.

Letnia

A na lato miododajną.
Ust lipowych pełne ule.
Na pożary słońca – nagą
W chusty wietrzne – zwiewne tiule.

Rozłożywszy wawóz piersi
Łona kołpak, ud kokardy –
Męski miecz bezwstydem hardy
Ku odwiecznej wzywa walce.

Ręk zaskrońce cię pochwyć
I w szuwały westchnień wpłyniesz.
Żarem pocałunku giniesz!
O Euterpe – źródło żaru.

W brzóz warkoczach pełgająca,
Mgłą odpływa w bezmiar światła –
Ku kipiącym zórz kaskadom,
W niepochwytne głębie czaru.

Jesienna

A pod jesień: smętną, rzewną
Co po sadach jabłka włóczy.
W żółcień słońca zabłąkaną
W senne futro kocich mruczeń.

Ciut podobną do anioła
I troszeczkę do motyla.
Mgielną, cichą, zadumaną
Gdy po złoty liść się schyla.

W srebrnych dymach kartofliska,
Rozmodloną na różańcu.
Niewidoczną, zapłątaną
W sieć bajkowych pomarańczy.

Wieczór. Ogień mży pod blachą.
W sen zapadli już wszyscy święci.
Ona się modli i czeka
Szukając kogoś w niepamięci.

Nie było zimy

(parafraza utworu Stanisława Grochowia-
ka pt. *Nie było lata*)

Nie było zimy –
Jesień stanęła jakby z bicza uciął.
Pytam jesieni – panno wielmożna?
Wrzesień grudniowi słońca użycza,
Bez hipoteki – ale czy tak można?

Niby bociany w sierpniu odleciały,
Jaskółki także swe gniazda przeniosły.
Pszczółki zastygły, motyle usnęły –
Lecz mrozu nie ma – nie ma też wiosny.

A co z rybami, które sen omija
I nie przykrywa ich puchu pierzyną.
Ni gładkim lodem jak hożą dziewczyną
Bez snu do wiosny – któż to wytrzyma?

Październik ciągnie pełne stopy jabłek.
Skrzynie pomidorów – lecz od Hiszpanii.
U nas już lata nie ma urodzaju –
Chudo będzie w owoc w komorach pleba-
nii.

Nie było zimy – ledwo sypnął puszek,
Gdzieś koło Matki Boskiej Gromnicznej.
Krety wychodzą, aby spać na drzewach.
Drzewa bezsenne – drzewa liryczne.

Nie było zimy – choć Popielec bieży.
Już czuć go postem wyczyszczonych rondli.
Sieni wymiecionych, wietrzonych alkierzy.
A zimy nie ma – i bądź tu mądry.

Sowy w dziuplach nie śpią, borsuki grasują.
Wiatr błądzi w szuwarach – mruczy
i szmera.
Święty Walenty brzęczy na gitarze,
Wiosna na łąkach z mgieł się przedziera.

Zamiast grudzień mrozić ziemię miękką
w grudy,
Posypać puchem drzewa i świat cały.
Barbara tańczy walca z Mikołajem –
Lecz nie na lodzie, a w słońcu zetłałym.

Styczeń dzisiaj raczej wiosnę przypomina.
Sanna, kulig konny – to baśnie i baję.
Niedźwiedź zamiast chrapać słodko w ma-
teczniku,
Nudząc się „w słupka” – jako zajęc staję.

Nie było zimy – od gór aż do Kutna
Rzeki płacząc ciągną łez jesienne płaszcze.
W lasach pleśnią dzikich malin chaszcze,
Drzewa w czerni stoją – jak na Brueglów
płótnach.

marzec 2018

Zdzisław Romuald Sierpiński urodził się 26 czerwca 1956 r. w Częstochowie. Z wykształcenia jest nauczycielem muzyki, organistą, akordeonistą i śpiewakiem. Uzdolnienia muzyczne przejawiał od lat najmłodszych. Jako członek wielu częstochowskich chórów uczestniczył w ważnych wydarzeniach muzycznych, współpracował z wielu znanymi dyrygentami i kompozytorami. Twórca i lider koncertującej w mieście „Kapeli Piosenki Wszelakiej”, teksty i muzyka, wykonywane przez zespół, opatrzone komentarzem dotyczącym Częstochowy, zostały zamieszczone w wydany przez Muzeum śpiewniku *U nasz w Częstochowie*. Jako nauczyciel muzyki komponował melodie do wierszy znanych poetów, przygotowywał też spektakle z wykorzystaniem własnej twórczości literackiej i muzycznej, prezentowane na forum miasta. Stworzył wiele utworów okolicznościowych z okazji jubileuszy i innych ważnych wydarzeń, związanych z Częstochową. W 2008 r. doznał udaru mózgu, po którym powrócił do pełni sił twórczych. Nadal aktywnie uczestniczy w życiu muzycznym i literackim miasta, pracuje jako organista. W 2015 r. otrzymał odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Od dzieciństwa interesuje się także literaturą. Jego wiersze, opowiadania i eseje publikowane były w „Almanachu Częstochowy”. Najnowszą fascynacją jest poezja Federica Garcii Lorki, do której komponuje muzykę i wykonuje wraz z własnymi tekstami, inspirowanymi wierszami Lorki.

Zdzisław Opalko

O PRZYMIOtach I UPODOBANIACH CZASU

czas lubi wchodzić przez zamknięte drzwi
 nie jest wybredny
 różnym bytom nie wzbrania udziału w żadnym przedsięwzięciu
 częsteczkom kurzu mrokom głębin
 proponuje niezliczone miejsca
 zaprasza pająki i koralowce do cichej współpracy
 otwarty na każdą inicjatywę bez uprzedzenia i beznamiętnie
 akcentuje jej zakończenie
 lubi przyspieszać lub opóźniać bieg wydarzeń
 unika jednak wpływu na ich ilość i sens
 nie tłumaczy się z niczego i nikomu
 zdarzające się wpadki chętnie bierze na siebie
 niezależny udziałowiec – złośliwość losu

czas ma wybitne zdolności aktorskie
 potrafi płynąć jak rzeka i przeciekać przez palce
 pędzić jak szalony i nie spieszyć się nigdzie
 bywać wszędzie ale nigdy nie wiadomo gdzie bardziej
 stale obecny i ciągle go brak
 jednym ucieka innym nieubłagane przedłuża swój pobyt
 oczekiwany oswajany marnowany przeklinany i błogosławiony
 zawsze do końca gra każdą z ról
 czy ma ulubione? – chyba nie
 jednak sądząc po reakcji sezonowej widowni
 w indywidualnych przypadkach niektóre faworyzuje

miewa zmienne nastroje i ulubione miejsca pobytu
 niecierpliwy na peronach i przystankach
 w kolejkach i szkolnych ławkach
 w zapachu stygnącego obiadu wiązance róż
 larwom owadom pisklętom
 przydziela część siebie z aptekarskim spokojem i precyzją
 otacza wyrozumiałą opieką nasiona i ziarna
 obojętny lub sentymentalny w starych fotografiach
 bywa że w czterech ścianach nie oczekuje na nikogo

uwielbia zabawę w chowanego
 może pojawiać się i znikać z hukiem wystrzału bólem uderzenia
 ukłuciem igły piskiem opon a nawet zupełnie bez powodu
 odlicza sam siebie nie odróżniając ciepła przyjaznej dłoni
 od ciepła ślepego odłamka bomby
 w przewijanych w pośpiechu sekundach i latach

ukrywa się równie dobrze jak w bezwładzie
potrząsanego ciała: – pan mnie słyszy?

ma specyficzne poczucie humoru
pozwala odmierzać się zegarom stoperom i minutnikom
bawi się ich tykającą konsekwencją
podziwia wytrwałość i niezawodność
w milczeniu stoi nad zepsutymi a te
dumne ze swoich mechanizmów wsłuchane same w siebie
budzą zaciekawienie pomysłowo zdobioną samotnością
i emanacją złudzenia
że mają swój czas

czas lubi życie
lubi życie tak bardzo że nawet po jego stracie
dalej robi swoje
jest jednak niekonsekwentny
zacierza ślady które sam pozostawił
otwiera rany które sam zabił
jest też nieubłagany
choć bywa że stoi w miejscu
poproszony o przystanek
zawsze odmówi



Roman Timofiejuk, „Afrodyta”, z cyklu: „H&O”

Maciej Rudlicki

BAJKA MUZEALNA

Gdzieś w poezji dziwnym świecie,
gdzie się może zdarzyć wszystko:
dom i ogród, a na ścieżce
Poświatowska ze Strzelbicką.

Niosą wiersze, zawsze świeże,
przesycone kobiet troską.
Idzie, niosąc je, Strzelbicka,
trzyma koszyk z Poświatowską.

Bo dla wierszy, jak dla dzieci,
ma być miejsce, schludnie, czysto...
No a one są staranne –
Poświatowska ze Strzelbicką.

Wiersze – ludzka nieskończoność,
zawsze są do powiedzenia.
No bo wiersze mają przecież
tylko... datę urodzenia!

Zbigniew Myga

ANIOŁ

O d dziecka uczono nas wiary w „niebo” i wszystkich jego lokatorów. Jest król, to i obecność dworu była uzasadniona, że o poddanych już nie wspomnę. Rój świętych i siedem chórów anielskich skutecznie zagęściły okołboski teren utrudniając kontakt z samym Stwórcą, czyniąc naszą wiarę nad wyraz skomplikowaną i trudno poznawalną, szczególnie dla najmłodszych. I tu pojawia się postać aniołka, anioła stróża, aniołka obdarowującego pociechy lub szepczącego do niewinnego uszka – oczywiście na przemian z diabełkiem. Postać anioła, wykreowana dla celów edukacyjnych, jest co najmniej dziwna. Sześć kończyn jak u owada, ptasie pióra, włosy będące atrybutem ssaków, brak płci... a jednak każde dziecko wie, jak wygląda aniołek. Ja też wiedziałem, że śliczny, biały, pierzasty i długowłosy, aż do chwili, kiedy na mej drodze stanął on, prawdziwy, rzeczywisty, materialny i zupełnie inny niż wszystkie nasze wyobrażenia.

Trudne czasy, poza tym, że są trudne, mają swoje zalety. Mianowicie to właśnie w trudnych czasach częściej zdarzają się rzeczy dziwne, a nawet, powiedziałbym, nadprzyrodzone. Zdarzenie, które chcę opisać, miało miejsce w ekstremalnie trudnej epoce drapieżnego Jaruzelskiego, tuż po zawieszeniu stanu wojennego. Pracowałem w sporej firmie, oczywiście państwowej – innych przecież nie było. A jak zakład, to oczywiście podstawowa komórka partyjna i obowiązkowo przybudówka młodzieżowa, czyli ZMS. Tym, którzy zapomnieli lub przyszli na świat po zlikwidowaniu tej zacnej organizacji, śpieszę przypomnieć, że mowa o Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nasz ZMS uporczywie stwarzał pozory działalności, miał gazetkę w gablocie, przewodniczącego i pewnie jedno fałszywe sprawozdanie na koniec roku. Tak było od lat, lecz kiedy na fali reformy „jaruzelskiej” wybrano nowego przewodniczącego, ten rzucił się do pracy i postanowił zorganizować rajd rowerowy z biwakiem dla młodszej części załogi. Pomysł został zrealizowany w sposób jak najbardziej standardowy, nie odbiegający od dawno wypracowanych wzorców. W gablocie zawisło ogłoszenie, że akurat długi weekend, pogoda jak drut, że dwadzieścia parę kilometrów do przejechania, że zabierzemy namioty, śpiwory i materace z firmowej wypożyczalni, a celem wyprawy jest uroczą leśniczówkę nad rzeką, w której gospodarzył krewny jednego z organizatorów. Ogłoszenie wydawało się atrakcyjne, więc i chętnych nie brakowało.

Wyprawa zdawała się być lekka, łatwa i przyjemna, tym bardziej, że bagaże miał dostarczyć firmowy dostawczak. Na miejscu zbiórki zjawiała się nas spora grupka, z rowerami oczywiście, ale jakoś nikt nie palił się do pedałowania. Po krótkiej wymianie zdań towarzystwo doszło do porozumienia, że jak zostawimy rowery w garażu, to spokojnie zmieścimy się do samochodu, niby żuk blaszanka, ale pakowny. Wygodnie to nam nie było, widoki z podróży też nieciekawe, bo podobne do tych, które oglądają sardynki w puszcze, ale w końcu lepiej było jak jechać niż pedałować w gęstniejącym upale. Po niecałej godzinie dojechaliśmy do celu. Miejsce okazało się być niezwykle malownicze, chociaż nie dzikie, ale mocno oddalone od siedzib ludzkich. Leśniczówka na skraju lasu, dalej rzeka, a za rzeką łąny zbóż jak okiem sięgnąć. Przez rzekę przerzucona była drewniana kładka zrobiona z byle czego. Zanim postawiłem nogę na pierwszej desce, z podziwem patrzyłem na różnorodność materiałów i rodzajów połączeń stosowanych przez konstruktora – głównie wiązanych przy pomocy sporego asortymentu lin i sznurów. Właściwie kładkę nale-

żałoby zaliczyć do gatunku mostów wiszących, bo jej przednią część podwieszono na linach, a właściwie powrozach, do konara wierzby płaczącej rosnącej na brzegu. Wszystko to trzeszczało i bujało niemiłosiernie, ale rzeka mała, to i ryzyko korzystania z tej przeprawy było stosunkowo niewielkie. Nie wiedzieć czemu na myśl przyszedł mi obraz Van Gogha, przedstawiający zwodzony most. Kolejnego skojarzenia dostarczyła ścieżka poprowadzona nieregularnym meandrem przez pola dorodnego i już dojrzałego żyta, tak jak w obrazku Marii Konopnickiej – „Krętą ścieżyną, co wiję się wstęgą...”

Krajobraz krajobrazem, ale trzeba było przerwać kontemplację i zająć się budową obozowiska. Panowie zaczęli rozbijać namioty, a nasze panie, jak zwyczaj każe, zajęły się poczęstunkiem, ale właściwiej byłoby w tamtych warunkach mówić o zakąskach, na dodatek mało wykwintnych, bo to kartki na mięso, pustki w sklepach, ale niezłą wiejską kiełbasę z przeznaczeniem na ognisko kupiliśmy w zaprzyjaźnionym pegeerze. Ziemniaków u leśniczego było pod dostatkiem, więc wieczór zapowiadał się suto i sympatycznie. Najtrudniej było z trunkami, bo też na kartki, jednak podstawową ilość butelek udało się zgromadzić.

Stawiam tezę, że te kartki na alkohol to była zwyczajna represja, odwet za „Solidarność”, na dodatek perfidna, bo pewnie w tym celu stworzono wistulę, czyli podłą wódkę, niezwykle kacogenną. Zamierzeniem rządzących było skazanie narodu na gigantycznego kaca, a na dodatek „głodowy” przydział jednej butelki na miesiąc wykluczał jedynie skuteczne leczenie przy pomocy klina. Oczywiście każdy radził sobie jak mógł. Najbardziej pożądana była niepijąca rodzina, która udostępniała dodatkowe kartki, a fakt, że wszystkie bloki na osiedlu śmierdziały zacierem, nikogo nie dziwił. Pędzono ze wszystkiego, co zawierało cukier. Jabłka, śliwki, gruszki, a nawet – o zgrozo – landrynki zaprawiano drożdżami, by fermentowały w pobliżu kaloryferów. Do destylacji używano zestawów – enerdownski szybownik plus chłodnica zakupiona w Centralnej Składnicy Harcerskiej w Warszawie. Kiedyś miałem przyjemność – na prośbę sąsiadów – odstać tasiecmową kolejkę i zakupić dwie sztuki – bo po tyle dawali. Kolejka zresztą też była ciekawa, bo w swojej części składała się z zaprawionych w bojach harcerzy, o czym świadczyły wojenne barwy ich żytnio-pszenicznych nosów.

Szczegółowy opis następnych godzin imprezy pominę. Wszystko odbywało się według utartych zwyczajów. Ognisko, chóralne śpiewy, kolejne toasty, ziemniaki pieczone w popiele, niebiański smak prawdziwej kiełbasy ugrillowanej na patyku... Zabawa trwała do rana i od wczesnego popołudnia do późnej sobotniej nocy. Spaliliśmy kilka sosen (było tego pod dostatkiem) i upiekliśmy worek ziemniaków, ale w końcu zapasy trunków się wyczerpały i nie pozostawało nic innego, jak udać się na spoczynek. Niedzielny poranek nie należał do przyjemnych, nikt z nas nie potrafił docenić walorów krajobrazu i wymarzonej pogody. Zlegliśmy nad rzeką, zmagając się z dolegliwościami powodowanymi metabolizmem wistuli. Każdy z nas marzył: a może by tak piwko, a może szampanik – niezastąpiony w takich okolicznościach, a gdyby tak kieliszek gorzałki?.. A tu znikąd pomocy. Niedziela rano, do najbliższej wioski parę ładnych kilometrów, może knajpa będzie otwarta, a jeszcze dopiero od trzynastej sprzedają!.. Pełna niemoc i beznadzieja. Czas oczekiwania na naszego firmowego żuka dłużył się niemiłosiernie. Musieliśmy tworzyć niezwykle żalosną grupę, bo nawet sam Stwórca dostrzegł nas z Niebiańskich Wysokości, okazał litość i zesłał... specaniola.

Wśród łąnów żyta na horyzoncie zamajaczył ciemny punkt, który wąską drożyną, co wiję się wstęgą, wyraźnie podążał w naszym kierunku. Po kilkunastu minutach punkt przybrał rozmiary człowieka, z pozoru lichy odzianego wieśniaka w znoszonej marynarce

i wymiętym kapeluszu. Mężczyzna ogarnął spojrzeniem naszą podejrzaną grupę i wszedł na kładkę, po kilku metrach zatrzymał się, odwrócił i spytał:

– A bimbrow to by się nie napili?

Zerwaliśmy się na równe nogi jak wędrowcy na pustyni, którzy dostrzegli oazę. Cena okazała się przystępna, zresztą chyba ostatnią rzeczą, o której myśleliśmy, to były pieniądze. Patrzymy, a nasz dobroczyńca wyciąga z przepastnych kieszeni znoszonej kapoty dwie litrowe butelki bimbrow zatkałe zwitkami gazety. Przybysz zainkasował należność i oddalił się w stronę lasu, a my rozpoczęliśmy kurację. W szampańskich nastrojach doczekaliśmy przyjazdu naszego kierowcy i powróciliśmy na łono cywilizacji naładowani energią na następny tydzień, tym bardziej, że ten napój nie powodował żadnych przykrych dolegliwości. Zresztą jakby mógł – w końcu był to anielski trunek...



Roman Timofiejuk, „Bieg”, z cyklu: „H&O”

Zbislaw Janikowski

SYLWESTER

(Wyjęte z większej całości, której jeszcze nie ma i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie)

O d lat tak się składało, że każdy rok kończył się sylwestrem (to nie przypadek, że sylwester napisałem małą literą, dopiero jak na sylwestrze spotkamy Sylwestra, ta mała litera zmienia się w dużą). A o Sylwestra było rzeczywiście trudno, łatwiej już było trafić na Melanię (imieniny też 31 grudnia), a najłatwiej o Eugeniusza (30 grudnia) lub Mieczysława (1 stycznia). Wszyscy ci solenizanci ubarwiali i tak barwne powitanie Nowego Roku. A witał ten Nowy Rok (i nowy rok) cały naród, a w mojej pamięci z tych uroczych i uroczystych powitań zostało niejedno, niejedno też wyparowało, a to za sprawą mojej własnej pamięci, która widać niezbyt szczelna była i z której przez bąbelki zawarte w szampanie wiele wraz z nimi uleciało. Powiedziałem: cały naród, bo rzeczywiście cały naród świętował, cieszył się, obiecywał sobie, że Nowy Rok przyniesie w darze niejedno, a nie puste, powtarzane corocznie słowa.

Jednak najważniejsze było świętowanie, a jak świętować, to w kupie, wraz z innymi, na sali, w tłumie, ze znajomymi i nieznanymi, od początku balu, przez północ pod zegarem w Nowy Rok wprowadzającym, aż do ostatniego gościa na sali (najlepiej było być tym gościem), do bladego noworocznego świtu... Często już orkiestra swe instrumenty pakowała, a ostatni goście jeszcze z placu boju nie schodzili, oni bawili się do upadłego. Prawdą też jest, że niejedno niejedno raz upadł, ale i powstał, a jak nie mógł, to znaleźli się tacy, którzy pomogli. A sama orkiestra, czyli muzycanci, ci pod koniec balu na nogach się ślaniali i nawet ekstra opłaty do grania już by ich nie zmusiły. Można się tylko zastanowić, skąd na tę jedną noc tylu muzykantów się znalazło. Proste, przez pączkowanie! Znany i sprawdzony zespół dzielił się na kilka, każdy z profesjonalnych jego członków dokooptowywał kilku amatorów, kilka razy zagrali na próbę i ruszali na sylwestrowe żniwa. A jak wychodziło? Na ogół kiepsko, ale kto by o to dbał, wystarczało, że było głośno, radośnie, a my tańczyliśmy całą noc!..

A tych sylwestrów było co niemiara! Władza Ludowa, jako że z ludu pochodziła, zezwalała na organizowanie sylwestrowych zabaw w szkołach i przedszkolach, w przyzakładowych świetlicach, stołówkach, bo o strażackich remizach nawet wspominać nie warto. Owszem, były wielkie bale w najlepszych restauracjach, w naszej Częstochowie oczywiście w „Polonii” i „Na Górcę”, a gdy lokali przybyło, to i w „Adrii”, w „Gościnnej”, a nawet w modnej „Joasi” w Gnaszynie i w innych. Ekskluzywny bal odbywał się w Domu Rzemiosła (tam balowali najbogatsi prywatnie), na Politechnice i WSP, oczywiście u kolejarzy, hutników, górników, w licznych zakładach włókienniczych, wojskowy w „Kasynie”, z czasem przybył milicyjny w „trójkacie” i jeden Bóg wie, gdzie jeszcze. Nie możemy zapomnieć o prywatnych balikach, prywatkami zwanych, które odbywały się w zwykłych mieszkaniach, a nawet o wyjazdowych prywatnych balach, organizowanych w podmiejskich kurortach: w Żarkach, Olsztynie czy innej Błachowni.

Ci, co bywali na zabawach publicznych, w zasadzie nie musieli martwić się o menu, co najwyżej zabierali ze sobą jedną lub kilka awaryjnych fiaszek, ale przygotowanie sylwestra w domu było już poważnym wyzwaniem, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie niemoc naszego handlu, w którym permanentnie brakowało wszystkiego. Była też epoka kartkowa, a wtedy kupić coś niekartkowego trudno było. A jednak organizatorzy „dawali radę”. Gotowano gary bigosu, barszczyku, przyrządzano sałatki, spryciarze organizowali śledzie,

a wybitnie zorganizowani potrafili zorganizować nawet szyneczkę lub inną ekskluzywną wędlinę. Byli nawet domowi wytwórcy wspaniałych wędlin i wędzonek, te wędzono domowym sposobem w ogródkach działkowych lub u znajomych za miastem mieszkających. Byli nawet tacy, którzy wędzili na balkonie w 11-piętrowym bloku, ale najlepiej było naszą spreparowaną a nieuwędzoną wędzonkę oddać w ręce profesjonalisty (adres na Przybylszewskiego już nieaktualny, mistrz nie żyje), który profesjonalnie wędzenie przeprowadził, oczywiście stosowną opłatę za nie inkasując. Wędzonka wędzona tradycyjnym sposobem czarowała swym zapachem, a po ugotowaniu dawała wspaniałą rosołkę na cudowny żurek lub barszczyk czerwony.

Zapach zapachem, barszczyk barszczykiem, a tradycyjny szampan na naszym sylwestrze musiał się znaleźć. I to był kolejny etap mozolnych poszukiwań, a gdy wreszcie ów trunek się znalazł, to okazywało się, że pod szyldem wspaniałego „szampa” ukrywa się jakieś tanie gazowane wino – ale kto się na tym znał, bąbelki miały być – i były. Oczywiście na sylwestrowych stołach nie mogło zabraknąć sławnej oranżady, tak, tej, której poświęciliśmy już tyle miejsca (tu należy wyjaśnić, że to, co Szanowni Państwo teraz czytają, jest fragmentem wielkiego dzieła, w którym wiele miejsca owej oranżadzie poświęciłem).

W restauracjach dania podawano do stolika, ale na balach – od Politechniki aż po remizę – to, co nam przysługiwało, trzeba było pobrać samemu z bufetu – tak szumnie nazywało się miejsce, gdzie „wydawano”. Stali zatem panowie w kolejce do okienka (o ile takie było) lub do pokoiku, gdzie jedna z organizatorek bigos chochlą na talerzyk nakładała, a potem, lawirując i zonglując trzymanymi w rękach porcjami, na swoje miejsce wrócić trzeba było.

I tak czas upływał do północy (niejeden nawet jednego tańca nie zatańczył), kiedy to wodzirej (o ile był na stanie sylwestrowego personelu) Nowego Roku nie oznajmiał. Strzelały korki, „sowieckoję szampańskoję” lało się obficie, wszyscy wszystkim życzyli i przepijali, a potem przepijali i życzyli, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i „jeszcze mnogo, mnogo raz”, a co odważniejsi i bardziej światowi „w salę szli”, by znajomych odnaleźć i im również życzyć, a potem poturbowani licznymi toastami do swoich wracali i nim ponownie pod kuchnię po barszczyk ruszyli, że dwa razy zatańczyć zdążyli. I trwało to szaleństwo w coraz bardziej pustej Sali, i było coraz weselej, czasami udawało się nawet dobudzić tych przepracowanych, którzy przemęczeni zdrzemnęli się...

Jak na mężczyznę przystało, zapomniałem o strojach, kreacjach, modzie, a ta na przebieg zabaw nie miała wpływu. Panie musiały przecież wyglądać, więc kreacje, te przygotowywano na wiele miesięcy wcześniej, ale i tak coś w nich było nie tak i niemal do momentu wyjścia na bal należało to coś poprawić, a nawet przerobić. Spóźniałskie miały problem, bo wszystkie sprawdzone krawcowe zawałone były robotą i z trudem zdążyły, często kończąc kreację w ostatniej chwili. Można sobie tylko wyobrazić panujący wtedy stan napięcia, nerwy, spazmy, awantury; apokaliptyczny armagedon w porównaniu z tym, co wtedy się działo, to istna fraszka-igraszka. A epoki mód również pamiętam przeróżne, i suknie bombki, i długie, i mini, i błyszczące, i przeświecające, trapezowate i na ołówek, z talią i bez talii, wzorzyste i powłóczyste... Dość! Niestety, nie tak szybko, wieczorowy strój wieńczyła fryzura i znowu: „na Simonę” i chryzantemę, na Bardotkę z końskim ogonem, w loczki lub proste, z grzywką lub bez, a czasami wielki kok lub tapir, do tego rude lub czarne albo blond w pasemka z brokatem, z kwiatkiem, lakierowane lub rozczochrane – zresztą panie wiedzą najlepiej. A u fryzjerek, tych najlepszych i zaprzyjaźnionych, nie było litości, szło na noże, bo przecież przed północą trzeba było zdążyć, sam pamiętam zaprzyjaźnione pary, które na salę docierały na krótko przed północą. Tu powiem w tajemnicy, że fryzura nie powalała, co najwyżej wyrwała z przedwczesnej drzemki niektórych panów mocno zaangażowanych

w pierwszą fazę zabawy. Do butów już nie mam sił, ale zapewniam, że zawsze na nogach były, choć czasami, gdy mocno uwierały, kończyły porzucone pod stolikiem. O biżuterii byłbym zapomniał! W latach 60. królowała czeska, ze sławnego Jablonexu w naszych sklepach Jubilera obecna, a jednak i później, i wcześniej – ta prawdziwa zawsze w zachwyt wprawiała i zazdrość budziła.

Dużo łatwiej było ze strojem męskim: garnitur i biała koszula plus krawat. Ten ostatni bywał często bardzo, ale to bardzo różny – no cóż, panowie mieli na głowie tyle spraw, takie wydatki, że krawatom zbyt wiele uwagi nie poświęcali. Zazwyczaj w męskiej garderobie był jeden – uniwersalny (bywało, że jego uniwersalność posunięta była tak daleko, że krawatem na gumce był). Wielu panów próbowało jednak za wymogami męskiej mody nadążyć, a wtedy krawat zmieniał się z szerokiego w wąziutki, z wzorzystego w gładki. Niestety, większość krawatów to były prezenty ofiarowane naszemu elegantowi z okazji imienin, św. Mikołaja lub gwiazdki i jako takie różne były i różnie się prezentowały. Jak zwykle i tu bywały wyjątki, modnisie mieli krawaty na każdą okazję, do wyboru, do koloru. Znałem takiego, który swoją bardzo rozbudowaną kolekcję krawatów (tych niemodnych) na działkę wywiózł i tam do podwiązywania krzaków pomidorów używał. Kiedyś przy jakiejś okazji zwierzył mi się, „że zajęcie to bardzo lubił, bo co krawat, to jakieś wspomnienia w nim odżywały”.

Koszula, krawat – to jedno, ale garnitur! Przeważnie mężczyźnie w PRL-u jeden garnitur na całe życie (no, może nie od poczęcia) wystarczyć powinien. Zatwardziali kawalerowie niemal do śmierci potrafili wbić się w garnitur, w którym do egzaminu maturalnego przystępowali (o ile w ogóle egzamin taki zdawali), inni przez długie lata w ślubnym ancugu się prezentowali i choć nie wyglądali w tym najlepiej, to wyrzucić nie można było, bo szkoda i „gang” jeszcze się nie podarł. Co najwyżej guziki na skraj poły przesunięto, a w ostateczności, jak w spodniach szwy puściły, to trudno, nie takie rzeczy się zdarzały. Przed balem poddawano go reanimacji (garnitur, nie jego właściciela), trafiał wtedy do pralni chemicznej, która to plamy po różnych śledzikach i bigosach usuwała. Opowiadała mi koleżanka, że kiedyś była świadkiem, jak korpulentna matrona garnitur taki z pralni odbierała, a ekspedientka uwierzyć wprost nie mogła, że to mążusia – którego ogromną postać przez wystawową szybę podziwiać można było – a nie synusia.

A jak o sylwestrze mowa, to w pamięci odgrzebałem obrazki, które pokazywała nam Polska Kronika Filmowa, a później TV, obrazki z balów przeróżnych i to tych z najwyższej półki. Życzenia narodowi składał sam Pierwszy Sekretarz (a ci się zmieniali – średnio raz na dekadę – pamiętam i Władysława Gomułkę, i Edwarda Gierka, i Wojciecha Jaruzelskiego). A potem pokazywano fragmenty, malutkie i króciutkie, na których można było podziwiać tańczących pierwszych sekretarzy i innych tuzów ówczesnego świata polityki – Józefa Cyrankiewicza, Aleksandra Zawadzkiego, Piotra Jaroszewicza i wielu innych. Pokazywali się zawsze w ciemnych garniturach, zawsze „pod krawatem”, zawsze z towarzyszką życia u boku. Przewijały się więc owe pierwsze damy, różne Zochy i Stachy, tak przez lud pieszczotliwie nazywane (nikt o ich zgodę na takie spoufalenie w tym przypadku nie pytał). I pokazywały te obrazki zegar, który północ wieścił i Nowy Rok wprowadzał, i kieliszki szampana (chyba prawdziwego), którym w imieniu klasy robotniczej wódz partyjny noworoczny toast spełniał i... i w tle mignęła czasem jakaś piękna dziewczyna albo wielka gwiazda teatru lub filmu... Ech, łażą się kręci w oku... Teraz żadnego wodza nie pokażą.

A my szaleliśmy, na skutki (a takie następnego dnia przyjść musiały) nie bacząc. Stan w dzień po nazywał się kacem i z nim wkraczało się w Nowy Rok.

2017–2018 w Częstochowie

Maciej Rudlicki

DWA, TRZY RUCHY...

Nigdy nie miałem zamiaru wyjeżdżać do sanatorium. Co za diabeł mnie podkusił, żeby na to się zgodzić?! Tak więc z własną żoną Basią na taki obóz sanatoryjny – pojechaliśmy.

Moja dezaprobata dla tej formy rehabilitacji zdrowotnej nie ma nic wspólnego z poglądami Basii, bo ona to po prostu lubi i ceni. Całe szczęście, że tylko na tydzień, bo dzięki temu mogę powiedzieć, że mój wyjazd w pewien sposób został uzasadniony moją ciekawością.

Obóz sanatoryjny „Dwa, trzy ruchy” – to kilka połączonych budynków, duży plac wewnętrzny z ławkami do wypoczynku i ogródkiem ćwiczeń fizycznych, mała tężnia, kort tenisowy i parking. Jest też atrakcyjnie reklamowana kawiarnia, ale nie działa, bo... nie działa. Podjeżdżamy samochodem pod główne wejście, ale drzwi wejściowe na fotokomórkę nie otwierają się. Przez szybę widzimy uśmiechniętego młodego portiera w białej koszuli, siedzącego za urzędowym cokołem kolejnej szyby, który widzi nas, ale jest zajęty. Nasza bezradność, stojących z bagażem, jest dla niego tak zabawna, jak nauka pływania muchy w smole. W przypływie złości wciskam palce w szczelinę drzwi i siłą woli i mięśni otwieram je. Wchodzimy.

– Psują się – mówi z uroczym uśmiechem empatii portier – ale – dodaje – może da się coś zrobić.

Zahamowałem wszystkie przekleństwa, które cisnęły mi się na usta i w świadomym szczękościsku przysłuchuję się, jak Basia załatwia formalności. Zbieramy wszystkie bagaże i jedziemy windą na pierwsze piętro, a tam rozpoczynamy kilkudziesięciometrową wędrówkę z bagażami labiryntem korytarzy. Mój szczękościsk, niestety, popuszcza i od czasu do czasu uwalniam słowa powszechnie uznawane jako niecenzuralne.

Ulga. Pokój duży, z balkonem i dobrze wyposażony. Rozkazy, jakie otrzymaliśmy na portierni, każą nam teraz iść do obozowej pielęgniarki, a następnie do lekarza. Po drodze muszę wstąpić na portiernię w sprawach formalnych. Kiedy załatwiam sprawę, czuję, że ktoś wciska głowę w okienko obok mnie. To jakaś starsza pani, która donośnym głosem pyta:

– Czy nie widziała pani takich gum, które zakładałam między palce do nóg, bo mi wypadły, a ja mam haluksy, to są potrzebne.

– Nie, nie widziałam – odpowiada portierka.

– No to bardzo szkoda! – z rozdrażnieniem rzuca zawiedziona poszkodowana.

Pielęgniarka jest wesoła i zadaje nam pytania mające na celu pozyskanie odpowiedzi, czy mamy pełną świadomość, że żyjemy. Dla pewności pyta nas, czy chorujemy na raka, czy mamy rozruszniki serca, cukrzycę, poważne złamania, metale w układzie kostnym – a my, z pewnym zażenowaniem, odpowiadamy z Basią, że niestety, ale tego nie mamy. Wtedy ona wykonuje nam zdjęcia, które umieszcza na karcie pacjenta, czarno-białe, rozmazane, które wyglądają jak fotografie nagrobne z XIX wieku.

– Cio ci jest? – pyta pan doktor o niewymawialnym nazwisku, potomek Dzyngis-chana, mrużąc swoje wąskie mongolskie oczka. Po pełnym napięcia milczeniu i wpatrywaniu się w komputer, wydaje werdykt. – Tobie będzie dobre to – mówi – masaż krio i borowina.



Roman Timofejuk, z cyklu: „VEDUTY”

A więc klamka zapadła, koniec osobistej wolności. Jako pełnoprawni i dobrowolni więźniowie zdrowotnego obozu sanatoryjnego, udajemy się do swoich pokoi. Dziś tylko kolacja, ale jutro od bardzo wczesnego ranka sanatoryjne egzekucje.

W dwóch salach jadalnych mieści się na jednej zmianie łącznie ok. 200 osób.

Stoliki są czteroosobowe, nasi partnerzy to sporo od nas młodsze małżeństwo z Gdańska, na szczęście łączy nas duża łatwość dobrej i lekkiej rozmowy. Przed posiłkiem subtelny damski głosik wywodzący się z dużego, mocno okrągłego ciała informuje nas, że oprócz zabiegów proponuje się gimnastykę rekreacyjną. Nie należy się tego obawiać, ponieważ prowadzący uwzględniają wiek i możliwości fizyczne. Głosik czule stwierdza, że wie, iż po pięćdziesiątce mamy wiele ograniczeń i zazwyczaj wystarczają nam dwa, trzy ruchy, żeby poczuć zmęczenie i znużenie. Głosik oświadcza, że wszystko będzie dobrze.

– Czy utrzymałby pan małżeństwo mając do dyspozycji dwa, trzy ruchy? – pytam retorycznie gdańszczanina.

– Nie – odpowiada gdańszczanin i patrząc sobie mocno w oczy, głośno się śmiejemy, nasze żony też, ale dużo ciszej.

Wreszcie wieczór. Ciepły, cichy, gwiaździsty, ułatwia napływ łagodnego zmęczenia nietypowym dniem. Basia szybko zasypia, ja czytam dość długo. Za ścianą słyszę regularne nastrojowe popiskiwanie, potem krzyk i koniec, cisza, dobranoc.

Ranek, dziś zaczynamy egzekucje zabiegowe. Zaczynają się, jak na porządnym obozie, o godzinie siódmej. Trwają więc nerwowe przygotowania proceduralne (strój, dokumenty), a ponieważ śniadanie nasza zmiana ma o 7⁴⁵, więc dominują tempo i nerwowość. Wszystkie zabiegi odbywają się w dwóch długich korytarzach na parterze, budynki mają trzy piętra, a obozowych kuracjuszy jest około 400. Trwa pielgrzymkowa senioriada.

Korytarze zabiegowych egzekucji są wąskie, mają po około dwa metry, po obu stronach ustawione są krzesła, więc pozostaje wąski przesmyk, przez który niezdarnie tłoczą się kuracjusze, szukając numerów swoich sal. Zdecydowaną większość kuracjuszy stanowią kobiety. Ubrane są przeważnie w leginsy lub różnego rodzaju spodnie. Te nieco młodsze na obcisło, z młodzieńczym przedziałkiem na pupie, te starsze obszernie i na gładko, bez przedziałka. Diabli zresztą wiedzą, czy go w ogóle mają. Spora ich ilość porusza się o kulach lub podpira laską. Niektóre są bardzo zdeformowane w wyniku jakichś chorób kręgosłupa czy stawów biodrowych, poruszają się z najwyższym trudem. Obóz sanatoryjny ze swymi rozkazami i wojskową organizacją moim zdaniem nie jest w ogóle przygotowany do medycznej i psychologicznej obsługi takich przypadków. Kobiety, jak zawsze, starają się o zachowanie nawet w tych okolicznościach odpowiedniej dozy estetyki. Nieliczni mężczyźni są bardziej zagubieni, mniej schludni, a mnie wręcz odwraca, kiedy widzę u niektórych z nich bose stopy w sandałach i wystające palce o patriotycznych szponach orla, najczęściej czarnych...

Mimo to co pewien czas na ponurych twarzach błyskają żywe spojrzenia oczu, skanują one wzajemnie swoje postacie, czasem zatrzymują się na dłużej, kusząc nadzieją zainteresowania.

– Jak pan pięknie chodzi po schodach – powiedziała kiedyś do mojego nieżyjącego już kolegi pewna kuracjuszka, której z powodu tej czynności wydał się on człowiekiem interesującym.

Według Basi wzajemne postrzeganie mężczyzn i kobiet w sanatoriach różni się w sposób zdecydowany. Mężczyźni, obserwując kobiety, poruszają głową góra-dół, góra-dół. Kobiety natomiast poruszają głowę w poziomie: może będzie lepszy, może będzie lepszy...

Moja pierwsza egzekucja zabiegowa to krioterapia, czyli masaż kręgow szyjnych oparami ciekłego azotu o temperaturze minus 120 stopni Celsjusza. Ta tortura przenikliwego zimna ma jednak dobre strony, ponieważ opary ciekłego azotu są równocześnie w zetknięciu z ciałem jak dotykanie puchem. Egzekutorka siedzi za mną, manewrując głośno syczącymi dyszami w odpowiedniej odległości od ciała. Na maksa – trzy minuty. Zaliczyłem.

Drugi zabieg to okładanie borowiną całego kręgosłupa, który to zabieg na mocy sanatoryjnego rozkazu odbywam tuż po śniadaniu, z pełnym brzuchem. Wchodzę do sali, gdzie na krzesłach, opatulone w folię, pod którą jest borowina i koce zatrzymujące ciepło, siedzą mumie. Wyglądają na kobiety, ale pewny tego nie jestem, bo dosłownie wystają im tylko głowy. Po oczach widzę, że żyją.

– Idź pan prosto, do końca i na lewo do kabiny – pada rozkaz pod moim adresem. Za chwilę ładna, młoda, czarnowłosa dziewczyna wydaje mi kolejny rozkaz.

– Rozebrać się do naga, położyć na brzuchu i czekać!

Czekam, leżąc na pomidorach, wędlinie, jajkach na twardo i białym serze, mając przed oczami w odległości 15cm kafelki ściany. Za chwilę kątem oka widzę inną młodą dziewczynę, pulchną blond, która wnosi wiadro z błotem i śmiałym ruchem wali to błoto na moje plecy – i nie tylko na plecy. Błoto jest bardzo gorące i wręcz parzy, a egzekutorka klepie mnie nim po plecach i po tyłku. Dostaję paroksyzmu śmiechu i w odwecie wykrzykuje naprędce ułożony wierszyk:

– *Soft erotic* borowina, błoto w dupie i dziewczyna! – o dziwo, spodobało się, ale nie mnie. Dziewczyny zawijają mnie w folię i otulają kocem na 15 minut, nastawiając specjalny budzik. Leżę i patrzę w ścianę, kafelki, kafelki, kafelki...

Nagle słyszę jakiś rumor, hałas, krzyki i zaraz potem gwar kobiecych głosów, z których wynika, że jedna z mumii rąbnęła z krzesłem na podłogę. Spośród chaosu słów przebijają się: przepraszam, nic się nie stało. Wreszcie wszystko ucicha, choć nie na długo. Słychać głośno pracujący prysznic i okrzyki dwóch dziewcząt egzekuterek: „Panie, niech pan leje na ścianę, a nie na nas, nawet biurko nam pan zamoczył!” Odpowiedź: „Nie, nie, ja dobrze leję, to się rozpryskuje, a to nie moja wina”, także do mnie dociera. Ten zabawny intelektualnie dialog także w końcu ucicha. Leżę, patrzę, kafelki, kafelki, kafelki... Po 15 minutach wchodzi czarnowłosa egzekutorka, ściąga ze mnie zabiegowy pancerz z folii i koca i wskazujeabinę prysznicową. Nawet pod prysznicem chichoczę jeszcze i zmywam to upierdliwe błoto, którego wcale niełatwo się pozbyć.

Umyty odsuwam zasłonkę, a tu, tuż-tuż za nią, twarzą do mnie, siedzi... mumia.

Ponieważ częściowa nagość nie powinna pozbawiać mnie kultury osobistej, mówię zatem mumii – dzień dobry. A mumia nic – jak to mumia. Tylko oczy się jej powiększyły, znaczy żyje. Zaliczone, wychodzę.

Kolejnym zabiegiem egzekucyjnym dla mnie jest masaż klasyczny. Specjalne łóżko z otworem na twarz i podłokietniki po bokach, a osiłkowaty młody człowiek robi swoje.

Rozgnieciony jak kotlet schabowy zbieram po 15 minutach swoje rozwalcowane ciało, wkładam w koszulkę i z głowy, zaliczone.

W wolnych chwilach chodzim z Basią na spacer. Ona jako doświadczony znawca okolicy objaśnia mi układ ulic, pokazuje parki, deptaki, fontanny, inne sanatoria i niektóre urodziny w swej architekturze pałacyki. Otacza nas rój dość ponurych twarzy obu płci, po dwie, po trzy osoby, czasem więcej, rzadko jednak samotne. Wiele z tych osób porusza się z pomocą lasek lub kul. Główny deptak, miejsce wzajemnych obserwacji i kontaktów, daje także ulgę lękliwym duszom. A jednak jest nas tu wielu, jesteśmy do siebie podobni,

rozumiemy się i dlatego łatwiej i odważniej stawiamy kolejne kroki. Wszakże pośród okoliczności tu opisanych, mimo bagażu lat, zmarszczek i zniekształceń, stale omawianych chorób, zewsząd wylania się – zew płci.

Na deptakach i w parkach często spotkać można zainteresowane sobą pary z dumą przeglądające się w innych ciekawskich oczach. Dookoła tego „forum sanatorianum” wyją głośniki, głównie w stylu disco polo, akceptowanym jako substytut utraconej młodości. Pewna piosenkarka przekonuje nas, że miłość jest piękna, równocześnie Peruwiańczyk zawodzi, że „el condor passa”, a jakiś Ślązak śpiwo, że jedzie na kole. I tak na okrągło. Końca nie widać, jak mówi facet z dużym brzuchem. A jednak ta kakofonia o tyle ma sens, że skłania do tańca, więc tańczą, jak tylko potrafią. Niektórzy zaledwie machając rytmicznie rękami.

Oto przed nami urokliwa para. Ona wysoka, masywna, w czarnych legginsach, czarnej bluzce, z krótkimi czarnymi włosami. Z przodu potężny biust spleciony z brzuchem w znacznej odległości od kręgosłupa, a mocną dłońią ciągnie za rękę postać mężczyźnianą. Mężczyźniany osobnik jest chudy, jakby wystraszonego modliszkowym władztwem partnerki, a jednak nie potrafi sobie tego odmówić.

Nieco dalej, na ulicy, na której rośnie bez, zatrzymuje się niemłoda para. On wysoki, siwowłosy, sięga po gałąź bzu i dość teatralnym gestem podaje go szczupłej starszej pani, starannie i dobrze ubranej. Kiedy mijamy ich z Basią, on nie rezygnuje ze swego zdecydowania, a ona jest wyraźnie zakłopotana.

Ale na deptaku grasują także snajperzy, często miejscowi. To on! Starszy szpakowaty pan średniego wzrostu, białe spodnie, biała koszula, białe lakierki z czarnymi czubkami i piętami. Każdy jego krok rozważny, lecz dziarski, a oczka błyskają dookoła, zwłaszcza po siedzących na ławkach paniach, szukając ofiary. Idzie następny. Ten ubrany jest w jasne spodnie w dużą ciemną kratę, białą koszulę w żółtą kratę, czerwony krawat, czerwony pasek od spodni i czerwone buty. Też się pyszni, posyłając konkurentowi wrogie spojrzenia. Mam wrażenie, że oba samce za chwilę będą obsikiwać drzewa, znacząc swój teren.

Któregoś dnia, na spacerze, po obejrzeniu z zewnątrz czynnej cerkwi prawosławnej i pałacyku prezydenckiego, idziemy zaciszną ulicą, całą w zieleni. W głębi wjazdu do jakiegoś sanatorium widzimy wychodzące z budynku trzy starsze kobiety, dwie z nich idą o kulach. Podnoszę wzrok na ogromny napis i nawet mój cynizm przy tym to mały pikuś! Otóż sanatorium nazywa się... „Gracja”!

W ramach należącego nam antidotum dwukrotnie wyjeżdżamy z Basią do Torunia. W sensie czasowym na niewiele możemy sobie pozwolić, ale i tak jest to łakoma, niosąca ulgę, propozycja. Toruń to – posługując się słownym stereotypem – faktycznie perła naszych miast, wcale nie ustępująca Krakowowi. Tu w miejscu wspaniałej harmonii przeszłości, architektury, przedsiębiorczości i myśli człowieka, w ciszy pełnej zachwyty pijemy kawę pod ratuszem. Po małym spacerze idziemy pod pomnik Mikołaja Kopernika, jak pielgrzymka pod sanktuarium Jego Umysłu. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że w odległości kilkunastu metrów, po drugiej stronie ulicy stoi pomnik ośła w kolorze żółtym naturalnej wielkości. Zauważamy, że to miejsce chwilami cieszy się znacznie większym zainteresowaniem niż pomnik Kopernika. Ogromne ośle uszy, wypucowane przez tysiące ludzkich pieszczoł, lśnią w słońcu jak ze złota. Cała nasza frazeologia edukacyjna w stylu „ośla ławka, ośle uszy” – na nic. Rozradowani rodzice ustawiają się w kolejce, by swoim dzieciom zrobić zdjęcie na ośle, w swojej obecności. Odrzucam zdecydowanie myśl, że oto pod okiem Kopernika i ojca Rydzyka rodzi się nowy wizerunek Rodaka-Polaka, ale ktoś, do cholery, sprowokował takie myślenie!

Rzucamy jeszcze okiem na całą przestrzeń wypełnioną ludźmi, między Dworem Artusa a Ratuszem, a ponieważ jest trzeci maja, widzimy trwające przygotowania do mszy świętej. Widać ołtarz na estradzie, mikrofony, dziesiątki krzeseł, chór zajmujący swoje miejsce, jakichś organizatorów, w nerwowym pośpiechu wydających polecenia. Obok nas błąka się w okularach przebieraniec, żołnierz amerykański z drugiej wojny światowej z karabinem w dłoni, z którym rodacy bardzo chętnie się fotografują. Widać też kolejnego przebierańca, w pośpiechu przeistaczającego się w polskiego szlachcica z sumiastym wąsem i szablą u boku. Za chwilę wjeżdżają w boczne ulice wozy wojskowe z żołnierzami, wozy policyjne z policją i wozy żandarmerii wojskowej, czyli typowy zestaw uczestników mszy świętej.

Słońce praży, dla nas zbliża się czas obiadu, więc musimy jechać. W niedzielę kończy nam się pobyt i wracamy do domu. Za obozem sanatoryjnym „Dwa, trzy ruchy” tęsknił nie będę, ale tam, w sposób rzeczywisty, a nawet bolesny – nie ma ani jednego przebierańca.

06.05.2018 r.



Roman Timofiejuk, „Bałtyk”, z cyklu: „H&O”

Jan Ciesielski

SCENKI RODZAJOWE

I. STOMATOLOGICZNA

A.: Cześć!

B.: Cześć!

A.: Skąd wracasz? Taki zbolący?..

B.: Zbolący? To nic! Od dentysty!

A.: Ząb ci wyrwał?

B.: Ząb? To nic! Ostatnie pięć tysięcy!

A.: Złotych? To nie masz czego żałować, ząb był nie nowy. A duży to dla ciebie uszczerbek?

B.: W zębach?

A.: Nie, finansowy.

B.: Oho!..

A.: A znajomej staruszce też jeden na wyrwę zabrał pięć tysięcy, a zębów babcia to już prawie nie ma.

B.: I bez znieczulenia?

A.: Złodziej też podobno starszy wiekiem. Zęby zjadł w swoim zawodzie.

B.: A ja miałem je tylko nadgryzione zębem czasu.

A.: To czym się gryziesz?

B.: Ja cię chyba pożegnam. Coś ta rozmowa nam się nie zazębia... Aha, gwarancję mam na zęby do listopada!

A.: I tym się gryziesz?

B.: Właśnie!

II. WYBORCZA

A.: Cześć!

B.: Cześć!

A.: Wybranym mam być!

B.: Do czego?

A.: Jeszcze nie wiadomo, ale sprawa jest pewna.

B.: A z jakiej opcji?

A.: Tak jak większość. Z zerowej!

B.: Czym się zajmiesz, jak cię wybiorą?

A.: Jakie wybiorą?! Miałem zasługi i mandat mi się należy!

B.: Od policji?..

A.: Nie rusza! Pomysł miałem, by na wszystkie następne wybory do byle czego osoby wybierać drogą losowania.

B.: To najbardziej sprawiedliwe?

A.: Wrzuca się pełnoletnich PESELE do WYBORTOMATTU...

B.: Tak na „chybił – trafił”?

A.: A jak normalnie ludzie głosują, to jest inny rezultat? Co ty, gazet nie oglądasz w telewizyjnym radiu?

B.: Masz rację! A jaka oszczędność przy twoich wyborach!..

A.: I zażaleń nie ma!

III. LEKARSKA

A.: Cóż to, za lekarza jesteś przebrany?

B.: Nie przebrany, tylko j e s t e m!

A.: Widzę, że jesteś! Mówię – za lekarza się przebrałeś, a i miarkę – również.

B.: Co – m i a r k ę?

A.: Że chyba się już przebrała. Nie dosyć ci tych oszustw na biednym Rządzie – podatkowych? Dyplom masz?

B.: Niepotrzebny! To praca społeczna... poniekąd.

A.: Ilu naiwnych już nabrałeś?

B.: Dlaczego zaraz naiwnych? Bardzo wielu! Opłaty – co łaska, nie mniej...

A.: Znam to „nie mniej...” niż dwa papierki...

B.: Nie mniej, jak ktoś nie ma, to nie szkodzi! Liczy się spontaniczność, serdeczność, zrozumienie...

A.: Ja mam tego serdecznie dosyć! Gdzie ja się znajduję? Do przychodni lekarskiej wchodziłem. Ty za lekarza podszyty...

B.: I bardzo dobrze! Ty nie bądź podszyty strachem. Nie ma obaw. Wszystko się zgadza.

A.: Oprócz kasy?

B.: T a k j e s t! Kasy w budżecie nie ma na leczenie. Ażeby utrzymać wszystko zgodnie z wymogami zagranicznej Europy, nadal musimy prowadzić badania.

A.: Ludności?

B.: No wiesz, ludności, ludzi, społeczeństwa – to wszystko jedno! My teraz w przychodniach prowadzimy badania opinii społecznej. Nie leczymy, jak zaznaczyłeś, z braku kasy, ale badamy!

A.: A sprzęt?

B.: Proszę bardzo! Ze sprzętu wystarczą ankiety. Groszowe wydatki...

A.: No a zagraniczni obserwatorzy z ramienia?

B.: To ludzie zdrowi, po przychodniach nie łążą!

A.: Dobry pomysł, ale jak rodak jakiś przez pomyłkę zgłosi się jako chory?

B.: Coś ty – chory? Każdy wie, że obecnie nie stać go na chorowanie, a i samo leczenie wiąże się z dużym ryzykiem utraty zdrowia lub życia.

A.: A prywatnie?

B.: A prywatnie to ci powiem: masz rację!

Conrad Ferdinand Meyer

**„TAG, SCHEIN’ HEREIN UND, LEBEN,
FLIEH HINAUS!’”¹**

(Shakespeare)

Tag, schein’ herein! Die Kammer steht dir offen!
Holdsel’ger Lenzesmorgen, schein’ herein!
Schon glitzert, von der Sonne Strahl getroffen,
Das Tintenfaß, der eichne Bücherschrein.
Vogt Winter muß dem Lenze Rechnung geben,
Dem schönen Erben über Hof und Haus –
Auch mir zu gut geschrieben ist ein Leben –
Tag, schein’ herein und, Leben, flieh hinaus!

Ich war von einem schweren Bann gebunden.
Ich lebte nicht. Ich lag im Traum erstarrt.
Von vielen tausend unverbrauchten Stunden
Schwillt ungestüm mir nun die Gegenwart.
Aus dunkelm Grunde grüne Saat zu wecken
Bedarf es Sonnenstrahles nur und Thaus,
Ich fühle wie sich tausend Keime strecken.
Tag, schein’ herein und, Leben, flieh hinaus!

Ein Segel zieht auf wunderkühlen Pfaden,
In Flutendunkel spiegelt sich der Tag.
Was hat die Barke dort für mich geladen?
Vielleicht ist’s etwas das mich freuen mag!
Entgegen ihr! Was wird die Barke bringen
Durch blauer Wellen freudiges Gebraus?
Entgegen ihr! Mit weitgestreckten Schwingen!
Tag, schein’ herein und, Leben, flieh hinaus!

Conrad Ferdinand Meyer

„ZABŁYŚNIJ DNIU, A ŻYCIE, WYMKNIJ SIĘ!” (Shakespeare)

Zabłyśnij dniu! Otwarte są komnaty!
Promyku wiosny upragniony, wstąp!
Mieni się słońca blaskiem natrafiony
Kałamarnicz, dębowa przechowalnia ksiąg.
Poborcy zimie, wiosna dług rozliczy,
W dziedzictwo wejdzie ogród oraz dom –
Mój bilans życia dawno zsumowany –
Zabłyśnij dniu, a życie, wymknij się!

Przez ciężki czar leżałem powalony,
Nie czułem nic, złożony w twardym śnie.
W tysiącach mi nużyły się godziny,
Po cichu nabrzmiewały zwykłe dni.
By siejba w głąb puściła pęd zielony,
Mieć musi słońce oraz cudu piędź.
Kielków wyrasta we mnie rój tysiączny.
Zabłyśnij dniu, a życie, wymknij się!

Żagiel pnie liny w wieczór chłodny,
W mrocznych odmętach przegląda się dzień.
Cóż-że wezwało mnie do tamtej łódki?
Może otuchą to dla mnie stanie się!
Naprzeciw niej! Jak dotrę do tej barki
Przez morskie głębie modrych fal kipiele?
Naprzeciw niej! Skrzydła szeroko rozwin!
Zabłyśnij dniu, a życie, wymknij się!

Przekład Bogdan Knop

Wiersz ten wiąże mnie długą i szczegółną historią. Po raz pierwszy jego fragment (cztery pierwsze wersy drugiej zwrotki) przeczytałem w przedwojennym wydaniu tłumaczenia dzieła niemieckiego psychiatry Ernsta Kretschmera *Geniale Menschen* pod polskim tytułem *Ludzie genialni* (pisownia przedwojenna). Cytat był po niemiecku i bez podania źródła. Były lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku. Miałem 19 lat i fascynowałem się wydanym właśnie Witkacym, który z kolei fascynował się teoriami Kretschmera (co, jak wyraził się pewien ówczesny krytyk, nie przynosiło Witkacemu chluby). Odnalezienie źródła cytatu w tamtych odległych latach było niemożliwe. A nawet gdybym tego dokonał, i tak na nic by się to zdało, bo, jak wiem dzisiaj, wiersz nie był nigdy wydany w Polsce. W latach dziewięćdziesiątych wspomniany fragment, we własnym przekładzie, umieściłem jako motto do opowiadania *Wieczór freudowski*, a w 2006 roku wydałem w moim debiutanckim tomiku *Trzy podróże, cztery sny i jeden dzień*. Niedawno przypomniałem sobie o nim, a w epoce Google nie było trudno znaleźć cały wiersz i jego autora.

Wiersz cieszy się pewną sławą w obszarze niemieckojęzycznym, podobnie jak jego autor Conrad Ferdinand Meyer, Szwajcar i chyba bardziej prozaik niż poeta – wydał powieść, dziesięć nowel i trzy zbiory wierszy. Urodzony w 1825 zmarł w 1898 r. W Polsce zupełnie nieznany.

Tytuł wiersza – *Tag, schein' herein und, Leben, flieh hinaus!* zgodnie z adnotacją autora jest cytatem z *Romea i Julii* Szekspira. W scenie 5 aktu 3 dramatu Julia wypowiada przywołane zdanie. Trzeba powiedzieć, że w tłumaczeniu niemieckim jest ono o wiele bardziej poetyckie niż w oryginale i w polskim przekładzie. Oryginał brzmi tak: „Then, window, let day in, and let life out!”, co w tłumaczeniu Paszkowskiego brzmi następująco: „o, okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie!”. Trudno mi powiedzieć, czy Meyer przywoływał jakieś szczególne tłumaczenie tragedii Szekspira, niemniej w tej wersji proste zdanie (choć wieloznaczne) nabiera poetyczności nieznanej oryginałowi (ani polskiemu przekładowi). Podążyłem więc za Meyerem, lekceważąc Szekspira i polskiego tłumacza. Na ile udatnie – niech oceni czytelnik.

zimą 2018 r.
Bogdan Knop



1 Shakespeare, *Romeo und Julia*, 3. Akt, 5. Szene: Julia das Fenster öffnend (zu Romeo): „Tag, schein herein, und Leben, flieh hinaus!”

Barbara Strzelbicka

NIEZWYKŁA SZKOŁA.

O KSIĄŻCE BOŻENY GORSKIEJ RZECZPOSPOLITA KRZEMIENIECKA
ALBO NOWE ATENY WOŁYŃSKIE¹

Liceum Krzemienieckie było szkołą niezwykłą, której historia od dawna fascynowała Bożenę Gorską. Efektem tej fascynacji jest książka – niezwykła jak temat, którego dotyczy. Dzieje tej wyjątkowej szkoły są mało znane, choć na pamięć z całą pewnością zasługują. Formę książki sama Autorka określiła jako sylwiczną. Dla przypomnienia bądź wyjaśnienia: nazwa pochodzi od łacińskiego *silva rerum* (las rzeczy) i w piśmiennictwie oznacza zbiór tekstów o niejednorodnym charakterze; różnorodność treści i formy. Sylwa popularna była zwłaszcza w XVII wieku, kiedy to powstawały zbiory zawierające utwory wierszowane, prozatorskie i scenki dramatyczne w języku polskim i łacińskim, często pozostające w rękopisie.

Książkę Bożeny Gorskiej charakteryzuje jednak znacznie większa dyscyplina, niż by wynikało to z odwołania do literackiej tradycji. Znajdujemy w niej bowiem 47 ułożonych alfabetycznie haseł-esejów, stanowiących tematyczne całości, które można czytać w dowolnym porządku, bez szkody dla zrozumienia treści. Dzięki takiej kompozycji powstał „ogród” przebogaty, który można poznawać z różnych perspektyw, w którym tekst odautorski uzupełniony jest innymi tekstami, w tym nie tylko źródłowymi, ale także niepublikowanymi próbkami twórczości uczniów Liceum. Zdobycie archiwalnych materiałów i ich opracowanie było niezwykle pracochłonne i zajęło Autorce kilka lat, jednak patrząc na efekt, był to wysiłek nadzwyczaj owocny.

Liceum Krzemienieckie było polską szkołą, której historia ściśle splotła się

z historią Rzeczypospolitej. Założył je Tadeusz Czacki w 1805 r. w przejętym przez Komisję Edukacji Narodowej Kolegium Jezuickim. Początkowo było to Gimnazjum Wołyńskie, w 1819 r. przemianowane na Liceum Krzemienieckie. Już wówczas szkoła zasłużyła sobie na znakomitą opinię. Dość wspomnieć, że miała świetnie wyposażoną bibliotekę, własną drukarnię i księgarnię oraz prawo do nadawania niższych tytułów naukowych. Po upadku powstania listopadowego władze carskie Liceum zamknęły, majątek przekazały tworzącemu się Uniwersytetowi Kijowskiemu, księgozbiór zaś w głównej części trafił do powstałej później Biblioteki Ukraińskiej. Od 1836 r. w budynku Liceum mieściło się prawosławne seminarium duchowne.

Ale to nie koniec historii tej wyjątkowej szkoły, a właściwie dopiero początek tej jej części, której została poświęcona książka Bożeny Gorskiej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Józef Piłsudski dekretem z 1920 r. reaktywował działalność Liceum Krzemienieckiego, które pracę edukacyjną podjęło dwa lata później i funkcjonowało do września 1939 r. Czytając książkę trudno uwierzyć, że w ciągu siedemnastu czy też dziewiętnastu lat można było rozwinąć tak bogatą działalność, trudno też wyjść z podziwu dla tego wyjątkowego zjawiska.

Staranna, a właściwie – elegancka – jest strona językowa książki, zgodna z zasadą dotyczącą stroju, ale z pewnością można ją interpretować szerzej: „elegancja może zwracać uwagę tylko niezauważalnością” (s. 258). Autorka ma szacunek dla czytelnika.

ników, dlatego też pisze zrozumiale i precyzyjnie wyjaśnia wszystkie kwestie, widoczna jest dbałość o to, by „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Nie odsyła do innych źródeł, choć je wskazuje dla poszerzenia wiedzy, ale cierpliwie tłumaczy, by czytelnik jak najwięcej zyskał na kontakcie z lekturą.

Wyczuwalny jest entuzjazm, którym obdarza Autorka Liceum Krzemienieckie i wszystko, co jest z nim związane. Jest więc to narracja bardzo osobista. Podejmując temat szkolnego fenomenu, Bożena Gorska zrobiła to z dużą znajomością szkolnych realiów oraz z ogromnym wyczuciem. Akcenty położone są na sprawy najważniejsze, choć problematyka jest bardzo rozległa – od stanu dróg w ówczesnym województwie wołyńskim po 12. Pułk Ułanów. W opisywanych zjawiskach są jednak pewne dominanty, bliskie sercu Bożeny Gorskiej, a są nimi: patriotyzm i społecznikostwo, będące motywami przewodnimi książki.

Struktura Liceum Krzemienieckiego (s. 334-336) pokazuje, iż było to wielkie przedsięwzięcie, posiadające duży majątek, w tym lasy, grunty orne, stawy rybne i zakłady przemysłowe w kilku miejscowościach. Tak hojnie wyposażył szkołę Marszałek Piłsudski, rekompensując utratę dóbr, odebranych przez władze radzieckie w 1932 r. po zamknięciu Liceum. Kierowanie takim przedsięwzięciem było trudne i wymagało wielu umiejętności, jednak znaleźli się ludzie, którzy potrafili to robić – i nie dla własnego splendoru. Dobra materialne należące do szkoły służyły szkole, jej uczniom i nauczycielom oraz okolicznym mieszkańcom. Biedne i zdolne dzieci dostawały stypendia oraz inną pomoc, by mogły się uczyć.

W Liceum Krzemienieckim pracowało wielu wybitnych nauczycieli – zarówno na stałe, jak i przy realizacji wakacyjnych kursów, prowadzonych przez najwybitniejszych artystów malarzy i muzyków,

w których uczestniczyło wielu artystów, stojących na progu kariery. Zaangażowanie – to słowo-klucz, wyjaśniające sukces tego przedsięwzięcia. W działalność Liceum angażowały się zarówno władze, jak nauczyciele, uczniowie, okoliczna ludność, różnego rodzaju organizacje. Dobroczynność czy jak kto woli – praca na rzecz innych – była pojmowana jako obowiązek, zwłaszcza gdy komuś powodziło się lepiej. Ale nie tylko bogaci pomagali innym. Bożena Gorska podaje przykłady „groszowych oszczędności”, gdy uczniowie raz w tygodniu rezygnowali z części posiłku, by zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na cel dobroczynny. Jak to się ma do zbierania przez współczesnych harcerzy pieniędzy przy kasach supermarketów na wakacyjny wyjazd?..

Liceum posiadało bibliotekę bogatą w dzieła naukowe, z której mogli korzystać nie tylko nauczyciele i uczniowie szkoły, ale także – za pośrednictwem poczty – czytelnicy mieszkający w całej Polsce. Za wypożyczane tym sposobem książki nie pobierano żadnej kaucji, mimo to nie zdarzyło się, by jakaś pozycja nie wróciła do biblioteki. Poczta od tamtego czasu również się zmieniła.

Mądrość kierownictwa szkoły i nauczycieli krzemienieckich można podziwiać także na przykładzie podejścia do sprawy stroju szkolnego. Mundurki były obowiązkowe, jednakże nie były to jednakowe dla wszystkich uniformy. Wizytator, autor przepisów, zawarł w nich kilka wersji stroju i ogólną tendencję, co pozostawiało uczniom margines swobody. Poza tym wszystkie propozycje były zgodne z ówczesną modą, eleganckie, solidne i higieniczne.

Jak nowoczesna była to szkoła, wystarczy podać kilka przykładów. Na początku 1938 r. został zorganizowany kurs motoryzacyjny dla uczniów I i II klasy licealnej, nauczycieli i pracowników szkoły. Kurs kończył się państwowym egzaminem na prawo jazdy. Opiekunem szkole-

nia na kursie i wykładowcą był nauczyciel wychowania fizycznego, Julian Kozłowski. Jest jednym z wielu bohaterów indywidualnych książki, a jednocześnie wybitną postacią, człowiekiem o wyjątkowej osobowości i takim życiorysie. Człowiek o ogromnej odwadze, wielkim oddaniu Ojczyźnie, społecznik, nauczyciel, oficer Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Armii Krajowej, kapitan piechoty, cichociemny. Zginął w powstaniu warszawskim. Wiele innych wybitnych postaci spośród nauczycieli i wychowanków szkoły znajdziemy na kartach książki. Warto wspomnieć o dwóch wychowankach, którym Bożena Gorska poświęciła odrębne dzieła. Pierwszym z nich jest Zygmunt Jan Rumel² (1915-1943), poeta i żołnierz, tragicznie poległy podczas walk na Wołyniu. Książka poświęcona jego pamięci zawiera bogate tło, opisujące Liceum Krzemienieckie, samo miasto i Kresy, jest więc poniekąd zapowiedzią książki późniejszej. Drugim bohaterem jest Feliks Łańcucki (1919-1942), którego młodzieńcza poezja oczarowała Bożenę Gorską na tyle, że ją opracowała i doprowadziła do wydania³. Był więc to debiut w siedemdziesiąt lat po śmierci autora.

Podczas lektury książki *Rzeczpospolita Krzemieniecka albo Nowe Ateny Wołyńskie* nasuwają się oczywiste skojarzenia ze szkołą współczesną. Młodzież i dzieci traktowano wtedy poważnie, od najmłodszych lat przyzwyczajając do odpowiedzialności. Obecnie środek ciężkości działań edukacyjnych został przesunięty – dzieciom wpaja się, że mają prawo do dzieciństwa niezakłóconego obowiązkami, wymaga się od szkoły niezadawania pracy domowej, by dziecko mogło jak najwięcej czasu poświęcić zabawie, zaś niski poziom kompetencji w powszechnej opinii jest winą szkoły, która nie potrafi nauczyć. Jak nauczyć kogoś, kto nauczyć się nie chce?

Wiele razy powraca w książce wątek koegzystencji różnych etnicznie i religijnie grup ludności – głównie w Krzemieńcu, ale nie tylko, bo także na całych Kresach. Podając skład mieszkańców miasta, Bożena Gorska często podkreśla, że te grupy ludzi współżyły ze sobą na zasadach poszanowania odrębności, odmienności kultury, obyczajów i jednocześnie wspólnoty tego, co ludzkie. Tam, gdzie było trzeba, udzielano sobie pomocy – bez prawnych regulacji czy tym bardziej nakazów, ale z powodu międzyludzkiej solidarności i zwykłej sąsiedzkiej życzliwości. Nauczyciele i wychowankowie Liceum Krzemienieckiego prowadzili pracę oświatową na wsiach zamieszkałych przez ludność ukraińską, po zajęciach wszyscy wspólnie się bawili. Pomoc socjalna w mieście dzielona była solidarnie między wszystkich mieszkańców, wszyscy też uczestniczyli w patriotycznych akcjach i zbiórkach. Żydowskie szpitale przyjmowały wszystkich chorych, polscy lekarze także leczyli wszystkich bez względu na pochodzenie, polskie pielęgniarki prowadziły na wsiach akcje uświadamiające dla matek na temat zdrowia i higieny. W Liceum Krzemienieckim rozwinięty był fundusz stypendialny i mogły z niego korzystać wszystkie dzieci – jeśli były zdolne i chciały się uczyć. Nie było mowy o tolerancji – którego to słowa obecnie się nadużywa, zapominając, co tak naprawdę znaczy: toleruję coś, czego nie potrafię zaakceptować. Taka postawa przenosi się także na tolerowanie czegoś, na co się nie zgadzamy i co uważamy za złe. Skutek jest taki, że stajemy się obojętni.

Wiele jest w książce przykładów zgodnego współżycia różnych grup ludności w okresie funkcjonowania Liceum Krzemienieckiego, jednak niebawem, bo po 1 września 1939 r. wszystko się zmieniło – także w Krzemieńcu. Najwyraźniej zasady współpracy i zgodnej egzystencji mogą funkcjonować tylko w czasie pokoju. Wojna to czas nieludzki. Książka kończy się

przed wybuchem wojny. Pomimo tego, że historia szkoły kończy się w tak tragicznym momencie, jest to książka niezwykle optymistyczna. Opowiada prawdziwą historię, jej bohaterami są prawdziwi ludzie, którzy stworzyli rzecz wielką dzięki swojej pracy i pozytywistycznej postawie. Działali nie dla zaszczytów, nie dla sławy, ale z przekonania o wartości edukacji. Bożena Gorska dedykowała książkę polskiej inteligencji, której dziełem było Liceum Krze-

mienieckie, nazywane także Rzeczpospolitą Krzemieniecką i Nowymi Atenami Wołyńskimi.

- 1 B. Gorska, *Rzeczpospolita Krzemieniecka albo Nowe Ateny Wołyńskie*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2017.
- 2 B. Gorska, *Krzemieńczyk*, Stowarzyszenie Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich, Warszawa 2008.
- 3 *Sny młodzieńcze, sny lunatyczne. Wiersze ocalone*, oprac. B. Gorska, Muzeum Niepodległości, Warszawa 2012.

Roman Wyborski

GAUDE CZY REQUIEM? RZECZ NIE TYLKO O FESTIWALU

Rzecz o dwóch światach, które się prze-
nikają, albo patrzą na siebie – nieufnie?
ciekawie? – z dwóch kresów jednej cywili-
zacji. Jeden, *profanum*, żywi się „gałdema-
ter”, obiegowym brzmieniem i gminnym
brzmieniem finansowych niedomówień
i pomówień towarzyskich plotek. Drugi,
łacińskimi początkowymi słowami hym-
nu *Gaude Mater* przez ponad ćwierć wie-
ku przypominał *sacrum* zeświecczonemu
(by nie rzec mocniej, może gorzej) Mia-
stu, corocznie narzucając się festiwalowym
dźwiękiem i obrazem, jak wokół wiosenna
przyroda na przełomie kwietnia i maja.

Tegoroczne pozorowanie sakralnego
Festiwalu – jako „realizacja” n-tego samo-
rządowego „przedsięwzięcia” – uruchamia
na różnych poziomach wiele skojarzeń,
których tylko część zdoła poniżej led-
wie dotknąć refleksja osoby na dobre i złe
związanej z Festiwalem. Uzasadnienia dla
tytułowego *Requiem* na poziomie najpły-
szym dostarczyło kilku podjasnogórskich
profanów, skutecznie pozbawiając przyszłą
elitę ledwie załączka cywilizacyjnej tożsa-
mości, którą wyrażała doroczna manife-

stacja *sacrum* Muzyki dzięki autorskiemu
dziełu Krzysztofa Pośpiecha i Małgo-
rzaty Nowak oraz dziesiątkom twórców
i setkom wykonawców wielu wyznań
i religii, Państw i narodów. Znakiem za-
pytania chciałoby się – choćby dla Herber-
towej *urody coniunctivu...* – ufać, iż mimo
wszystko zasiane przez nich ziarna dadzą
w przyszłości plon, a ojciec paulin Niko-
dem Kilnar (to trzecie nazwisko godne za-
pamiętania) nie opuści Jasnej Góry, więc
także Festiwalu w jakiegokolwiek postaci.

Do dziś złowrogo dźwięczy prasowy ty-
tuł przełomu lat 2012/2013: *Wojna o „Gau-
de Mater”*. Powielany z dziennikarskiej
potrzeby krwistych etykietek nawet w me-
diach krajowych, nadał lokalnemu konflik-
towi osób i racji, ambicji, planów i interesów
rangę na tyle ważną, iż jej niewykorzystanie
groziło trwałym pobożowiskiem, zaś wyko-
rzystanie dawało szanse nowych impulsów
i nowej jakości kulturalnego środowiska.
Tym bardziej, iż „nowe” oznaczało równo-
ległe takie fakty, jak m.in. nowy metropoli-
ta, nowy dyrektor artystyczny w odnowio-
nej Filharmonii, wreszcie nowy kompleks

przy parafii św. Zygmunta, który mógł, a nawet miał stanowić siedzibę i centrum promieniowania „Gaude Mater”. W tamtej historycznej – a, niestety, nie historycznej – chwili konflikt można było pozytywnymi aktami zażegnać bez zwiększania liczby i ceny ofiar środowiska pobudzonego twórczo i organizacyjnie za pierwszej prezydentury Tadeusza Wroney.

Gdzie emblematyczne postacie pokolenia przełomu? Przedwcześnie na cmentarzu śp. Krzysztof Pośpiech, powszechnie uznawany za ojca założyciela „Gaude Mater”. Na wygnaniu sam Wrona i przede wszystkim dyrektor Małgorzata Nowak, która pół życia i ćwierć wieku (z rodziną i... przeciw rodzinie) oddała swojej *Gaude*, wreszcie na wewnętrznej emigracji większość żywotnie twórczego niedawno środowiska, które nie tylko w Stowarzyszeniu Przyjaciół (wymyślonego przez niżej podpisanego na wiosnę 1999 roku dla ówczesnej obrony „Gaude Mater”) z każdym rokiem gruntowało swoją i Miasta cywilizacyjną tożsamość dzięki międzynarodowo potwierdzanej najwyższej jakości artystycznej i organizacyjnej majowego Festiwalu.

Co po pięciu latach? Członkostwo Stowarzyszenia? Zamiast co najmniej 500 najświatlejszych obywateli Miasta – ledwo pięćdziesięciu zdeorientowanych głównie emerytów i jeden niestrudzony sądowy pieczeniarsz. Kompleks przy kościele św. Zygmunta zieje pustką, zimnem i katastrofalnym nieporozumieniem architektonicznym. Dyrygent Częstochowskiej Filharmonii jest znany w Kraju, ale jako dyrygent orkiestry kaliskiej. O kurii, metropolicie i paulinach nie czas mówić; wystarcza niniejsze świadectwo słabości tzw. laikatu, czyli w moim wyznaniowym idiolektie – mojego Kościoła, w którym zar dziedzictwa wymaga jednej osobowej iskiej, aby znów jasno zapłonąć.

Dla przykładu dwie postacie takiego zarządzającego trwania, ale też wybrane „iweny” jednorazowych wielkich manifestacji

potencjału spod znaku „Gaude Mater”: tańecznie-telewizyjnego spektaklu do *Exodusu* Kilara w kościele św. Wojciecha i „drogi krzyżowej środowisk twórczych” z udziałem Teatru i Filharmonii pod jasnogórskimi obrazami śp. Jerzego Dudy Gracza. Przykładem stałości są dwaj znakomici muzycy o nazwisku Łukaszewski: gdański Jan, założyciel i dyrygent najpiękniejszej i najciszej brzmiącego chóru oraz warszawski Paweł, z urodzenia częstochowianin, najbardziej nagradzany i nagrywany kompozytor muzyki sakralnej; obaj w Radzie Artystyczno-Programowej Festiwalu (której nb. należałoby poświęcić osobny tekst), obaj w międzynarodowym stowarzyszeniu „Musica Sacra”, corocznie wybierającym nagradzane kompozycje młodych Europejczyków, którym „Gaude Mater” zapewniało prawykonanie w czasie Festiwalu, dodajmy: poza prawykonaniem zamawianej mszy inauguracyjnej, co dodatkowo wyróżniało „Gaude Mater” spośród licznych krajowych konkurentów. Porozmawiajmy zatem o Festiwalu.

Pięć lat temu garstka entuzjastów (frajerów – wedle wyjadaczy samorządowych konfitur), spełniając testament duchowy śp. Krzysztofa, wzięła na siebie – czyli własnymi kosztami, czasem, itd. – wielomiesięczną maszynę organizacyjną Festiwalu z prawie milionowym budżetem, dotąd realizowaną przez siedmiorgo etatowych pracowników Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, i to w warunkach – mało powiedzieć – nieprzychylnego Samorządu, wprost wrogiego aż po salę sądową, gdzie przyszło rozstrzygać prawa do *trade mark*, znaku towarowego. Bo co do jednego strony sporu się zgadzały: przez ćwierć wieku „Gaude Mater” i Festiwal stały się uznaną marką Miasta i wszędzie na *gaudemater*, jak na Jasną Górę (zachowując właściwe proporcje!) reakcja jednoznaczna: Częstochowa. Zresztą te dwie marki były i będą współzależne: bez Jasnej Góry Festiwal byłby niczym, i nie zaszczyliby go ani Penderecki, ani Arvo

Pärt, najwięksi i najstarsi (tu obchodzono ich 80. urodziny) z żyjących kompozytorów sakralnych, ani Minister Kultury nie przyrzekałby prawie połowy budżetu, ani pani dyrektor NOSPR-u nie decydowałaby raz i drugi o występie najlepszej krajowej orkiestry za minimum, czyli w ramach tzw. radiowej normy, itd., itp... Nieobłudne ujęcie tej kwestii w drugą stronę nie byłoby zachęcające: gdyby w okolicy 3 Maja nie było Festiwalu, Jasna Góra nie zauważyłaby takiego „ubytku”, może tylko kolejnego świeckiego roszczenia... Zresztą z jednej strony zastanawia niewykorzystanie świętowania trzciemajowego dla dodatkowego podwyższenia rangi Festiwalu, z drugiej rosnące z latami powszechne wykorzystywanie akumulacji dni wolnych stawiałoby pod znakiem zapytania dotychczasowy termin Festiwalu, gdyby nie stuprocentowa frekwencja na niejednym koncercie, zwłaszcza poza Częstochową.

Albowiem jednym z elementów pozytywnej, wręcz pozytywistycznej obrony Festiwalu było – dzięki samorządowcom i duchownym – dzielenie się nim, najpierw kosztami tzw. wsadu dla odpowiednio wysokiej (próg 300 tys. gwarantował zamierzony poziom wykonawczy Festiwalu) dotacji z Ministerstwa Kultury, potem koncertami z melomanami regionu od Radomska po Lubliniec, a także świątyni metropolii od Katowic i Krakowa po Bydgoszcz i Gdańsk, wreszcie europejsko – aż do nadreńskiej Kolonii. Jako uczestnik ówczesnych rozmów, a nawet negocjacji (także finansowych) poświadczam, jak początkowa trudność przekonywania do koncertu pod znakiem „Gaude Mater” przemieniała się w radość, a nawet entuzjazm samego koncertu, od wzgórza katedry wawelskiej po podziemie kopalni zabrzeńskiej.

Czas na refleksję ogólniejszej natury. Po Czerwcu 1989 i Maju 1990 w swej najczystszej postaci radość zagościła na twarzach osób łaknących wolności, ale przede wszystkim między nimi – jako sens

i wartość wielowątkowych relacji. Poecie (Herbertowi!) jakże dotkliwie zabrakło 4 czerwca radowania Się (Stachurą pisząc): ... *wybiec na ulicę, krzyczeć, tańczyć...*, tak pamięć odtwarza Jego zawód utraconej Chwili, po faustowsku pięknej. Po roku jakże nikła była radość Samorządnej Rzplitej, znowu Najjaśniejszej, zwłaszcza pośród autorów i aktorów majowej wiktorii, politycznego hegemonu, który w komitetach obywatelskich i Radach gminnych nie był świadomy ani swojej mocy, ani zagrożeń, które dość szybko i dotkliwie zatrąły pierwotne *Raduj Się...* W kontekście „gałdemater” 19 grudnia ub. roku niejedno sformułowanie lokalnej gazety dowodziło standardowej pogardy dla Stowarzyszenia – „organizacji pozarządowej” – które ośmieliło się działać równolegle w tym samym szczytnym celu co „władza”. Tytułowe *Requiem* sięga znakiem zapytania głębiej, niż domniemana porażka Małgorzaty Nowak, przegrana Stowarzyszenia, rozbicie środowiska itd. Innymi słowy jest kolejnym sygnałem, iż „władza” z legitymacją demokratycznej bądź hierarchicznej uzurpacji udowodni – przy wsparciu usług użytecznych tub medialnych – mrzonki solidarnościowej i chrześcijańskiej wykładni godności prawa człowieka do działania w szlachetnym celu w godnej tego miana zbiorowości. Jednym z fundamentalnych jej praw jest Radość właśnie mitycznie zaklęta w łacińskim rdzeniu *Gaude*, kluczowym dla pontyfikatu argentyńsko-włoskiego papieża Franciszka, autora ostatnio *Gaudete et exsultate*, uprzednio *Evangelii gaudium*. Co więcej, w kontekście „Gaude Mater” równoległe tąpnięcie w Częstochowie i w Watykanie (rezygnacja Benedykta XVI) sprawiło, iż nadzieje festiwalowe wzmacniały treści pontyfikatu Franciszka.

Na koniec akcent jeszcze bardziej osobisty, klamrą domykający wstępne rozróżnienie *sacrum* i *profanum*, fundamentalne, moim zdaniem, nie tylko dla sakralnej

muzyki i festiwalu. Ostatni Festiwal – 27. – Małgorzaty Nowak i zarazem pani Grażyny Domaszewicz (o czym zwykle Się zapomina) – miał dwa znamienne koncerty i akcenty. Jeden z nich „wprowadzałem”, jak Się powiada, w kaplicy seminaryjnej i w Domu Kultury w Radomsku. Było to właśnie *Requiem ludowe* pieśniarza Adama Struga i multiinstrumentalistów z zespołu „Kwadrofonik”. Na treści słowa wprowadzającego – a w tym *genre* poprzeczkę nie tylko festiwalową na mistrzowskim poziomie ustawiła pani Beata Młynarczyk – miał wpływ nietypowy koncert *Chopin – sacrum – profanum* w jasnogórskiej bazylice poprzedniego wieczoru, ściślej sam instrument, fortepian, który ustawiono w prezbiterium w miejscu wymontowanego ołtarza głównego. Najkrócej mówiąc, podjąłem próbę podpowiedzi, co w naszej „kulturalnie sakralizowanej” przestrzeni i świadomości należy wymontować, aby weń wprowadzić w całym bogactwie „ludowiznę”, jak mawia sam Strug, nieustrudzony pieśniarz nad pieśniarzami, zwłaszcza spod znaku *Requiem* ufnego, pogodnego, w pewnym sensie radosnego pogodzenia Się Ludu ze śmiercią. Z jakąś nieoczywistą siłą narzucała się Góreckiego *Symfonia pieśni żałobnych*, nie dlatego, że to ponadczasowe polskie *sacrum*, ale akurat upływało ćwierć wieku od wydania nagrania angielskiego, które wywindowało owo polskie *sacrum* na szczyty *profanum*, tj. list przebojów, m.in. dzięki setkom kierowców tirów. Ich wzruszające świadectwo otwiera świetny film o Mistrzu Góreckim.

W przyjaznym kulturze Radomsku doszła inna konieczna refleksja w tym względzie. Przed salą widowiskową tłum melomanów cierpliwie oczekiwał na koncert, spóźniający się z powodu technicznych przeszkód odpowiedniego podłączenia i zabezpieczenia skomplikowanej aparatury wykonawczej zespołu „Kwadrofonik”. W kulisach Adam Strug zwraca

się do mnie: „Błagam, krótko, oni przyszli na muzykę!”. Zrezygnowałem nawet z dedykacji *Requiem* pamięci Ryszarda Szweda, byłego rektora Uniwersytetu im. Jana Długosza, w pierwszą rocznicę jego śmierci, co z różnych względów uważałem za swój sakralny obowiązek.

Zgadzam się ze Strugiem. Słowo może łatwiej profanować. To muzyka zbliża do *sacrum*. c.b.d.o.

Roma Wyborski – niepoprawny poza-rządowiec; aktualnie w swoim Grodzisku (Stowarzyszenie na Rzecz Krzewienia Kultury i Oświaty), Kłobucku (Ponadregionalne Stowarzyszenie Edukacyjne „Wieniawa”) i Częstochowie (Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”). Z przekonań samorządowiec (1990 – radny 100-tysięcznych wówczas Mysłowic, tamże przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” oraz wiceprzewodniczący Unii K.O. woj. katowickiego). Państwowiec (pisze „Państwo” z dużej litery) w służbie dyplomatycznej RP w latach 1991-2003 (z przerwami: Rumunia, Francja). Absolwent romanistyki poznańskiego UAM od 1973 związany z katowicko-sosnowieckim UŚ (z przerwą na stan wojenny do 1990 i służbę zagraniczną) i do dziś z uczelnianą „Solidarnością”. Publikował w prasie zagranicznej i (od 1965 r.) w krajowej (m. in. „Rzeczpospolita”, „Karta”, „Niedziela”, „Tygodnik Solidarność”, „Frona”) oraz artykuły o XX-wiecznej Rumunii w wydawnictwach naukowych. Z powołania mąż, ojciec, dziadek i świecki katolik oraz nietowarowo malarz i tłumacz.

Barbara Strzelbicka

NOWA ODSŁONA FESTIWALU „GAUDE MATER”

Tegoroczny 28. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” długo był zagadką. Plakaty i informacje o programie pojawiły się dość późno – w stosunku do tego, co działo się w latach poprzednich. Na szczęście pojawiły się i Festiwal na szczęście się odbył, bo w związku z barkiem informacji spekulowano, że może go nie będzie... Był inny od poprzednich pod wieloma względami, co wynikało ze zmiany najważniejszej – ze zmiany organizatora. Jest nim obecnie Miasto Częstochowa, a więc Festiwal w 2018 r. stał się imprezą miejską.

Przypomnijmy, iż pierwszy Festiwal odbył się w maju 1991 r., a jego ówczesne biuro organizacyjne mieściło się w strukturach Filharmonii Częstochowskiej. Wkrótce jednak okazało się, czego najwyraźniej nie przewidzieli inicjatorzy, że impreza przestaje się mieścić w ustalonych strukturach i dla jej organizacji w grudniu tego samego roku został utworzony Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”. Pomysłodawcą Festiwalu i pierwszym dyrektorem Ośrodka był nieodżałowanej pamięci Krzysztof Pośpiech, jego zastępcą – muzykolog ks. Lucjan Nowakowski. Pierwszą siedzibą Ośrodka były pomieszczenia udostępnione przez Teatr im. Adama Mickiewicza, przeprowadzka do obecnej siedziby przy ul. Dąbrowskiego 1 nastąpiła w kwietniu 1993 r. Wtedy także rozdzielono funkcje dyrektora Ośrodka, którym pozostał Krzysztof Pośpiech, i dyrektora Festiwalu, na które to stanowisko powołano muzykologą Małgorzatę Zuzannę Nowak. Festiwalowi od początku towarzyszyła Rada Artystyczno-Programowa, składająca się z wybitnych muzyków, teoretyków i specjalistów od muzyki sakralnej – należeli do niej między innymi:



Henryk Mikołaj Górecki, Juliusz Łuciuk, ks. prof. Jerzy Pikulik, ks. prof. Kazimierz Szymonik, o. Nikodem Kilnar OSPPE, Marian Borkowski, Marek Jasiński, Paweł Łukaszewski, Romuald Twardowski, Krzesimir Dębski. Po rezygnacji Krzysztofa Pośpiecha w 1995 r. również stanowisko dyrektora Ośrodka objęła Małgorzata Zuzanna Nowak, a gdy w 2012 r. została odwołana, organizację Festiwalu przejęło Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater” – jak się okazało, na pięć lat.

Od 1991 r. wiele się zmieniło – obydwie inicjatywy ewoluowały, co dobrze o nich świadczy. Festiwal stał się ważnym wydarzeniem na mapie wydarzeń muzycznych

w kraju i na świecie. OPK „Gaude Mater” zyskał rangę znaczącej instytucji kulturalnej miasta, organizatora wielu imprez, którego działalność rozszerzyła się zwłaszcza wtedy, gdy organizację Festiwalu przejęło Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”, powołane dla jego wspierania. Tak więc powrót Festiwalu do Miasta jest powrotem w sensie umownym, bowiem w międzyczasie nastąpiły istotne zmiany: obydwie instytucje znacząco się rozbudowały, Festiwal doczekał się dużego zaplecza i własnej infrastruktury, którą stanowiło nie tylko Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”, ale także Rada Artystyczno-Programowa oraz liczni partnerzy.

Od 1996 r. w ramach Festiwalu odbywał się Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski, którego współorganizatorem było warszawskie Stowarzyszenie „Musica Sacra”, a dyrektorem Paweł Łukaszewski. W 2005 r. konkurs uzyskał rangę międzynarodowego, zaś od 2015 r. nosi nazwę Musica Sacra Nova. W 2015 r. został objęty honorowym patronatem Papieskiego Instytutu Muzyki Sakralnej, a grono organizatorów poszerzyło się o dwie organizacje niemieckie – Erzbistum Köln i Freundeskreis Abtei Brauweiler.

Tradycją Festiwalu „Gaude Mater” były koncerty „Polskich prawykonań sakralnych”, na których po raz pierwszy zabrzmiały kompozycje twórców takiej rangi, jak: Edward Bogusławski, Marian Borkowski, Henryk Mikołaj Górecki, Marek Jasiński, Wojciech Kilar, Stanisław Krupowicz, Andrzej Koszewski, Juliusz Łuciuk, Paweł Łukaszewski, Roman Maciejewski, Bernadetta Matuszczak, Romuald Twardowski, Marian Sawa i Józef Świder.

Kolejną festiwalową tradycją związana jest ze zbiorami muzycznymi Jasnej Góry, którymi zajmuje się Zespół Naukowo-Redakcyjny Jasnogórskich Muzykaliów, utworzony z inicjatywy o. Nikodema Kilnara. Jedną ze wspólnych inicjatyw jest

włączenie do repertuaru Festiwalu muzyki ze zbiorów jasnogórskich. Dzięki współpracy odbyły się w ramach Festiwalu najpierw ogólnopolskie, a od 2012 r. międzynarodowe, konferencje naukowe. Kolejnym efektem współdziałania są występy muzyków, zaangażowanych przy nagrywaniu serii płyt „Musica Claromontana – Jasnogórska Muzyka Dawna”. Koordynatorem współpracy z Jasną Górą jest o. Nikodem Kilnar OSPPE, Krajowy Duszpasterz Muzyków Kościelnych, członek Rady Artystyczno-Programowej Festiwalu, czynny muzyk i znawca muzyki sakralnej.

W czasie sprawowania funkcji dyrektora Małgorzata Zuzanna Nowak budowała markę Festiwalu, angażując wielkie gwiazdy, organizując obchody jubileuszy znakomitych muzyków (Wojciech Kilar, Krzysztof Penderecki, Juliusz Łuciuk, Arvo Pärt) na Jasnej Górze, promując młodych twórców poprzez konkurs kompozytorski. Krzysztof Penderecki świętował 85. urodziny podczas koncertu London Philharmonic Orchestra, którą poprowadził w tym dniu (2 maja 2018 r.). Łukasz Borowicz. Zabrzmiały dzieła samego Jubilata oraz Andrzeja Panufnika i Sergiusza Prokofiewa, solistką zaś była niemiecka skrzypaczka Anne-Sophie Mutter. Przytoczony przykład pozwala uzmysłowić, do jakiego grona muzycznych wydarzeń aspirowaliśmy z naszym Festiwalem.

To kilka przykładów dorobku Festiwalu, który od początku miał wielką siłę i rozwijał się, jak można zauważyć, rozsadzając wszelkie ramy organizacyjne. Przejdźmy do jego odsłony tegorocznej. Znakiem Festiwalu od dawna był plakat, którego przygotowanie w tym roku powierzono Tomaszowi Sętowskiemu. Przyjrzyjmy się dziełu. Jest ono charakterystyczne dla tego znanego malarza i podważyć jego artystycznej wartości nie można, ale też można zauważyć, iż niewiele ma wspólnego z *sacrum*, choć jest piękny, pełen fantazji Owszem, nawiązuje do mu-

zyki, ale chyba jeszcze bardziej czytelne jest nawiązanie do gry, o czym świadczą takie elementy jak szachownica, kostka, karty. Inny element gry to maski, które mają na twarzach członkowie orkiestry, prowadzonej przez dyrygenta łudzaco podobnego do samego Autora, wyposażonego w kozią bródkę i fruujące poły fraka, figury raczej demonicznej niż anielskiej. Wiele na plakacie elementów fantastycznych, ale też więcej tu elementów z obszaru *profanum* niż z *sacrum*. Wydaje się, iż mógłby ten plakat reklamować każdy inny festiwal muzyczny lub muzyczne wydarzenie związane z karnawalem. Próba nawiązania do koncepcji gry Hansa-Georga Gadamera nie broni plakatu, ma on bowiem informować o Festiwalu Muzyki Sakralnej z 28-letnią tradycją, a jedynym elementem, który może się z *sacrum* kojarzyć, jest... niebo z obłokami.

Tegoroczny Festiwal miał kilka inauguracji. Pierwsza z racji kolejności dokonała się w OPK „Gaude Mater” na wernisażu wystawy malarstwa Jarosława Kwedlicha, artysty związanego z Uniwersytetem Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie. To także odstępstwo od wieloletniej tradycji Festiwalu, zgodnie z którą do wystawiania zapraszano artystów spoza Częstochowy, ostatnio ze Wschodu Polski. Wspólną cechą wystawianych tym razem obrazów było połączenie motywów religijnych z egzystencjalnymi. Można zaryzykować tezę, iż była to współczesna interpretacja wątków biblijnych. Autor zaznaczył, że jego wystawa w tym miejscu planowana była od dawna.

Inauguracja oficjalna miała miejsce kilka godzin później, kiedy to odbył się koncert w bazylice jasnogórskiej. Honory domu czynił Robert Jasiak, pełniący obowiązki dyrektora OPK „Gaude Mater”. W imieniu Arcybiskupa Wacława Depo, jednego z trzech wymienianych honorowych Patronów, gości powitał o. Nikodem

Kilnar, który odczytał stosowny list. Nieobecni byli także pozostali Patroni, czyli Marszałek Województwa Śląskiego oraz Prezydent Miasta Częstochowy.

Inauguracja liturgiczna również różniła się od ubiegłorocznych. Nie było na niej przedstawicieli Stowarzyszenia Przyjaciół „Gaude Mater” ani członków Rady Artystyczno-Programowej, ani osób zaprzyjaźnionych z Festiwalem – a jeśli ktoś był, to prywatnie. Nie było także powitania uczestników w różnych językach. Zabrakło obecności Małgorzaty Zuzanny Nowak. Wiele wskazywało na to, że jakaś ciągłość została przerwana. Homilia o. Nikodema Kilnara odnosiła się do tego, co najważniejsze: dotyczyła muzyki i jej właściwości harmonizujących duszę ludzką.

Na koncercie inauguracyjnym zabrzmiała muzyka ze zbiorów jasnogórskich w wykonaniu Zespołu Muzyki Dawnej „La Tempesta” pod dyрекcją Jakuba Burzyńskiego. Na inauguracji liturgicznej repertuar pochodził także ze zbiorów jasnogórskich, ale wykonany został przez znaną amatorom chorału gregoriańskiego grupę śpiewaków Schola Gregoriana Cardinalis Stephani Wyszyński, którą prowadzi Michał Sławecki. Do udziału w Festiwalu zostali zaproszeni sprawdzeni wykonawcy, do których zaliczyć należy także Marię Pomianowską i Karolinę Cichą, znane z występów w Częstochowie z innym repertuarem. Ukłonem w stronę publiczności były koncerty muzyki gospel (Colin Williams & Gabi Gąsior) i muzyki synagogałnej (Kantor Yoseph Schwartz i Chór Synagogi pod Białym Bocianem, który także był już gościem Festiwalu). Występ Narodowego Chóru Ukrainy im. G.G. Wierowki pozwolił na manifestację uczuć religijnych, bowiem zabrzmiało wiele znanych pieśni, podczas których część audytoryum stała, choć ani przepisy, ani zwyczaj tego nie nakazują. Koncert organowy w wykonaniu Emanuela Bączkowskiego, któremu towarzyszyła wystawa fotogra-

fii w kościele ewangelicko-augsburskim, podtrzymywał ekumeniczny charakter imprezy i współpracę z kolejnym partnerem Festiwalu. Na zakończenie zabrzmiał „Mesjasz” Georga Friedricha Händla w wykonaniu orkiestry i chóru Filharmonii Częstochowskiej.

Szczególnie urokliwy był koncert Bogusława Grabowskiego i Macieja Sikały „Improvizacje na tematy pieśni maryjnych”. Dwaj muzycy o znakomitej renomie, po raz pierwszy goszczący na Festiwalu, podjęli się jazzowych improvizacji na temat popularnych pieśni – zadanie, wydawałoby się, karkołomne, ale wykonanie potwierdziło, iż pomysł był znakomity. Bogusław Grabowski, organista w gdańskiej Katedrze Mariackiej oraz profesor zwyczajny w akademii muzycznej oraz Maciej Sikała, saksofonista altowy i sopranowy, specjalizujący się w jazzie, stworzyli muzykę niezwykle subtelną, niemal kontemplacyjną, która pięknie zabrzmiała we wnętrzu kościoła rektorackiego.

Z tegorocznego, przełomowego wydania trudno wnioskować, jaki pomysł na Festiwal ma Miasto, wiadomo jednak, że zmiany będą istotne. Wiele spraw siłą rozpędu układało się po staremu, jednak nowe było widoczne i odczuwalne. Zrezygnowano z organizacji koncertów w innych miastach, co wymagałoby współpracy na poziomie struktur samorządowych. Nie było konkursu Musica Sacra Nova, Rada Artystyczno-Programowa nie pojawiła się nawet we wspomnieniach. Nie wiadomo, czy powstanie gremium, które ją zastąpi, czy też o programie będą decydować miejsca urzędnicze.

Być może pozostanie zwyczaj wykonywania muzyki ze zbiorów jasnogórskich, która w tym roku była obecna aż na dwóch koncertach. To bardzo cenne źródło i na razie wydaje się być niewyczerpane, a przynajmniej zasobne. Na podstawie obecności twórców i wykonawców z Częstochowy można domniemywać,

że będzie promowana twórczość rodzima. Można także domyślać się, że imprezy festiwalowe będą bardziej dostępne dla odbiorców, bowiem bilety były nieco tańsze, a na jeden z koncertów (organowy) wstęp był wolny. Widownia była miejscem znacznie bardziej demokratycznym, pozbawionym podziału na sektory. W większym stopniu także zostały wykorzystane zasoby miejskie: Miejski Dom Kultury oraz sala widowiskowa OPK „Gaude Mater”. Do prowadzenia części koncertów została zaangażowana arcykonferansjerka Beata Młynarczyk, od dawna związana z Festiwalą i bardzo ceniona przez częstochowską publiczność.

Trudno nie zauważyć, że OPK „Gaude Mater” miał niewiele czasu na zorganizowanie wydarzenia, wymagającego przynajmniej roku przygotowań. Drugą trudnością, związaną z brakiem czasu, były trudności finansowe: znacznie mniejszy od ubiegłorocznego budżet oraz późna informacja o jego wysokości. Organizatorzy nie dzielili się tymi informacjami podczas Festiwalu, z ich strony nie padały żadne skargi ani narzekania – wspominał o tym po koncercie Emanuel Bączkowski, apelując o kontynuowanie Festiwalu pomimo trudności finansowych.

Najpiękniej by było i najbardziej pożądaną, by wokół Festiwalu skupili się wszyscy, którzy byli zaangażowani w jego organizację, by nie było nieporozumień, obrażania się i wyniszczającej walki, bo tylko na współpracy korzystają wszyscy. Warto także pamiętać, iż jest to Festiwal Muzyki Sakralnej, a *sacrum* – to, co święte – jest specyficzne dla religii i nie istnieje w oderwaniu od niej. Użyte w pozareligijnym znaczeniu ma jedynie wartość metafory.

Tomasz „Aztenty” Barański

„BIAŁY SŁOŃ” – CAŁKIEM ZAPOMNIANA HISTORIA



W roku 2018 mija osiemdziesiąt lat od chwili otwarcia wysokogórskiego Obserwatorium Meteorologiczno-Astronomicznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego na szczycie Pop Iwan (2 022 m n.p.m.) w paśmie górskim Czarnohora (obecnie Ukraina). Mimo iż w Obserwatorium prowadzono prace badawcze zaledwie czternaście miesięcy – do 17 września 1939 r. – trwale zaznaczyło się ono w historii nauki polskiej i warto o nim wspomnieć. Z racji swego wyglądu, kosztów i nieustannych kłopotów organizacyjnych do Obserwatorium przyłgnęła nazwa „Białe Słońce”. Niedawne wydarzenia stwarzają nadzieję na odrodzenie tej placówki naukowej.

Pomysł budowy obiektu zrodził się w 1935 r. w kręgach Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny. Dosyć niespodziewanie, w 1935 r. właśnie, Liga Obrony Po-

wietrznej Państwa (LOPP) zaproponowała Obserwatorium Warszawskiemu zorganizowanie oddziału astronomicznego przy obserwatorium meteorologicznym, które w najbliższym czasie miało zostać wzniesione w Karpatach Wschodnich (kresy II Rzeczypospolitej) na szczycie Pop Iwan w Czarnohorze. Pomysł uzyskał akceptację m.in. przewodniczącego Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Prezes LOPP osobiście wskazał miejsce, gdzie miało stanąć obserwatorium. Całą inicjatywę w pełni docenił także rektor Uniwersytetu Warszawskiego.

Dojazd z Warszawy do Obserwatorium na Popie Iwanie był długi i męczący. Najpierw jechało się pociągiem pospiesznym przez Lwów i Stanisławów do Kołomyi (około 10 godzin), dalej autem lub autobusem do Żabiego, potem doliną przez osiedle Zełeny. Ostatni fragment drogi przebywano pieszo bądź konikiem huculskim

leśną ścieżką na szczyt Pop Iwan. Od stacji kolejowej w Kołomyi dzieliła Obserwatorium odległość 120 km.

Symboliczny kamień węgielny pod budowę Obserwatorium położono latem 1936 r. Budowę nadzorował inż. arch. Adolf Meissner ze Lwowa. Gmach Obserwatorium był wznoszony głównie z miejscowego piaskowca, przy czym trudy budowy były niemałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że należało dostarczyć na szczyt Pop Iwan z odległej o 70 km stacji w Worochnie około 800 ton różnych materiałów budowlanych, a cały transport odbywał się leśnymi drogami (raczej bezdrożami) przy pomocy niewielkich koników huculskich lub ręcznie! Sporo trudu kosztowało też dostarczenie na szczyt 33 ciężkich skrzyń zawierających elementy kopuły i wyposażenia instrumentalnego.

Uroczyste poświęcenie i otwarcie Obserwatorium Państwowego Instytutu Meteorologicznego (taka była oficjalna nazwa) odbyło się 29 lipca 1938 r. Z tej okazji przybyli na szczyt Pop Iwan przedstawiciele władz państwowych, LOPP-u oraz grupa astronomów: prof. M. Kamiński, dyrektor Obserwatorium Warszawskiego (które właśnie stawało się już niewystarczające) dr Jan Gadomski i dyrektor Obserwatorium Lwowskiego prof. Eugeniusz Rybka.

Budynek miał kształt odbitej zwierciadłanie litery „L”, przy czym u wierzchołka litery, od strony południowej, znajdowała się kopuła astronomiczna. W budynku znajdowały się 43 pomieszczenia. Na głównym poziomie był obszerny hol, mieszkanie kierownika i pokoje mieszkalne, pierwsze piętro zajmowały m.in. jadalnia, świetlica, biuro, pokoje gościnne, a także pomieszczenie z łącznością radiową. Na najwyższej kondygnacji była sala z instrumentami meteorologicznymi. Dwie niższe kondygnacje były zajęte przez akumulatorownię z agregatami elektrycznymi napędzanymi silnikami spalinowymi, kotłownię oraz inne pomieszczenia gospodarcze. Obser-

watorium miało własną instalację elektryczną, centralne ogrzewanie, natomiast wielką niedogodnością był brak własnego ujęcia wody, gdyż na ostatnim etapie budowy postanowiono „zaoszczędzić” ok. 40 000 zł, które miały być wydane na rurociąg do odległego o 500 m źródła. W okresie zimy wodę pozyskiwano z topnienia śniegu, natomiast latem często trzeba było wodę racjonować, gdyż była noszona ręcznie. Zaopatrzenie w ropę następowało raz w roku. Obserwatorium zużywało około 5 cystern paliwa dostarczanego transportem kolejowym do Kut, gdzie przepompowywano je do kilkuset stalowych beczek, które następnie przewoziły ciężarówki do podnóża szczytu Pop Iwan. Na szczyt góry, leśnymi drogami o długości ok. 10 km beczki wwożono konikami huculskimi. Transport żywności również nie był prosty. Obserwatorium zaopatrywało się w zapasy dwukrotnie w ciągu roku, a ponadto dwa razy w tygodniu dostarczano z dołu świeży nabiał i mięso, płacąc, jak na ówczesne ceny, bardzo wysoką stawkę 30 groszy za dostarczony na górę kilogram żywności. Chleb wypiekano na miejscu. Koszt utrzymania, razem z jego Oddziałem Astronomicznym, był pokrywany głównie przez Państwowy Instytut Meteorologiczny i wynosił 50 000 zł rocznie.

Jeszcze raz warto wspomnieć, iż wysoki koszt utrzymania Obserwatorium, a także brak zrozumienia dla potrzeb istnienia tej specjalistycznej placówki sprawił, że o budynku na górze Pop Iwan zaczęto mówić „Biały Słoń” jak o symbolu rzeczy niepotrzebnej pod każdym względem. W opiniach miejscowej ludności – Hucułów – Obserwatorium było tylko parawanem dla bliżej nieokreślonych, ściśle tajnych obiektów wojskowych.

Badania naukowe realizowane tutaj sprowadzały się przede wszystkim do wykonywania zdjęć przy użyciu 33 centymetrowego astrografu. Udało się m.in. wyznaczyć pozycję odkrytej w 1910 r. jednej

z największych planetoid Interamnia. Oprócz obserwacji fotograficznych obserwowano wizualnie gwiazdy zmienne, a także patrolowano niebo, poszukując komet.

Osobnym etapem w historii placówki była wojna, która wkroczyła tu niemal nieodróżnialnie: zniknęło kilku zmobilizowanych pracowników, zamaskowano oświetlenie, na dachu pojawił się przeciwlotniczy karabin maszynowy. Po otrzymaniu stosownego rozkazu, w dniu 17 września wycofała się do Rumunii placówka ochronna (obiekt spełniał też niektóre funkcje militarne, będąc blisko kilku granic), zaś 18 września cały pozostały personel opuścił Obserwatorium i szedł na stronę węgierską. Zabrano ze sobą wyniki obserwacji oraz cenniejszy sprzęt. Wkrótce Obserwatorium zostało zajęte przez Sowieców. Jak wynika z relacji żołnierzy węgierskich, na górze Pop Iwan pojawił się nieregularny patrol woskowy – jego dowódca skierował list do załogi Obserwatorium, aby wróciła i oddała zabrane elementy wyposażenia, gwarantując jej pracę i bezpieczeństwo – z czego naturalnie nie skorzystano.

W ostatni dzień 1939 r. do Obserwatorium dotarł znany astronom rosyjski Aleksander Orłow. Na przełomie lat 1939/40 na budynku zainstalowano ogromny reflektor przydatny prawdopodobnie dla obrony granicy. Od 10 września 1940 r. prowadzono stałe obserwacje meteorologiczne. Ustawiono wiatromierz, pluwiografy i barometry. Oceniając z perspektywy lat działalność w tym okresie rzeczono przybytku nauki odnosi się wrażenie, że aktywność zatrudnionych w placówce ludzi nie była pracą, a raczej walką z przyrodą, brakiem dosłownie wszystkiego, ogromną biurokracją, a przede wszystkim ciągłym konfliktem dyrektora ze sfrustrowaną załogą, zapewne nieraz niedożywioną... Sowieckie władze *de facto* nie były zainteresowane Obserwatorium. Budynek rozszabrowano, przez kilkadziesiąt lat stał pusty. Fakt, że przetrwał, że się nie rozpadł, dobrze świadczy

o solidności wykonawców. A gdy w 1991 r. powstała wolna Ukraina, Pop Iwan stał się ulubionym celem grup turystycznych z Polski i Ukrainy.

I oto Pop Iwan wraca do życia: od kilku lat mówi się o jego wspólnej polsko-ukraińskiej odbudowie. I nie tylko się mówi. Uniwersytet Warszawski i Podkarpacki Uniwersytet z Iwano-Frankiwska, dzięki środkom polskiego Ministerstwa Kultury i przy wsparciu ambasady RP w Kijowie, dawno już przeprowadziły prace renowacyjne. Projekt renowacji, obejmujący utworzenie pracowni badawczej i schroniska akademickiego budzi jednak pewne opory. Protestuje polskie Towarzystwo Karpackie – chciałoby ono zachowania „trwałej ruiny”. Zdaniem innych krytyków odbudowa pociągnie eksplorację jednych z najbardziej dzikich gór Europy. Dyskusja trwa, ale jej wynik wydaje się być przesądzony – trwają już daleko zaawansowane prace remontowe.

Wykorzystano:

J.M. Kreiner, *Dzieje Obserwatorium Meteorologiczno-Astronomicznego na Popie Iwanie*, „Urania” 1989, nr 4, s. 98-107.

L. Rymarowicz, J.M. Kreiner, *Historia obserwatorium na Popie Iwanie. Biały Słoń – nowy rozdział czy deja vu?*, „Urania – Postępy Astronomii” 2014, nr 1, s. 14-20.

Marcin Żyła, *Pop Iwan wraca do życia*, „Tygodnik Powszechny” 2014, nr 41, s. 14-20.



Nina Sołkiewicz-Kos

CZĘSTOCHOWA NAD WARTĄ – RELACJE RZEKI Z MIASTEM

Historia terenów nadrzecznych Częstochowy ściśle związana jest z historią miasta, począwszy od jego założenia (XIV wiek) do czasów współczesnych. Tereny wokół rzeki Warty stymulowały rozwój strefy Starego Miasta i strefy śródmiejskiej Częstochowy. W okresie rozkwitu przemysłu (XIX-XX wiek) nastąpiło zagospodarowanie rzeki pod kątem ich służebnej roli względem powstających fabryk. Warta stanowiła źródło energii i umożliwiała procesy produkcyjne i technologiczne.

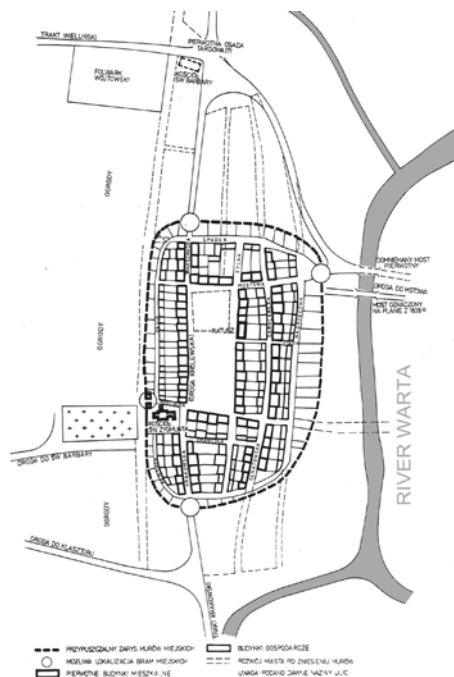
Długoletnia ekspansja przemysłu spowodowała odsunięcie terenów rzecznych od miasta i ich postępującą degradację w wymiarze biologicznym, higienicznym, rekreacyjnym i kulturowym. Niekorzystne zjawiska biologiczne w powiązaniu ze zmianą paradygmatu zrównoważonego rozwoju miasta, wzbudziły zainteresowanie tymi terenami jako obszarami wartościowymi, wpływającymi na lepszą jakość życia w mieście.

Tekst ten nawiązuje do historii i omawia aktualną rolę terenów rzecznych miasta Częstochowy. Próbuje również wskazać możliwości ich przyszłego wykorzystania.

Związek rzeki z miastem – historia

Obecnie Warta, największa rzeka Jury Krakowsko-Częstochowskiej, stanowi obszar chroniony, niezwykle cenny dla ekosystemu południowej części Polski.

Historyczny związek rzeki Warty i miasta Częstochowy sięga XIV wieku. W tym okresie na lewym brzegu Warty, na terenie niezasiedlonym, założono miasto Częstochowa (na tzw. „surowym korzeniu”). Struktura urbanistyczna tego założenia posiadała formę typową dla średniowiecz-



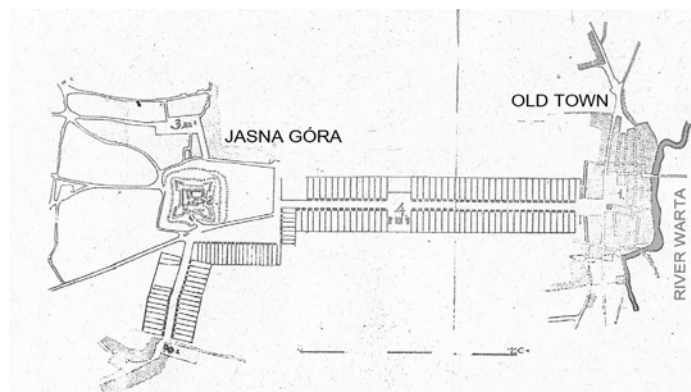
Rys.1: Średniowieczny układ Starego Miasta lokowany na lewym brzegu rzeki Warty (Źródło: [1] J. Braun, Częstochowa, urbanistyka i architektura, Warszawa 1979.)

nych miast, lokowanych na prawie niemieckim. Był to regularny plan szachownicowy, z centralnie usytuowanym rynkiem z ratuszem i wagą. W sąsiedztwie rynku wzniesiono gotycki kościół św. Zygmunta oraz budynki klasztorne (rys.1).

Miasto posiadało w tym okresie dwa mosty: na rzece Warcie i na Stradomce (dopływ Warty) oraz dwa młyny zasilane przez rzekę: królewski i wójtowski. Osadzenie na pobliskim wzgórzu Jasna Góra klasztoru paulinów przesądziło o dalszym kierunku rozwoju miasta Częstochowy. Rozwój klasztoru na Jasnej Górze, spo-

wodował wzrost znaczenia przylegającej do wzgórza osady targowej [1].

Konsekwencją rozwoju dwóch niezależnych organizmów miejskich była oś komunikacyjna – Aleja Najświętszej Maryi Panny – łącząca średniowieczne Stare



Rys. 2: Połączenie dwóch niezależnych organizmów miejskich Starego Miasta i Jasnej Góry wraz z osadą targową (Źródło: [1] J. Braun, Częstochowa, urbanistyka i architektura, Warszawa 1979.)

Miasto i kościół św. Zygmunta z klasztorem na Jasnej Górze (lata 20. XIX wieku) [1] (rys. 2.)

W drugiej połowie XIX wieku miała miejsce kolejna faza rozwoju miasta kapitalistycznego. Następuje nasilenie wykorzystania rzeki do celów produkcyjnych. Usytuowanie Częstochowy blisko granic, pomiędzy Królestwem Polskim i Prusami, wpłynęło na szybki rozwój infrastruktury transportowej (kolej Warszawsko-Wiedeńska, kolej Herbska) i przemysłowej. Dostępność różnorodnych surowców (rudy żelaza, kamienia wapiennego, gliny) oraz zasoby wodne rzeki Warty podnoszą znaczenie przemysłu w gospodarce miasta.

W okresie międzywojennym (lata 20. i 30. XX wieku) Częstochowa była czwartym co do wielkości ośrodkiem miejskim w Polsce. W okresie powo-

jennym, na szczepie rządowym zostaje podjęta decyzja o rozbudowie kombinatu metalurgicznego, co stanowić może kontynuację wcześniejszych trendów. Fakt ten sytuuje Częstochowę w gronie jednego z najważniejszych ośrodków przemysłowych w Polsce. Silne powiązania administracyjne miasta z regionem śląskim powodują, że Częstochowa stała się siedzibą Ogólnokrajowego Zjednoczenia Kopalnictwa Rud Żelaza [1]. Następuje intensywna rozbudowa Huty im. B. Bieruta, (obecna nazwa – ISD Huta Częstochowa), jak również innych gałęzi przemysłu, w tym przemysłu włókienniczego. Wzrosło wydobycie lokalnych surowców. Działania te spowodowały nadmierną eksploatację zasobów wodnych i znacząco obniżyły jakość wody Warty. Nastąpiło strukturalne odsunięcie rzeki od terenów miejskich i zamroziło strefę nadrzeczną, przeznaczając ją na potrzeby czysto przemysłowe. Ta sytuacja trwała do końca lat 80. XX wieku.

Rola rzeki w mieście – współczesne uwarunkowania

Przełom lat 80. i 90. XX wieku spowodował zmianę paradygmatu w planowaniu miast, wprowadzając pojęcie „zrównoważonego rozwoju”. W warunkach polskich oznaczało to zwrócenie uwagi na procesy produkcyjne, obciążające środowisko naturalne. Z jednej strony naprawa niekorzystnych zjawisk ekologicznych w dłuższej perspektywie oznaczała wyższą jakość życia mieszkańców miasta, z drugiej strony wpływała negatywnie na funkcjonowanie sfery ekonomicznej miasta oraz jakość terenów poprzemysłowych. Możliwości adaptacyjne, uwzględniające współczesne wymagania w zakresie ochrony środowiska i realia gospodarki wolnorynkowej, doprowadziły do upadku zakładów przemysłowych, a na-



Rys.3: Sieć rzeczna Warty oraz zdegradowane obszary przemysłowe wymagające nowej koncepcji zagospodarowania przestrzennego (Źródło: opracowanie autorskie z wykorzystaniem: mapy. google.pl)

wet całych branż (przemysł lekki). Niska rentowność zakładów przemysłowych spowodowała ich zamknięcie (rys.3).

Zdegradowana strefa rzeczna, powiększona o rozpadające się i niszczące budynki przemysłowe i przylegające do nich obszary, wymagała nowej koncepcji zagospodarowania przestrzennego z uwzględnieniem współczesnych realiów środowiskowych, społecznych, kulturowych. Jej znaczący udział powierzchniowy w granicach współczesnego miasta wymaga kompleksowej strategii planowania z uwzględnieniem nowych realiów i wprowadzenia nowych funkcji.

Rewitalizacja terenów rzecznych – wyspa Kohna

Przykładem punktowych działań związanych z rewitalizacją terenów przemysłowych jest projekt zagospodarowania tzw. wyspy Kohna. Wyspa Kohna powstała

w latach 50. XIX wieku poprzez przekopanie kanału doprowadzającego wodę z rzeki Warty do napędzania młynów w papierni. Zdegradowany obszar został zagospodarowany poprzez wybudowanie wielokubaturowego obiektu o funkcji handlowo-usługowej. Galeria Jurajska, bo taką nazwę nosi ten obiekt, została w całości wykonana przez polskiego dewelopera w 2009 roku, według projektu pracowni architektonicznej APA Wojciechowski. Na powierzchni 130 tysięcy m² znajduje się 200 sklepów, kawiarnie, restauracje oraz kino. Galeria Jurajska została wyróżniona nagrodą miesięcznika „Construction & Investment Journal” w kategorii Najlepsze Centrum Handlowe zrealizowane w 2009 roku. [2]

Wielofunkcyjna architektura obiektu stała się nową przestrzenią miejską. Galeria Jurajska przekształciła przemysłowy, zaniedbany teren w jeden z głównych magnesów konsumpcyjno-rozrywkowych



Rys.4: Teren wyspy Kona. Widoczny obiekt galerii handlowej, który w istotny sposób przekształcił tereny Starego Miasta. (Źródło: mapy.google.pl)

Częstochowy. W wyniku rozwiązań towarzyszących nowej inwestycji kanał Kohna został zasypany. Takie rozwiązanie umożliwiło obsługę komunikacyjno-transportową obiektu, nastawionego na obecność dużej ilości zmotoryzowanych i pieszych klientów.

Z galerią sąsiaduje węzeł komunikacyjny obejmujący dwa ważne kierunki komunikacyjne, północ – południe (trasa Warszawa – Kraków, Katowice) i wschód – zachód (Stary Rynek – Jasna Góra).

Próba fuzji Starego Miasta i nowej struktury miejskiej wymaga odpowiednich działań. Dotyczą one nowoczesnych rozwiązań komunikacyjnych i przestrzegania wytycznych dotyczących ochrony i renowacji tego obszaru [3].

Koncepcja programowo – przestrzenna Galerii Jurajskiej i jej otoczenia zmieniła charakter obszaru Starego Miasta, będąc alternatywną propozycją na zagospoda-

rowanie zaniedbanej, wręcz zapomnianej części miasta (rys.4).

Próba oceny

Teren tzw. wyspy Kohna (obecnie Galeria Jurajska) był tematem licznych konkursów, obejmujących zagadnienia przekształceń obszarów śródmiejskich Częstochowy. Poszukiwania rozwiązania dla zaniedbanego i zdegradowanego terenu nie dały zadowalających rezultatów. Potwierdziły natomiast konieczność przekształceń jednej z najbardziej charakterystycznych i rozpoznawalnych części Częstochowy [3]. Unikalny charakter „wyspy” związany był z XIX-wiecznymi zabudowaniami Fabryki Papieru i Młynów Walcowych Karola Ginsberga i Berka Köhna (od 1945 roku Częstochowska Papiernia) oraz hal fabrycznych Zakładów Włókienniczych „Warta” [1].

Zły stan techniczny zabudowy uniemożliwił rewitalizację substancji zabytkowej, pomimo starań władz miejskich, Częstochowskiego Oddziału SARP-u (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) i organizacji zajmujących się ochroną zabytków.

Po raz kolejny duży inwestor, w tym przypadku polski deweloper Globe Trade Centre zagospodarował teren „wyspy” zasypując jednocześnie Kanał Kohna, który był rozgałęzieniem regulującym nurt rzeki Warty i realizując obiekt galerii handlowej.

Próba wzbogacenia wartościowej struktury przestrzennej tej części miasta poprzez realizację wielofunkcyjnych obiektów, to ciągle poszukiwanie strategii i taktyki

podnoszenia jakości terenów śródmiejskich. Realizacja dużego kubaturowo obiektu w oparciu o kontekst miejski, jak i o uwarunkowania historyczne i współczesne miasta, zawsze jest próbą określenia pewnych istotnych wartości estetycznych i tożsamościowych przestrzeni kulturowej [4].

Budynek Galerii dominuje w przestrzeni istniejącej zabudowy przemysłowej i neogotyckiej Katedry pod wezwaniem Świętej Rodziny. W sąsiedztwie znajduje się również budynek dawnego dworca Częstochowa Warta, który w czasie II wojny światowej był miejscem deportacji Żydów z częstochowskiego getta do niemieckiego obozu zagłady w Treblince. Lokalizacja galerii handlowej budzi kontro-



Fot.1: Odcinek rzeki Warty w obrębie strefy śródmiejskiej. Współczesny obraz ciągu spacerowego wzdłuż rzeki, fot. Nina Sołkiewicz-Kos

wersje w ocenie zasadności takich decyzji projektowych. Nie ulega jednak wątpliwości, że wielofunkcyjny obiekt przyczynił się do ożywienia tej części Starego Miasta.

Przestrzenie zielone miasta – nowe możliwości

W Częstochowie kwestia terenów zielonych w odniesieniu do zagospodarowania terenów rzecznych jest istotnym czynnikiem uwzględnianym przy planowaniu urbanistycznym. Jest to szczególnie widoczne w kontekście podtrzymania i modernizacji istniejących założeń parkowych, skwerów, bulwarów i placów, jak i aranżowania nowych zielonych przestrzeni publicznych (Fot. 1).

Znalezienie optymalnych uwarunkowań, które oferują miejsca wypoczynku, rekreacji, spotkań, jest zadaniem wymagającym prawidłowej interpretacji samego miejsca, jak i użytkującej to miejsce społeczności. To także jedna ze współczesnych, światowych tendencji kształtowania środowiska miejskiego.

Przestrzenie zielone wzdłuż brzegów rzeki stanowią atrakcję rekreacyjną dla mieszkańców Częstochowy. Obejmują one także bulwar, ścieżkę rowerową, przystań dla kajaków. Miejsca te stały się popularne, bo oferują dostęp do natury, do wody, do zielonej przestrzeni w obrębie miasta (Fot.2).

Przy modernizacji terenów nadrzecznych brakuje całościowej, zwartej kon-



Fot.2: Rewitalizowane tereny nadrzeczne Warty. Fragment ścieżki spacerowo-rowerowej wzdłuż brzegu rzeki, fot. Nina Sołkiewicz-Kos

cepcji ideowej. Uporządkowanie terenów nadrzecznych w ciągły system korytarzy ekologicznych, które sięgałyby poza granice miasta, stwarzałyby szansę prawidłowego podejścia planistyczno-projektowego do zagadnień ekologii i jednocześnie spełniałyby funkcje przestrzeni publicznej o charakterze turystyczno-rekreacyjnym. [5]

Tak ukształtowany ekosystem miasta wpłynąłby znacząco na ochronę środowiska naturalnego i kulturowego. Należy dodać, że bez kompleksowego podejścia do zagadnień modernizacji układu zieleni w skali makro, nie osiągnie się odpowiednich parametrów spełniających potrzeby i preferencje lokalnej społeczności (kwestia prawidłowego przewietrzania terenów śródmiejskich, odpowiednia jakość i wilgotność powietrza itd.) [5].

Wnioski

Struktura obszarów rzecznych stanowiących integralną część tkanki urbanistycznej miasta Częstochowy nie istnieje w świadomości większej części społeczeństwa. Perspektywa tworzenia nowych przestrzeni kulturowych, rekreacyjnych, ekologicznych na tych terenach ma uzmysłwić nam możliwości, jakie możemy osiągnąć na tych zaniedbanych obszarach.

Intensywne działania mające na celu podniesienie jakości danej przestrzeni miejskiej i zwiększenie oferty programowej dla mieszkańców powinny zawierać holistyczną koncepcję gospodarki wodnej miasta, powodując płynne połączenie strefy miejskiej ze strefą sieci rzecznej w obrębie miasta.

Konsekwencją takiego podejścia jest konieczność zapewnienia ciągłości planowanych korytarzy ekologicznych wiążących w całość zielone strefy obszarów rzecznych miasta z pasem otuliny terenów Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych.

Bibliografia

- [1] J. Braun, *Częstochowa, urbanistyka i architektura*, [Częstochowa, *Urban-planning and Architecture*], Warszawa 1979.
- [2] <http://gtc.com.pl/galeria-jurajska-wybrana-najlepszym-centrum-handlowym-zrealizowanym-w-2009-roku/>
- [3] Katalog wydany na zlecenie Urzędu Miasta Częstochowy, *Konkurs SARP NR 882 na opracowanie koncepcji zagospodarowania śródmieścia Częstochowy*. [The Catalogue Published to the City of Czestochowa Order. SARP Contest no. 882 Concerning the Conception of Czestochowa Town Centre], Częstochowa 1999/2000
- [4] A. Kadłuczka, *Problemy integracji architektury współczesnej z historycznym środowiskiem kulturowym*, Wyd. Polit. Krak., Kraków 1982.
- [5] *Częstochowa. Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego*, Przedsiębiorstwo Zagospodarowania Miast i Osiedli „Teren” sp. z o.o., Częstochowa-styczeń 2000.

Nina Sołkiewicz-Kos, dr inż. arch., wykładowca na Wydziale Budownictwa Politechniki Częstochowskiej. Artykuł *Częstochowa i Warta – relacje rzeki z miastem* ukazał się w czasopiśmie pokonferencyjnym „Architecture in Perespective”, Ostrawa 2017, nr ISBN 878-80-248-4058-1

Elżbieta Hak

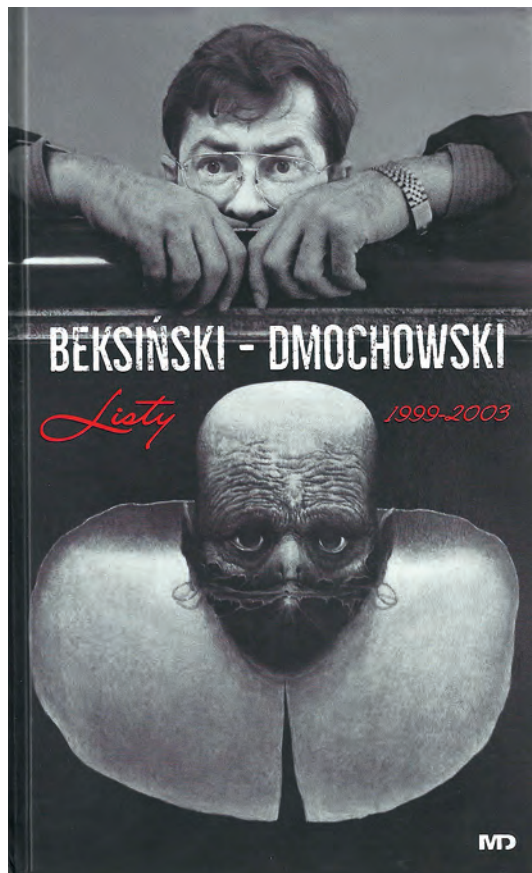
KORESPONDENCJA ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO Z PIOTREM DMOCHOWSKIM

Pod koniec 2017 roku na półkach księgarni znalazła się książka *Beksiński – Dmochowski. Listy 1999–2003*, która jest obowiązkową lekturą dla miłośników twórczości Zdzisława Beksińskiego. Za sprawą Piotra Dmochowskiego wydane zostały listy, które obejmują lata 1999–2003 i są obszernym kompendium wiedzy na temat sarnockiego artysty. We wstępie Piotr Dmochowski wprowadza czytelnika w kilka istotnych informacji dotyczących okresów korespondencji, ale podkreśla, że „obecna publikacja części korespondencji, jaką wymieniliśmy, rzuci na te stosunki dodatkowe światło”¹. Książkę rozpoczyna list Zdzisława Beksińskiego z 12 maja 1999 roku, w którym opisuje swoje osobiste przeżycia. W kolejnych fragmentach listu złożył następującą propozycję Piotrowi Dmochowskiemu:

„Chciałbym Ci zaproponować wypalenie fajki pokoju i skreślenie przeszłości, co zrobiłbym chyba już dawniej, ale Zosia nie mogła Ci wybaczyć, że w książce opisałeś w kilku miejscach naszą rodzinę, głównie chodziło jej o Tomka”².

W prezentowanej korespondencji nie brakuje wątków, które ukazują dwa różne punkty widzenia. Zderzają się ze sobą i odsłaniają delikatne złośliwości, zarzuty, żarty i zainteresowania. Nie mogło zabraknąć drażliwego dla obu Panów tematu dotyczącego wydania książki *Zmagania o Beksińskiego*. Zarówno Beksiński, jak i Dmochowski wyjaśniają sobie zarzuty, jakie zostały postawione w książce sprzed lat. W listach ukazane zostały zainteresowania artysty, które również – co w przypadku malarza dość niezwykle – dotyczyły muzyki:

„Jeszcze nie wiem, czy coś będę robić z dźwiękiem. Na razie muszę poznać programy, ale nawet jeśli je poznam, to mój ewentualny i jeszcze nie postanowiony start w tej dziedzinie, jest bardzo utrudniony tym, że jedyny rodzaj sztuki, który jako tako znam, to muzyka”³.



Nie zabrakło trudnych pytań, które poruszone zostały przez Piotra Dmochowskiego, między innymi we fragmentach listu z 16 maja 2000 roku:

„Drogi Zdzisławie, z pewną dozą goryczy przyjąłem wiadomość, że myślisz w tym jeszcze roku oddać Twoje „zwierzęta domowe” do muzeum w Sanoku. Jeśli byłeś lojalny nie sprzedając po cichu obrazów podczas naszej dwunastoletniej współpracy, jeśli byłeś lojalny oddając mi 50 obrazów przy zerwaniu, czyż nie warto być lojalnym do końca i dotrzymać święcie danego słowa, które upoważniało mnie do ich wyboru?”⁴.

W odpowiedzi Zdzisław Beksiński wyjaśnił wprost i dość wyczerpująco, ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń z przeszłości oraz reakcji najbliższych i ukochanych osób:

„Niezależnie od tego jednak co postanowiłem, to i tak nie mógłbym postąpić w sposób jaki proponujesz. Powiedzmy prawdę: Zosia przez ostanie lata była na Ciebie cholernie zła, do czego walenie przyczyniła się książka, którą odebrała tak, jak odebrała – każdy wreszcie odbiera po swojemu. (...) Wracając więc do sprawy podstawowej: nie do pomyślenia jest dla mnie, bym mógł w jakiś sposób przekazać Tobie obrazy, które należały do Zosi i które zostały w domu (czym się niejednokrotnie w towarzystwie szczyciła) tylko dzięki temu, że nie zgodziła się na to, bym je sprzedał Tobie (Japończykom odmówiła sprzedania ich po 40 000 \$)... Mam nadzieję, że zaakceptujesz to, co napisałem, bo nie żywię nadziei, że to zrozumiesz. Pod wieloma względami jesteśmy inni”⁵.

Zdzisław Beksiński zamierzał przekazać obrazy do muzeum w Sanoku, o czym napisał otwarcie:

„(...) na jesieni wezmą ode mnie wszystkie gipsy i wszystkie stare obrazy, bo wreszcie gdybym nagle umarł, to nie byłoby szansy, by to planowo przeprowadzić. Oni tam w Sanoku dobudowują, powoli i dużym wysiłkiem finansowym, całe poddasze zamku specjalnie na moją stałą ekspozycję, wygląda to bardzo zachęcająco i wydawało mi się najsensowniejszą rzeczą, by tak właśnie zadecydować”⁶.

Tom, który zawiera ponad 790 stron, jest przede wszystkim skierowany do osób pragnących poznać bliżej relacje malarza ze swoim marszandem. Dwie postacie, dwa odmienne punkty widzenia i szczere wyznania. Korespondencja nie tylko odśladania ich przyjaźni, ale także rodzinę samego Beksińskiego. Malarz często wspominał Zofię (żonę) oraz swojego jedynego syna Tomka. Książkę uzupełniają reprodukcje obrazów Zdzisława Beksińskiego. Nie ulega wątpliwości, że jest świetną propozycją pomocną w odkrywaniu artystycznej sylwetki malarza, którego twórczość możemy podziwiać w Częstochowie w Miejskiej Galerii Sztuki. W listach twórca odkrył zarówno swoje fascynacje, jak i niezadowolenie z otaczającego świata.

1 P. Dmochowski, *Beksiński – Dmochowski. Listy 1999–2003*, Warszawa 2017, s. 5.

2 Ibidem, s. 11.

3 Ibidem, s. 51.

4 Ibidem, s. 55.

5 Ibidem, s. 56–58.

6 Ibidem, s. 56.

Barbara Strzelbicka

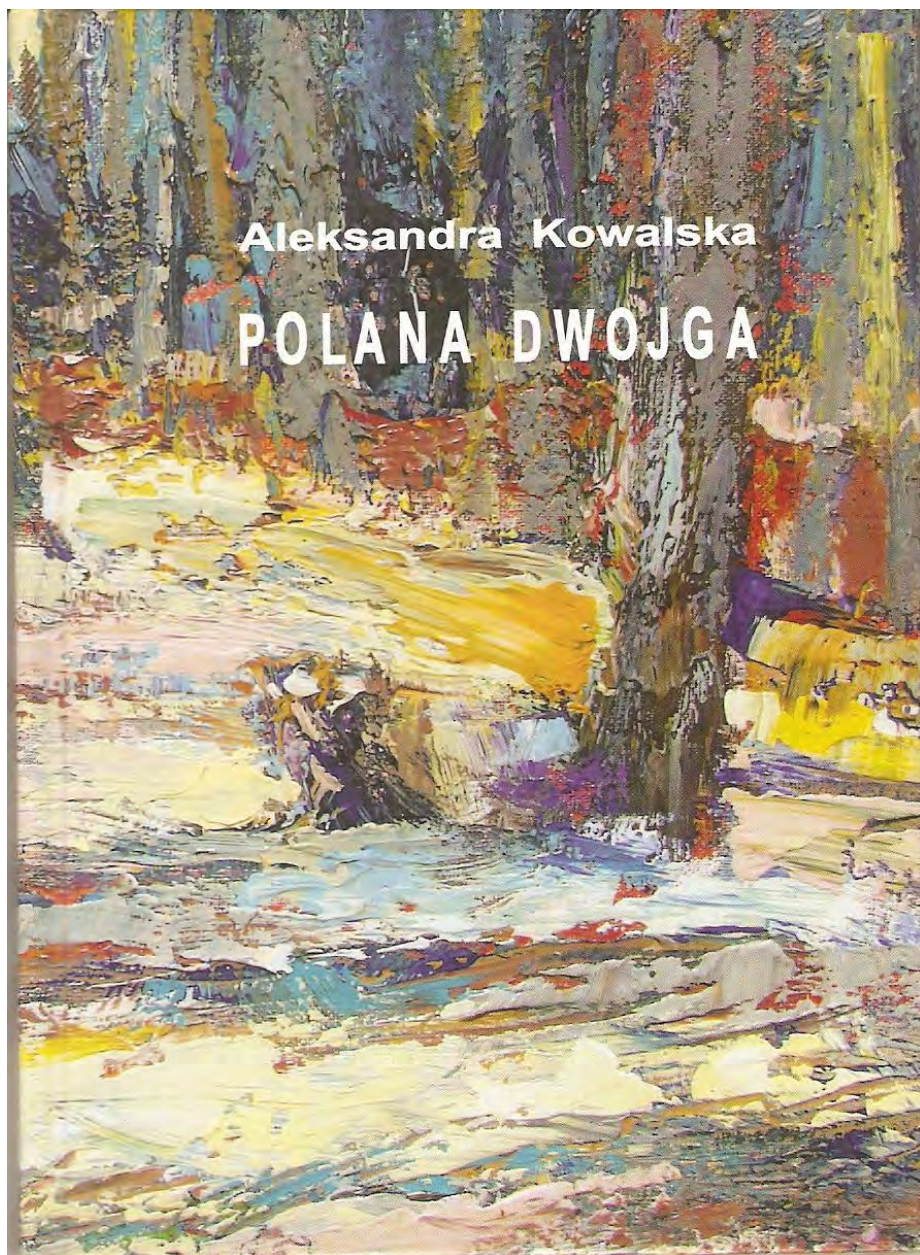
TRZY WYMIARY MIŁOŚCI. O WIERSZACH ALEKSANDRY KOWALSKIEJ

Aleksandra Kowalska jest artystką wszechstronną, wykształceniem związaną ze sztukami plastycznymi, co jednak nie ogranicza jej twórczej ekspresji tylko do sztuk wizualnych. Jak sama deklaruje, muzyka, poezja i sztuki plastyczne stanowią dla niej nierozzerwalną całość, w której się z powodzeniem realizuje. W kierunku plastycznym kształciła się od najmłodszych lat, edukację na poziomie średnim i wyższym kończąc dyplomami z wyróżnieniem. Oprócz talentów posiada takie cechy, jak pracowitość, ambicja i konsekwencja. Do każdego rodzaju aktywności podchodzi z pasją i zaangażowaniem, którymi dzieli się także z innymi – nie tylko poprzez prezentowanie swojej twórczości, ale także przez wspólne tworzenie. Powołanie do życia zespołu muzycznego „Impast” nie jest jedynym przykładem takiej postawy, choć zespół składa się z muzyków, będących przyjaciółmi liderki i angażuje się do zapewniania oprawy muzycznej wydarzeń literackich i plastycznych, które dzięki temu stają się wydarzeniami multimedialnymi.

Słowo „impast” wzięte zostało z terminologii malarskiej i oznacza technikę polegającą na nakładaniu farby grubą warstwą za pomocą pędzla lub szpachli. Muzycy, a przede wszystkim założycielka zespołu, nazwę odczytują także jako akronim, tworząc swoisty manifest twórczy grupy: I – inwencja, M – miłość, P – prawda, A – artyzm, S – serce, T – twórczość. Wszyscy członkowie zespołu, podobnie jak jego liderka, są praktykującymi katolikami. Treści religijne są także obecne w twórczości poetyckiej Aleksandry Kowalskiej, która, jak sama mówi, poprzez twórczość chce opowiadać o miłości Boga.

Bóg, wiara, modlitwa – to najważniejszy motyw w twórczości poetyckiej artystki, motyw, któremu jest wierna od debiutu tomikiem zatytułowanym *W objęciach Boga. Miniatury szpitalne* (2015). Oczywiście dochodzą do głosu także inne wątki, a przede wszystkim miłość, którą dla odróżnienia od miłości do Boga nazwijmy „ziemską” – i nie jest to miłość pozbawiona pierwiastka zmysłowego, a wręcz przeciwnie: pełno w niej zapachu, dotyku, tęsknoty do bliskości fizycznej. Zaznaczmy, że sensualna jest nie tylko miłość do mężczyzny, ale także miłość do córki, której dzieciństwo kojarzy się autorce z zapamiętanymi zmysłowymi doznaniem, obrazami, zapachami, pamięcią uścisku.

Wiele w wierszach Aleksandry Kowalskiej obrazów, wiele barw i kształtów, są opisy wrażeń dotykowych; dłonie, oprócz oczu, są dla podmiotu lirycznego niezwykle wrażliwymi na bodźce organami. Dodajmy, że bodźców tych także poszukują i śmiało penetrują rejony intymności uczuciowej. W wyznawaniu uczuć, w opisie wrażeń, fascynacji i zauroczeń Aleksandra Kowalska jest niezwykle śmiała i szczerza, odwagą osoby pewnej swoich uczuć i swojego emocjonalnego bezpieczeństwa. Uczucia te są harmonijne, nie ma rozdźwięku między miłością do Boga i miłością do ludzi, nie ma rozdźwięku pomiędzy miłością duchową i zmysłową – duchowość i zmysły wzajemnie się dopełniają. Jednym z dowodów na poparcie tej tezy są tytuły, nadane cyklom wierszy w tomiku *Polana dwojga*: cykl *Obietnica* zawiera wierze o miłości do Boga, *Sacrum* – w tej części mieszczą się wiersze o miłości erotycznej, zaś trzeci wymiar miłości,



miłość macierzyńską, opisują teksty objęte tytułem *Turkusowa*, który to tytuł jest epitetem nadanym adresatce wierszy, córce Autorki.

Wiersz tytułowy tomu *Polana dwójga* to wyznanie miłości, którego to słowa autorka nie wstydzi się używać; nie wstydzi się także doświadczania miłości w sposób

zarówno duchowy, jak i zmysłowy. Miłość w wierszach Aleksandry Kowalskiej nie podlega wartościowaniu, żaden z jej rodzajów nie jest lepszy ani gorszy, żaden nie jest grzeszny. Pewnym natomiast jest, że pierwszą jest miłość Boga, pozostałe zaś wymiary miłości są odbłaskiem tej pierwszej. Autorka nie używa zróżnico-

wanych środków stylistycznych dla jej wyrażenia i gdyby nie podział na cykle oraz wielka litera w pisowni zaimków, rodzaj miłości czy też obiekt, do którego jest ona skierowana, byłby czasem trudny do zidentyfikowania. Wydaje się, że miłość jest po prostu cechą osoby mówiącej w wierszach, która w ten sposób przeżywa swoją relację z Bogiem i ze światem.

Podmiot liryczny wierszy ma bardzo osobistą relację z Bogiem, której nie są w stanie ograniczyć słowa modlitwy. *Ojcie nasz*, poetycka trawestacja *Modlitwy Pańskiej*, zawarta w tomie *Polana dwojga*, pokazuje, jak twórcza wyobraźnia przenosi je w rejony artystycznej kreacji:

„Ojcie nasz któryś jest
barwą na płótnie (...)
przyjdź królestwo Twoje
w pięknie tańczącego deszczu”.

Indywidualny wymiar relacji z Bogiem potwierdza także Aleksandra Kowalska poprzez własną interpretację wątków religijnych – przykładem mogą być wiersze znajdujące się w wyborze prezentowanym w „Galerii”. *Góra Tabor* to pełna wiary i ufności modlitwa o przemianę życia:

„gdy dorosnę obiecaj mi
na Górze Tabor
przemienisz moje dni”.

Bóg w tych wierszach jest bardzo bliiski, kontakt z Nim można nawiązać także poprzez ciało i zmysły – jak w wierszu *Blżej*:

„wybacz
że porównuję swoje dłonie do Twoich

przekręcą spodem do nieba
patrzę

czy krew płynie równie czerwona”.

Wiersze Aleksandry Kowalskiej są lekkie i ulotne jak dźwięki piosenek, które wykonuje. Nie oznacza to jednak, że są banalne – dotyczą ważnej sfery ludzkiej duchowości. Autorka ceni sobie formy krótkie, bo według niej nadmiar słów zabija poezję. Jej słowa służą wyznaczaniu tropów, którymi ma podążać czytelnik, by w pełni odkryć ich, a właściwie własną – prawdę. W ten sposób odbiorca staje się uczestnikiem procesu twórczego, wiersz natomiast staje się jego własnością – ten wiersz, który zostanie przez niego odczytany. Niektóre teksty zaskakują krótką frazą, czasem załamie dotykając znaczeń, jakby sensy także były ulotne, ożywające pod wpływem skojarzeń, by doprowadzić czytelnika do puenty. Zaznaczyć należy, że Aleksandra Kowalska nie puentuje jednoznacznie swoich wierszy, a tylko wyznacza pewne ramy interpretacyjne, resztę pozostawiając czytelnikowi. Tak więc i puenta jest zmienna, wymykająca się, czasem trudna do uchwycenia i zweryfikowania.

Drugi tomik poetycki Aleksandry Kowalskiej *Polana dwojga* był promowany w OPK „Gaude Mater” 30 maja 2018 r. Spotkanie prowadziła prof. Elżbieta Hurnik, która jest także autorką omówienia tekstów. Wstęp do książki napisał ks. dr Jarosław Grabowski, a jego wystąpienie poświęcone było miłości w ujęciu teologicznym. Prof. Elżbieta Hurnik podkreśliła, że miniatury zawarte w tomiku to liryka bezpośrednia, zachowująca równowagę pomiędzy szczerością wyznania i całkowitym odsłonięciem się, dyskredytującym poezję. Na zakończenie spotkania wystąpił zespół „Impast” z Aleksandrą Kowalską jako wokalistką i gitarzystką w repertuarze jej autorstwa. Zaiste – wiele talentów w jednej osobie!



Roman Timofejuk, z cyklu: „VEDUTY”

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

TAJEMNICE ASTROLOGII



I

„Astrologowie biegi miesięcy rachują, przyszłe przygody
wiedzieć chcą”.
(Piotr Skarga)

Astrologia (z greckiego *astron* gwiazda i *logos* mowa), nauką królewską zwana, korona ludzkiego myślenia, dostępna ongi jedynie dla wtajemniczonych, była jednym z najstarszych, najbardziej fascynujących systemów wiedzy. Wersja mitologiczna jako twórców astrologii wskazywała bogów, którzy mieli na nocnym niebie objawiać ludziom swą wolę. Wedle innej koncepcji to Cham, syn Noego (pono nie bez udziału demonów) uchodził za jej twórcę. Przywilejem tym pewni badacze obdarzyli też biblijnego Adama, który w jej arkana wprowadzony został przez anioły. Ksiądz Benedykt Chmielowski w *Nowych Atenach* wolał widzieć w tej roli synów Seta, powiadano też, że to mędrcy z Atlantydy zdradzili Egipcjanom jej tajniki. Najczęściej wszak uważa się, że astrologia narodziła się kilka tysięcy lat temu w Chaldei, skąd z czasem trafiła do Egiptu, potem do Grecji i Rzymu.

Kapłani chaldejscy z czcią i podziwem obserwowali niebo, wróżenie z gwiazd było czynnością świętą, pozwalało, jak wierzono, przeniknąć tajemnice świata i człowieka, uświadomić sobie siłę i skutki wszelkich emanacji, które docierają do Ziemi z kosmosu. Upływ wieków zdawał się potwierdzać istnienie takich zależności. Myśl tę odnaleźć można choćby w *Boskiej komedii* Dantego Alighieri (co ciekawe, poeta był wcale niezłym znawcą swego – Bliźnięta – horoskopu):

„Owe narządy świata, wszystkie społem
Działają, widzisz, ze stopni na stopnie
Przyjmują z góry, a oddają dołem”.

Dostrzegano związek między wojnami, klęskami żywiołowymi czy epidemiami a mapą nieba. Komety zapowiadać miały śmierć władców, roje meteorów – gwałtowne wichury, o czym w *Georgikach* wspomniał Wergiliusz:

„Często, kiedy wiatr groźny, gwiazd lecące sznury
Ujrzę, co przez cień nocy za sobą warkocze
Bielejących płomieni ciągną”.

Koniunkcje także, jak ta choćby, którą w jednym ze swych utworów wspomniał Geoffrey Chaucer, zwiastowały niebezpieczeństwo:

„Oto na nowiu Miesiąc bladorogi,
Saturn i Jowisz w Raku się złączyły (...)
Przyszła ulewa niezwyczajnej siły”.

Astrologia przestała być domeną kapłanów i stała się zawodem, nierzadko przynoszącym spore dochody, po założeniu w III w. p.n.e. przez Berossosa, chaldejskiego kapłana boga Marduka, szkoły na wyspie Kos. Berossos tak znakomicie interpretował pono horoskopy, iż wdzięczni klienci ufundowali mu posąg ze złotym językiem.

Cesarze rzymscy często korzystali z usług zawodowych astrologów, zwłaszcza w celach propagandowych. Oktawian August kazał bić monety z wyobrażeniem swego (Koziorożec) znaku Zodiaku. Septymiusz Sewer, który prawnie usankcjonował zawód astrologa, nadając mu tę samą rangę, którą mieli medycy i retorzy, uwiecznił konfigurację własnego horoskopu na fasadzie pałacu Septizonium. Tyberiusz natomiast zmuszał swego astrologa Trazyllusa, którego poznał, gdy przebywał na wygnaniu na wyspie Rodos, do wyszukiwania mężczyzn, których horoskopy zapowiadały królewską przyszłość, by w porę pozbyć się ewentualnych konkurentów.

Władców miał zwiastować podobno, jak w przypadku sporządzonego przez Antygona z Nicei horoskopu Hadriana, Księżyc w ascendencie. Hadrian został cesarzem zwłaszcza z tego powodu, iż „Księżc był w koniunkcji co do stopnia z ascendentem i Jowiszem”.

Neron, o czym wspomniano w *Żywotach cesarów*, zaniepokojony pojawieniem się komety – lud wieszczył zmianę władcy – postanowił, za radą astrologa Balbilla, wedle którego królowie mogli odwrócić od siebie nieszczęście, składając krwawą ofiarę ze znakomitych osób, pozbyć się Seneki i innych uczestników ujawnionych w tym czasie dwóch spisków. Z rozkazu Nerona, który czuł się całkowicie usprawiedliwiony, Seneka popełnił samobójstwo, podobny los spotkał jego siostrzeńca, poetę Lukana.

Upływ wieków nie zmieniał zainteresowania astrologią. Niemal wszyscy monarchowie albo, jak Alfons X kastylijski, sami parali się tą sztuką, albo mieli swych nadwornych astrologów, jak choćby Katarzyna Medycejska, której w tych kwestiach doradzał słynny Nostradamus. A i dostojnicy Kościoła, bywało, sprzyjali jej rozwojowi, na przykład Leon X, który na papieskim uniwersytecie w Rzymie założył katedrę astrologii.

Polscy astrologowie uchodzili w Europie za jednych z najlepszych. Samodzielną katedrę astrologii, której program nauczania obejmował cztery lata, ustanowiono w Krakowie

w połowie XV wieku, a fundusze wyłożył medyk Marcin z Żórawic. Wśród znakomitych wówczas gwiazdomistrzów, biegłych w sztuce układania kalendarzy, słynęli Piotr Gasztowiec, Jan Latosz, Herka z Kurzelowa czy Mikołaj z Szadka.

Akademik krakowski Fox był nadwornym astrologiem Zygmunta Augusta. Królowa Bona nie tylko zasięgała rad astrologów, ale i sama próbowała odgadywać przyszłość. Z czasem kult astrologii w Polsce zaczął nieco słabnąć, jej adeptów poczęto nazywać astrołgarzami, przeto Jan Tenacjusz ubolewał, iż sztuka owa „Najbardziej w naszej Polsce jest nazbyt wzgardzona i potłumiona”. Parę lat po nim w podobnym tonie pisał Jan Latosz: „Teologia i astrologia są dwie największe na świecie nauki, lecz też najwięcej przesładowań cierpią”.

Pełen polski Zodiak pojawił się w pięknym przekładzie *Fenomenów* Aratosa, dokonanym przez Jana Kochanowskiego. Pierwsze wydanie, ozdobione drzeworytem wyobrażającym mapę nieba, ukazało się w Krakowie w roku 1585:

„Zodyjakiem (...) Grekowie mianują,
Bo w nim różne zwierzęta porządkiem najdują.
W nim Rak i Lew, i Panna, w nim Waga i srogi
Niedźwiadek, po nim Strzelec i zwierz Kozorogi”.

II

„Wszystko, co stwarza przyroda i sztuka,
dokonuje się pod wpływem sił pochodzących z niebios”.
(Albert Wielki)

Znajomość astrologii była niezbędna, by nie tylko zrozumieć przyczyny zdarzeń, ale często także przeciwdziałać ich skutkom – mędrzec wszak, jak wierzano, potrafi udoskonalic oddziaływanie nieba. Astrologia wspierała rozwój medycyny, Hipokrates choćby twierdził, że medyk nieznający astrologii raczej na miano błazna niż lekarza zasługuje. Odczytywano położenie ciał niebieskich w horoskopie pacjenta, by przewidzieć czas trwania choroby, jej przebieg, skuteczność zaordynowanej kuracji. Wszelkich zabiegów należało na przykład unikać, gdy Księżyc, pan życia, ale także dawca chorób, był w pełni lub przechodził przez znak Barana albo Skorpiona. Ludwik XI wydał zarządzenie nakazujące medykom sprawdzanie położenia Księżyca. Porównywano też horoskopy chorego i lekarza, by dobrać właściwego. Człowiek, wedle poglądów astrologów, stanowił swoisty mikrokosmos, poszczególne członki jego ciała podlegać miały wpływom określonych planet. Koncept ów w żartobliwy nieco sposób wykorzystał anonimowy poeta polskiego baroku:

„Mały świat człowiek żywy; tam niebo, gdzie głowa,
Zmysły – planety, rozum Słońce, przytym słowa.
Błądzi świat, na nim człowiek; niebo się obraca,
Śmierć od wschodu na zachód dzień nocą potłacza.
Gdyby odmienna Luna niewiaśt nam nie dała.
Świat by nie stał na nogach, cóżby głowa miała?”

Bez znajomości astrologii trudno byłoby wyobrazić sobie tworzenie talizmanów czy amuletów, w których moc od najdawniejszych czasów powszechnie wierzano. Pozwalały

ich posiadaczom odmienić wynikające z horoskopu złowieszcze omeny, pozyskać przychylność gwiazd. Szacowne damy rzymskie, gdy skutkiem edyktu Tyberiusza astrologowie wygnani zostali poza granice stolicy imperium, udawały się poza miasto, by zaopatrzyć się u wygnańców w amulety i zodiakalne przepaski.

Pantakle – rodzaj talizmanów, bez których nieskuteczne były pono wszelkie czynności magiczne, wypędzanie demonów choćby – sporządzać należało w środę, pierwszej dekady Księżyca, o trzeciej nad ranem, a to tylko skromny początek skomplikowanej instrukcji. Czarownicy i magowie wykonywali dla siebie talizmany chroniące od bólu i cierpienia, na wypadek na przykład, gdyby poddano ich torturom przed trybunałem inkwizycyjnym. Były to skrawki pokrytego tajemnymi inkantacjami cieniutkiego papieru, który ukryć należało we włosach lub pod paznokciem. A talizmany dla poszukiwaczy skarbów wykonywać trzeba było, gdy Słońce znajdowało się w znaku Barana, graczom zaś sprzyjały te powstałe w czasie, gdy Słońce przechodziło przez znak Panny. Znajomość astrologii pozwalała też odpowiednio dobrać kamienie szlachetne, które, jak wszystko na Ziemi, podlegały wibracjom z Kosmosu, by wykonać talizmany dla poszczególnych znaków Zodiaku. Tycho de Brahe, znakomity astronom, parający się także astrologią, choćby w czasie pobytu w Pradze na dworze Rudolfa II, radził urodzonym w znaku Koziorożca: „Przeciwności zmiennej fortuny lżej znosić im będzie, jeśli purpurowy rubin, ciemny onyks, zielony malachit talizmanem im będą”. Szafir od zawsze był kamieniem wtajemniczonych, agat zalecano mówcom i politykom, a przed atakami złych mocy strzegł pierścieni z malachitu.

Alchemicy również musieli wykazywać się znakomitą znajomością astrologii, by zapewnić powodzenie swoim poszukiwaniom. Satyryczny portrecik adepta owej wiedzy tajemnej, filozofią hermetyczną czasem zwanej, przedstawił Ignacy Krasicki:

„(...) alchemista (...)
Zagęszcza i rozwilża, przerzedza i cedzi (...)
Wszędzie torty, retorty, banie, alembiki”.

A i na Parnas, jak twierdził Boileau, wspiąć się było nie sposób, jeśli gwiazda, pod którą się człowiek urodził „nie uczyniła go poetą”.

Obserwacja nieba przydatna była także w sprawach codziennych, ot choćby wówczas, gdy we właściwym czasie należało zacząć jakieś prace w gospodarstwie. W dziele Hezjoda *Prace i dni* odnaleźć można na przykład takie wskazówki:

„Gdy ślimak domonosiec, nim wejdą Plejady
Wpełźnie pod krzak, ty przestań kopać w winogradzie,
Lecz ostrz sierpy i wypraw na zagon czeladzie”.

Rady astrologów przydatne były nawet wówczas, gdy planowało się zakup niewolnika, źle było bowiem kupić go, gdy Księżyc przebywał w znaku Lwa, bo będzie porywczy, łakomy i przywłaszczy sobie różne rzeczy, za to Księżyc w znaku Panny gwarantował, iż ów niewolnik będzie szczery i pracowity.

III

„Wtedy gwiazdy podeszły i brzęknęły w szyby;
Panna, Wodnik, Lew, Łucznik, Bliźnięta i Ryby”.

(Konstanty Ildefons Gałczyński)

Każdy znak Zodiaku jest jednym z dwunastu odcinków ekliptyki, pozornej drogi, jaką Słońce pokonuje w swej wędrówce wokół Ziemi. Uporządkowany układ ciał niebieskich był dla twórców astrologii wzorem i gwarantem porządku na Ziemi. Myśli te często inspirowały twórców literatury, ich odbicie odnaleźć można na przykład w *Wizerunku własnym żywota człowieka poczciwego* Mikołaja Reja:

„A także też i gwiazdy, choć się widzą małe,
Ale w dziwnych możliwościach zawsze będą trwałe.
Tak, gdy której z czasem możność jej przypadnie,
Wiele swym przyrodzeniem tu na świecie władnie”.

Fascynujący wątek związany z astrologią odszukać można też w *Życiu snem* Calderona. Oto bowiem nad królewiczem Zygmuntem, bohaterem dramatu, ciąży przepowiednia, iż „z siwych włosów rodzica dla stóp swych uczyni kobierce”, a w kraju pod jego władaniem zło wszelkie plenić się będzie. Przepowiednia wynikała z horoskopu, który sporządził jego ojciec, król Bazyli, na polskim tronie zasiadający. Przerażony wyrocznią Bazyli, nieświadom, iż wyroki losu błędnie odczytał, nakazał uwięzić syna i ukryć na lata wszelką prawdę o jego istnieniu. Wysiłki króla okazały się zawodne, zbuntowane wojska uwolniły królewicza, który okazał się szlachetnym młodzieńcem, zemsty na ojcu nie szukał, a mądrość Zygmunta potwierdzała wygłoszona w końcowej scenie utworu kwestia:

„Wyroki niebios, spisane na szafirowej tablicy
Złotymi zgłoskami przez Boga, nad głową każdego dziecięcia
W modrym obłoku błękitów, nigdy nie kłamią, nie zwodzą,
Gdyż zwodzi i kłamie ten jeno, co je przeniknąć się stara”.

W literaturze pojawiały się też czasem archetypowe wzorce poszczególnych znaków zodiaku. Typowy Lew, pyszałek i chwalipięta, to oczywiście Papkin, komiczny bohater *Zemsty* Aleksandra Fredry:

„Z tego stroju i z tej broni
Marsowego znać piastuna,
Co w rycerskiej zbiegł pogoni
Od bieguna do bieguna (...).
Tam był Papkin – lew zuchwały!
Strzelec boski! rębacz diabli!”

„Podopiecznego” planety Merkury, urodzonego w znaku Bliźniąt ekstrawertyka, lubiącego popisywać się swą często mocno powierzchowną wiedzą, odnajdziemy na kartach poematu Aleksandra Puszkina – (Bliźnięta, znał więc doskonale wszelkie słabości swego znaku) – *Eugeniusz Oniegin*:

„Oniegin dar szczęśliwy miał,
Potrafił lekko i swobodnie
Na każdy temat słówko rzec,
A każdą poważniejszą rzecz
Przemilczeć, z miną znawcy, godnie
Lub ogniem błyskotliwych zdań
Wywołać uśmiech pięknych pań”.

Typową Panną (a to wedle astrologów najbardziej skomplikowany znak Zodiaku) był bez wątpienia Julian Tuwim. Obdarzony świetną pamięcią, szperacz z zapalem gromadzący ciekawostki z najrozmaitszych dziedzin wiedzy, nadwrażliwiec prześladowany przez rozliczne fobie, elegant, nieznoszący wszystkiego, co zakłócało ustalony porządek dnia. Pełen krytycyzmu i wobec siebie, i wobec innych, obdarzony ciętym humorem, czego dowodem wiersz *Do jednej*:

„Piotr miał cię za swą dziką żądzę,
Jan za to, że jest piękny ciałem,
Alojzy miał cię za pieniądze,
Ja – zawsze ciebie za k...ę miałem”.

Astrologia, jeśli nawet wydawać się może jedną z najbardziej kontrowersyjnych dziedzin wiedzy, pozwala niewątpliwie poznać własny charakter, ocenić swoje predyspozycje, ale także zrozumieć reakcje innych ludzi. Warto może więc czasem za Puszkinem zapytać:

„Pod jakim gwiazdozbiorem,
Pod jaką planetą
Tyś się urodził (...)
Merkuriusza bliskiego,
Saturna dalekiego,
Pod Marsem czy Wenerą?”



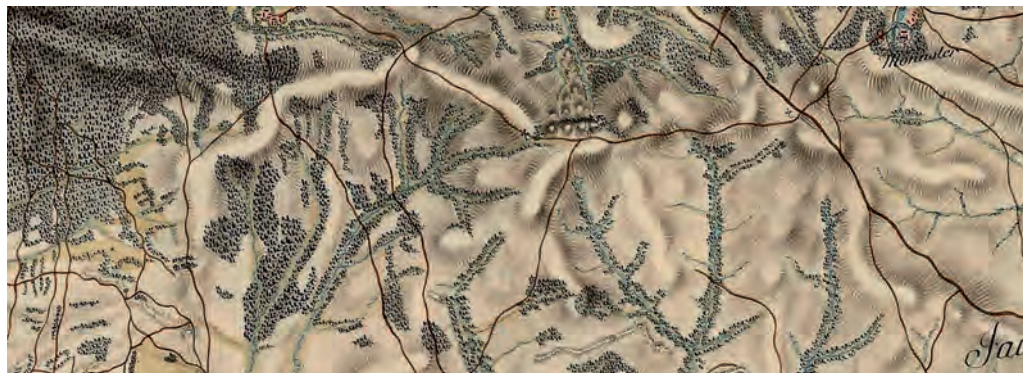
Literatura

Aveni A., *Rozmowy z planetami. W jaki sposób nauka i mitologia wymyśliły kosmos*, tłum. R. Bartoń, Wydawnictwo Zys i Spółka, Poznań 2000.

Weres L., *Homo-Zodiacus*, Wydawnictwo Cinpo International, Poznań 1991.

Jarosław Kapsa

ROZLANE MLEKO



I

Naród jak lawa... Lecz gdy spod stężalej skorupy wylewać się zaczynają rozpalone potoki, moc ich bywa obmierzła; miejsce potulnych, lojalnych kmiotków zajmują pijane wściekłością tabuny szelowszczyzny. Zawrzało na Galicji latem 1898 r., zakipiało gniewem, błysnęło płomieniem niszczonych domów. Pisał z niepokojem warszawski „Przegląd Tygodniowy”:

„Coś groźnego wisi w powietrzu. Lwów i Przemyśl – to miasta, gdzie na tle niedostatków ekonomicznych wybuchają chwilowo masowe rozruchy ludowe o charakterze rewolucyjnym. Wkrótce potem Jarosław jest widownią już poważniejszych, bo przeciw władzom (autonomicznym) powstałych tumultów. Ale zawsze są to tylko jeszcze wypadki sporadyczne, których przyczyny są nagle powstałe, nieprzygotowane, żadną ręką niekierowane; skutki także gasną zaraz po chwilowym, choć silnym wybuchu. Lecz nagle zaczyna się dzieć coś innego, coś dziwnego. Jakby na daną komendę, stale, systematycznie, znakomicie inscenizowane przez jakąś wprawną rękę, kolejno w powiatach zachodniej Galicji, od Kalwarii począwszy aż po granice rusińskich ziem, widnokrąg rozwidnia się łuną palących się karczmem i fabryk żydowskich, z rąk do rąk przelatuje tysiące drukowanych, krótkich treści, ale dosadnych stylem kartek: «rozporządzenie z urzędu: bijcie żydów», a bandy pijanych, nikomu nieznanych indywiduów przebiegają kraj, roznosząc zniszczenie i płomień w siedziby żydowskie. Władze występują bardzo energicznie, zawsze jednak po niewczasie. W okolicach Podgórze, Kalwarii, Żywca, w Toastem, Zagórzach, w Jasielskim, Pilźnieńskim, Gorlickim i we Frysztaku – zwrócono się przeciw żydom, jak dotychczas, bez krwi rozlewu, poprzestając na niszczeniu i paleniu dobytku. Ofiar z życia ludzkiego jest już sporo i te ze strony chrześcijańskiej, gdyż władze reprezentowane przez żandarmerię z broni robią użytek natychmiastowy”¹.

„Kurier Lwowski” uzupełniał wiedzę o przyczynach:

„Obecnie jest kraj znowu widownią zająć, które bardzo smutne a poważne mają znaczenie, mówię o trwających blisko od miesiąca rozruchach antysemitycznych. Zaburzenia, skierowane przeciw żydom, zdarzają się od pewnego czasu w kraju dość często. Przed rokiem przybrały one groźniejsze rozmiary w Chodorowie i Schodnicy, gdzie najemnicy przy budowie kolei, tzw. «baraby», plądrowali mienie żydowskie, przy czym nie obeszło się bez rozlewu krwi z oba stron. Fakty te nikomu jednak ze sfer «miarodajnych» nie dały do myślenia; żydzi wstawili nowe szyby, pochowali zmarłego skutkiem pobicia starca, ekscedenci powędrowali na szereg lat do więzienia i – sprawa załatwiona. Że na dnie tych wypadków leży ferment silniejszy, który się w więzieniu zamknąć nie da, który wymaga powolnego, racjonalnego przeciwdziałania, przez rozwiązanie pewnych problemów kulturalnych i ekonomicznych – to naszych ojców narodu nie obchodziło. W rodzinach biednych i zacofanych wołają lekarza, gdy chory leży już w agonii; społecznie w Galicyi jest lekarzem tym jedynie – żandarm. Przyczyny wewnętrzne działały tymczasem bezustannie. Z jednej strony rośnie z dniem każdym nędza galicyjska tak u chłopstwa i robotników, jak i u żydów, sprowadzając walkę o byt w formach coraz rozpaczliwszych, rozgorzczenie wzajemne coraz silniejsze; z drugiej strony wzmacnia się w kraju ruch antysemityczny, ze wszystkimi znamionami bezsumiennej demagogii. Ruch ten przybrał formy stałej organizacji, o widomych organach z chwilą, gdy do parlamentu wszedł ks. Stojałowski, oparty o znany dziennik krakowski «Głos Narodu». Zbankrutowawszy na hasłach walki przeciw rządowi, przeciw nadużyciom kleru, przeciw sobkowskiemu stańczykowstwu, sprzedawszy się duszą i ciałem wszystkim «wrogom ludu», których niedawno najnamiętniej zwalczał, Stojałowski potrzebował nowego hasła, działającego fanatycznie na ciemne tłumy i znalazł je w antysemityzmie. Sam więc, tudzież przez kolegów klubowych: ks. Szpondra, dr-a Daniela, Szajera, itd., objeżdża zachodnie powiaty, a w braku pozytywnego programu działania, rzuca łaknącym starą ofiarę – żydów. Grunt po temu jest wszędzie przygotowany należycie, dzięki galicyjskiej polityce szkolnej, ogłupiającej umysły wprost systematycznie; w tym roku jest grunt przygotowany specjalnie przez drożyznę, wywołującą w wielu miejscowościach widmo głodu. Wszystkie te przyczyny, razem wzięte, złożyły się na bolesne fakty, które kronika galicyjska obecnie notuje i które wroga nam prasa niemiecka wyzyskuje oczywiście, by ukuć jeszcze jedną broń przeciw krajowi. Rozruchy antysemityczne rozpoczęły się na większą skalę w marcu r. b. Wybuchły d. 11 marca w Wieliczce, powtórzyły się tamże d. 3 kwietnia i miały echa w całym powiecie. Wieliczka jest rezydencją pierwszego adjutanta Stojałowskiego, ks. Szpondra; hasło do rozruchów dała wówczas pogłoska, że żydzi tego posła zamordowali. W związku z temi zajściami stała wydana w Krakowie broszura ks. Mateusza Jeża, katechety przy gimnazjum św. Anny, pt. «Tajemnice żydowskie», którą władza następnie skonfiskowała²².

Głos w tej sprawie zajął także konserwatywny autorytet Stanisław Tarnowski:

„Ktokolwiek są ci agitatorowie, ci przyjaciele ludu, którzy do rozruchów podzegli, czy radykaliści własni polscy, czy przez obcych nasadzeni, zawsze oni postawili na swoim: nienawiść społeczną w narodzie i kraju polskim podnieśli do wyższej potęgi i utrwalili znowu na pewien przeciąg czasu. (...) Kiedy przez całe lata kilkanaście pisemek powtarza człowiekowi ubogiemu, że większy majątek drugiego jest jego krzywdą, (...) nie ma nic innego tylko podzegania uboższego przeciw bogatszemu, z nieuniknioną przyprawą kłamstw, oszczerstw, potwarzy, fałszów wszelkiego rodzaju, nie może być inaczej tylko taki zasiew swój plon wydać musi (...) Sławny antysemityzm przyczynił się także do galicyjskich zaburzeń (...) wystąpiła plemienna nienawiść Żyda, jego pochodzenia, jego krwi. Nie godziwa, nie chrześcijańska, i niezgodna z cywilizacją, rozeszła się po całej Europie, jak zaraza. Doszła i do nas, i znalazła grunt bardzo dla siebie przydatny w pieniężnej zależności chłopu od Żyda. Znalazła też swoich wyzyskiwaczy, swoich spekulantów. Karierowicze różnego rodzaju w państwie austriackim dostrzegli sprytnie, że to konik, na którym gdzieś dojechać można. Wsiadli na niego i pojechali. (...) Katolik pozorny, z interesu, dla gescheftu, dmie w wielką trąbę swojej chrześcijańskiej żarliwości, podszczuwa przeciw Żydom, rozżarza nienawiść do Żydów i... staje się popularnym! Rozbite szyby i sprzęty żydowskie, i przelana krew chrześcijańska, spadają także i w znacznej części na ten antysemityzm, na jego wpływ, i na jego organa”³.

Wtórował mu inny konserwatysta:

„(...) to, co się teraz w kraju dzieje, jest smutne, bardzo smutne. Nie to, że kilkadziesiąt szynków i karczem zniszczono, ale to, że setki chłopów zalegają więzienia, a dziesiątki padły od kul karabinowych systemu Manlichera, że w 32 powiatach zawieszono w części prawa konstytucyjne, a w dwóch fungują sądy doraźne, a zwłaszcza to, że znaczna część ludu dała się porwać do zbrodniczych zamachów. (...) Szukajmyż więc winowajców. Nie jest nim lud włościański, ani nawet warstwa robotnicza w ogólności, gdy w liczbie kilkunastu ofiar «nieszporów frysztańskich» znaczną większość stanowią porządni, spokojni gospodarze, a wyrostki i pijani wyrobnicy, którzy rozbijali szynki i szynkwasy, demolowali karczmy, rabowali pierzyny i ruchomości, zaledwie do ludu liczyć się mogą, a w każdym razie są tylko jego wyrzutkami. Nie są winni ani żandarmi, ani wojsko. Gdy się w Fryszaku żandarmi w liczbie pięciu znaleźli wobec niezliczonego tłumu, który się pomimo wezwań nie rozchodził, gdy wśród niego groźne odzywały się hasła, a nawet zabłysła kosa i jednego z nich zraniła, żandarmi spełniając swój obowiązek służbowy, ratując zagrożone życie, dali salwę, wskutek której padli winni i niewinni. (...) Na pewne winni są bezpośredni sprawcy rozruchów, ci, którzy własnoręcznie rozbijali sklepy i szynki i podpalali karczmy, ale tych ramię sprawiedliwości dosięgnie i ukarze. Cięższy grzech obarcza tych moralnych,

a raczej niemoralnych sprawców, którzy skrycie kierowali ruchem i są poszukiwani gorliwie, acz dotąd bezskutecznie przez władze publicznego bezpieczeństwa⁷⁴.

Lawa się wylewała:

„Od Żmigrodu i Biecza ciągnęły ku Gorlicom bandy chłopów i robotników, zostawiając po gościńcach ślady strasznego zniszczenia. Ofiarą tłumów wzburzonych padły wszystkie karczmy żydowskie po drogach; zostały z nich tylko ruiny; gdzie niegdzie zburzono je doszczętnie, zrównano niemal z ziemią, jak na drogach między Libuszą, Dominikowicami i Krygiem, w Symbarku, w Ropie, a jeszcze gorzej w Zagórze. W Kopiczy polskiej zdemolowano duży szynk. Pod samymi Gorlicami w Sokole karczmę żydowską puszczono z dymem. We wszystkich karczmach zniszczonych – jak ze wszystkich stron nadchodzą wieści – tłum wypija co się da, na co natrafi: wódka, piwo, rum znika w mgnieniu oka z beczek. Podobno wszakże mało gdzie zrabowano mienie karczmarzy. (...) Tumultanci przestrzegają, jak się zdaje, tego «byłe nie zabijać». Z ust do ust bowiem idzie naokół wśród chłopów wieść o «dyspensie» na rozwalanie karczem, wydanej, według jednych, przez cesarza, według innych, przez Papieża. Dziwaczne te pogłoski szerzą się w sposób niezwykle szybki ogarniając coraz szerzej całe okolice. Ale w każdej wsi szczegóły pogłoski zmieniają się, z każdym dniem stają się potworniejsze, tak jak i opowiadania przesadne w jednych wsiach o wypadkach w sąsiedztwie. Najuporczywiej utrzymuje się przekonanie wśród chłopów tujejszych, że «dyspens» na rozwalanie karczem wydano im na dwa tygodnie, w niektórych zaś wsiach upierają się przy tem, że wolno «pohulać do świętego Jana». Władze robią, co mogą, dla zapobieżenia złemu. Zda się, że dobrze postąpiło starostwo, zakazawszy w oktawę Bożego Ciała odbycia procesji po mieście. Wszelkie bowiem tłumne zgromadzenia na ulicach nie są dziś pożądane. Z trzech kompanij wojska, które sprowadzono z Tarnowa, większa część została wysłana do okolicznych wsi, skąd doszły wieści o zaburzeniach. Niestety jednak, wszędzie, gdzie wojsko przybywa na wieś, jest już po wszystkim. Banda chłopska przeszła z krzykiem: «bić żydów!», karczmy zniszczyła lub podpaliła, jak i szynk żydowski i poszła dalej w tym samym celu tam, gdzie wojska jeszcze nie ma, a dokąd ono przyjdzie znowu po wszystkim. W rozruchach bierze udział, oprócz ludu rolniczego, gospodarzy i parobków, także wielu robotników wiejskich i jakiś nieznanymi, napływowymi⁷⁵.

II

Witos, sam chłop z chłopów galicyjskich, bez ogródek pisał o charakterze mieszkańców wsi:

„Uległym i pokornym robiły chłopa fatalne stosunki ekonomiczne. (...) Masa, jaką stanowił i z której mógł wielką siłę obronną utworzyć, nie tylko, że mu się pomagała, ale była dla niego najczęściej przeszkodą. Czuł

i widział, że takich samych, wydziedziczonych jak on, i równie bezradnych, jest za dużo. Czuł się słabym sam, ale czuł się także słabym i w gromadzie. (...) Przerazał go żandarm, wójt, urzędnik. Czuł wieczny lęk przed leśnym, karbownikiem, polowym, nie śmiał oczu podnieść na księdza, nauczyciela, leśniczego, ekonoma. (...) Odpowiedź na pytanie, czy był on tchórzem z natury, czy takim uczyniły go stosunki, byłaby dość trudna, gdyż można było obserwować nieraz nawet bezczelną odwagę u chłopów. Okazywali ją jednak zwykle wobec swoich sąsiadów albo też pod wpływem alkoholu (...). Nie starano się sięgać poza najbliższe otoczenie, a rzadko bardzo wybiegała myśl poza granice swojej wsi i gminy. Wyjątek stanowiły bardzo częste bajki o wojnie, wielkich występach cesarza, gromiącego niesprawiedliwych sędziów i urzędników. (...) Chłopi mieli też swoją filozofię. Cały świat, ze wszystkim, co się na nim znajduje, dzielono na dwie części; na królestwo dobrego i złego. W królestwie dobrego rządził Pan Bóg, w królestwie złego rozpierał się niepodzielnie szatan. (...) Poza tym wiecznym strachem przed wszystkim i wszystkimi, stosunki uczyniły chłopą podejrzliwym, nieufnym i niewiernym. Nie wierzył nikomu, bo został prawie przez każdego oszukany, podejrzewał wszystkich, że czyhają na niego, bo miał do tego dosyć powodów”⁶.

Nieufność wobec świata kazała prawdziwe życie wewnętrzne chować w granicach zagrody czy wsi. Milcząca pokora maskowała czasem zawziętą mściwość za krzywdy faktyczne czy urojone. Nie było czymś dziwnym, że przyłapany w lesie kłusownik odpłacał po latach za otrzymane cięgi leśniczemu napadając na niego skrycie. Alkohol wyzwalał emocje, prawie każdej zabawie towarzyszyła bójka. Bohaterami wsi bywali awanturnicy potrafiący gołymi rękami pokonać i pogonić większą gromadkę. Gdy im siły nie stało, w ruch szły noże, siekiery, kosy... Doznana krzywda wymagała pomsty, czasem lokalna wendeta ciągnąca się przez kilka pokoleń dzieliła społeczność lub prowadziła do zadawnionej nienawiści, do sąsiedniej wsi: „Jeszcze w kołysce straszyla go matka dziadem, Żydem, kominiarzem, Cyganem. Ze strachem wstawał, z nim chodził przez cały dzień, z nim kładł się do snu, a i w czasie snu z nim się nie rozstawał”⁷. Wszelkie subiektywnie odbierane przykłady „oszustw” czy nadużyć pogłębiały nieufność wobec stron „obcych”, uczestniczących w życiu gospodarczym wsi, a więc przede wszystkim wobec ludności żydowskiej i wobec dworu. Ponieważ nie wierzono wszystkim, uznawano, że istnieje zmowa Żydów z dworem i urzędem, nakierowana na chłopską krzywdę.

Życie odbiega zazwyczaj od prostych schematów, więc powyższa zasada miała więcej dziur niż szwajcarski ser. Żyd ogólnie był wrogiem, „obcym”, ale w praktyce każda wiejska społeczność miała swoich „zaprzyjaźnionych Żydów”. Witos w swoich wspomnieniach tłumaczył to swoistą religijnością chłopów; postrzegano ich jako postacie ze Starego Testamentu:

„Litowali się ludzie nad nimi z powodu znęcania się Faraonów, nie mogli im znowu darować zachowania wobec Mojżesza, a nawet samego Boga. (...) Rozważając głębiej to zagadnienie, nie można obronić się wrażeniu, że względnie przyjazny, a często niewolniczy stosunek chłopów do Żydów miał swoje źródło w nauce kościoła i postępowaniu niektórych księży i dworów, bo w gruncie rzeczy chłopci Żydów nienawidzili, a nawet

nimi gardzili. Znamienным było, że nieraz kobiety wiejskie ujmowały się za Żydami zaznaczając, że Żyd ma taką samą duszę, a jakby nie było Żydów, to nie byłoby i nas. Nie byłoby też Matki Boskiej, Pana Jezusa, ani odkupienia świata”⁸.

Był kościół, była karczma. Nie chodzić do kościoła, to jakby nie istnieć. Witos, bijąc się w piersi, musiał zaklinać się, że jest gorliwym katolikiem, że niedzielnej mszy i piętkowego postu nigdy nie naruszył. Ale już ksiądz proboszcz był obcym, był człowiekiem, z którym z trudem się oswajano, patrzono podejrzliwie, czy nie jest pazerny. Kapłan był autorytetem, gdy od ołtarza głosił słowo Boże; ale na plebani stawał się „surdutowcem”, z którym zażarcie targowano się o opłaty za chrzest czy pokropek grobu. Tylko niektórzy z proboszczów stawali się prawdziwymi liderami wspólnoty, tylko niektórym wierzono we wszystkim. Karczmy, tak jak kościoła, też nie dało się uniknąć. To było centrum życia społecznego i kulturalnego. Tu wójt sprawował swoje sądy, tu ustalano podział podatku na gospodarstwa, tu zawierano kontrakty handlowe i zrękowiny dzieci, pito z żalu po bliskich i tańczono z okazji chrztu pociech. Karczmarz był swoim „obcym”, jak ksiądz raz w roku objeżdżał swoich „wiernych”, częstował wódką na pomyślność roku. Witaił po imieniu każdego przybyłego ze wsi do karczmy chłop, wiedział, że gospodarzowi trzeba postawić kieliszek pieprzówki, jego żonie słodki wiśniak, a parobkom zwykłą okowitę; hierarchia bowiem musi być, porządek świata na niej się opiera. Chodził więc do karczmarza gospodarz, by wysłuchać poważnych wieści o świecie, zyskać cenne informacje rynkowe, wyzalić się na urzędników i wójta, skorzystać z cennej rady człowieka bywałego i mądrego; bo wszak Żyd jest mądry człowiek i potrafi czasem mądrością się podzielić. Gospodarz toczył poważną rozmowę przy szynkwasie, gospodyni od tyłu zachodziła do karczmarki, bo ta specjalnie dla niej, okazjnie, miała chustkę barwioną lub koraliki i gotowa je była wymienić za jajka i mleko. Dzieci też od tyłu wbiegały, wymieniając podkradzione jajko, zebrane grzyby czy jagody, na cudownie słodkie ciagutki i kolorowe landryny. Zimą przy piecu warowali parobkowie, rozgrzewając się okowitą; czekali na panny, by tańcem krzesać iskry z podłogi.

Ten sielankowy opis karczmy i stosunków między Żydem-karczmarzem a chłopską wspólnotą należał bardziej do świata postulowanego, niż realnego. Pijaństwo rodziło przemoc, ta często obracała się przeciw pogardzanemu Żydowi. Inne też były stosunki między wsią a „obcym swoim” – miejscowym arendarzem – i „obcym dalekim”. Nieufność, rodząca się z niej niechęć, dotyczyła wszystkim „obcych”: Niemców, Polaków (szlachty i innych surdutowców), Rusinów; chłopci „dolinacy” z pogardą traktowali „górali”, mieszkańcy Szczurowej nie znosili „kulonów” z Uścia... W izolacji od chłopskiego morza istniały sztetle, takie jak Frysztak, zamieszkałe przez ortodoksyjnych Żydów. Spotkanie wymuszało przymus ekonomiczny. Przybywał chłop na jarmark, czuł się osaczony przez „obcych” handlowców, widział w nich nastawionych na jego krzywdę wydrwigroszy. Tacy też bywali, ale nieufność połączona z naiwnością tworzyła dziwny splot pojęciowy. Chłop nie rozumiał handlu, wszelki zarobek na pośrednictwie w sprzedaży uważał za krzywdzący go proceder. Tym samym od dziecka ugruntowane były w nim przekonania, że „wszystkie Żydy to pijawki”; choć „swoi Żyd” mógł być porządnym człowiekiem.

To przekonanie wzmacniało się, gdy słuchało się księdza. Miarodajnym dla oficjalnej opinii duchowieństwa galicyjskiego w sprawie żydowskiej był głos jezuita ks. Mariana Morawskiego:

„Żyd nie tylko ciągnie zyski z istniejących instynktów niemoralnych, ale wprost demoralizuje społeczność, aby zmniejszyć jej odporność, i złe instynkta podnieca, aby z nich kiedyś zyski ciągnąć. Zagroda Żyda na wsi jest jakoby z prawa siedliskiem, z którego zachęta do pijaństwa i nauka kradzieży promieniają dokoła, aż na niewinne dzieci. W mieście oprócz tego spekulacja rozpustą wszelkiego rodzaju, pornografia, handel ludzkim towarem, nie tylko lokalny, ale i eksportowy na Wschód i na Zachód, znajdują się faktycznie niemal wyłącznie w rękach tych ludzi”.

„Określiśmy znamiona Żyda i jego stanowisko względem chrześcijańskiego społeczeństwa, w zakresie religijnym, moralnym i ekonomicznym, stawiamy sobie w końcu pytanie: jak chrześcijańskie społeczeństwo względem Żyda zachować się powinno. Najprzód przypomina się z historii system gwałtownych represyj. (...) Gwałty te ostatecznie chybiały celu, wychodziły nawet zwykle na korzyść Żydów: bo w społeczeństwie ludzkim zawsze przyjść musi chwila, w której prawo reaguje przeciw gwałtowi – albo społeczeństwo istnieć przestaje; a w wyżej ustrojonych społeczeństwach reakcja ta musi być prędszą. Lecz i niezależnie od tych względów praktycznych, zbrodnia jest zawsze zbrodnią, większym złem dla społeczeństwa niż wszelkie materialne szkody. Nadużycia Żydów mogą powody takich zbrodni psychologicznie wytłumaczyć, nigdy ich uniewinnić moralnie nie mogą. Każdy chrześcijanin i każde chrześcijańskie społeczeństwo powinno takie czyny sercem i usty potępiać bezwzględnie i bez zastrzeżeń. I gdyby, co nie daj Boże! u nas coś podobnego się zdarzyło, nic lepszego nie mielibyśmy do czynienia, jak wyjść na ulicę i, z narażeniem własnego życia, bronić Żydów od krzywdy – a nasz lud od zbrodni. Jeżeli zaś nie godzi się gwałtów przeciw Żydom się dopuszczać, to konsekwentnie też nie godzi się judzić, „hecować” przeciw nim ludności – to znaczy: działać słowem czy pismem na namiętności ludu, pobudzając go do gniewu, zawiści, zemsty przeciw Żydom. Dlaczego się nie godzi? bo «hecowanie» prowadzi do gwałtów, i sama nawet nienawiść jest niechrześcijańska”.

„Asymilacja, absorbcyja Żydów (bez chrztu, rozumie się) jest mrzonką; nigdy i nigdzie się nie udała. Trzeba mieć bardzo naiwną wiarę w wszechmoc szkoły, aby wierzyć, że przepędzane przez jej wrota pokolenia przestaną być Żydami”.

„Cóż więc zostaje do zrobienia względem Żydów, kiedy odpychamy antysemityzm, który przeciw Żydom judzi, i odpychamy filosemityzm, który ich przyciąga? Zostaje jeszcze samoobrona społeczna przeciwko zgubnym wpływom elementu żydowskiego, którą bym nazwał asemityzmem. Tak ją nazywam, bo ta samoobrona nie mieści w sobie nic zaczepnego; zależy ona na tem, żeby społeczeństwo chrześcijańskie, przekonawszy się o zwykłej zgubności wpływu semickiego, zamykało się, zawarowywało przeciwko temu wpływowi, o ile być może poza tym wpływem żyło i rozwijało się”.

„Każdy, sądę, i najsumienniejszy chrześcijanin za dobre uznaje zakładając gospody chrześcijańskie dla rugowania żydowskich karczem, majątki wydzierzawiać o ile możności chrześcijanom, a nie Żydom, handel chrześcijański szczególnie popierać...”

„Lecz na tem nie poprzestając, powinniśmy trzymać Żyda z daleka od rodzinnego ogniska, do którego tylko zaufani i moralnie godni przyjaciele winni mieć przystęp. Zamykać dalej przed tym żywiołem, o ile w naszej mocy, majątki zwłaszcza ziemskie, które tak szerokie jego złym wpływom otwierają pole. Zamykać nawet w pewnej mierze towarzyskie stosunki – kawiarnie, ogrody publiczne, teatry są dla wszystkich – ale związki towarzyskie, zrobione z wyborem dla wspólnego pożytku, dla zabawy, jak rozmaite kluby, różne stowarzyszenia młodzieży, mogą doskonale postawić sobie warunek, że wyłącznie chrześcijan do swych gron przyjmują. Gdy potrzeba może wyliczać moralne straty, na jakie zwłaszcza młodzież przez poufałe pożytki z Żydami bywa narażana?”

Innymi słowy: antysemityzm w formie pogromów – nie; bojkot odbierający Żydom prawa do normalnego życia – tak.

III

Oficjalne stanowisko Kościoła nie było już w końcu XIX w. wyrocznią dla chłopskich mas. Trwał burzliwy proces emancypacji, dopuszczenia warstwy chłopskiej do głosu w ramach rozszerzającej się demokratyzacji. Nigdy i nigdzie jednak analfabeta nie staje się odpowiedzialnym obywatelem; demokratyzacja w krainie ciemnoty staje się łowiskiem dla populistów, dla przedsiębiorców eksploatujących nieprzebrane zasoby ludzkiej głupoty.

„Ruch ludowy zaskoczył partię zachowawczą zupełnie nie przygotowaną. Z samego zaraz początku nie było świadomości, jak ten ruch opanować i w jaki sposób na dobro kraju go pokierować. Przeważało uczucie jakiegoś niebezpieczeństwa, przed którym należy się bronić. Sądono, że namiętny udział ludu w życiu politycznym jest objawem sztucznym, wywołanym agitacją, a nie ruchem żywiołowym, który przy równych prawach politycznych wcześniej czy później musiał wybuchnąć, a którego źródłem było coraz gorsze położenie ekonomiczne i rozszerzony zakres codziennych potrzeb. Nie zdawano sobie sprawy, w jaki sposób ten chłop, dotychczas potulny i w swych słowach skąpy, przyszedł do poznania i wygłaszania własnych postulatów; nie wierzono, żeby to były jego myśli i jego uczucia, a widząc coraz gwałtowniejsze wybuchy namiętności, obawiano się, by ta rwąca fala nie poprzerywała wszelkich tam i wałów społecznych, i nie rozlała się po całym kraju, grożąc zniszczeniem. (...) Pozbawiony trzeźwiącej rady i rzetelnej opieki rzucił się w objęcia tych, którzy mu obiecywali raj na ziemi. (...) Datków z łaski chłop nasz ani nie ceni, ani nie pamięta, a w akcji politycznej i jedynie politycznej, nikt stronnictwom radykalnym nie dorówna i dorównać nie może, bo nikt nie posiada takiego arsenału środków agitacji. Kłamać, podchlebiać, roznamiętniać, budzić fałszywe apetyty – nie każdy chce i nie każdy potrafi, zwłaszcza gdy idzie nie o chwilowy sukces wyborczy lub polityczny, lecz o ekonomiczne i cywilizacyjne podniesienie ludu o uczciwe zyskanie w nim stałej, spokojnej i trwałej podstawy”¹⁰ –

– przestrzegał krakowski konserwatysta. O atmosferze tej demokratyzacji, o wyborach do austriackiej Rady Państwa w 1897 r., opowiadał Daszyński:

„Wybory te prowadził sam Badeni; można więc wyobrazić sobie, jak one, zwłaszcza w Galicji, wypadły: 8 trupów, 29 ciężko rannych, tysiące aresztowanych – oto była «robota» polityczna Badeniego w samej tylko Galicji. Z wyborów tych wyszło dwóch socjalistów polskich (tow. Jan Kozakiewicz i ja) oraz jeden rusiński, dr Jarosiewicz. Kandydat nasz w Tarnowskiem, tow. Franciszek Sułczewski, wybrał się na wieś z jednym inteligentem, obładowany broszurami. Trafili na wpływy przeciwne, zostali poturbowani i wtrąceni w końcu do ogromnej gnojówki, gdzie stali, mając swoich prześladowców dokoła na brzegu... Ale chłopci, zobaczywszy broszurki u socjalistów, zaczęli o nie prosić. I tak po pas w gnojówce, rozdzielali nasi broszury tym, co ich tam wrzucili. Interesującą rzeczą będzie stwierdzenie, że konserwatyści rozpoczęli zaraz po wyborach w r. 1897 kampanię antysemicką z tą świadomością, że na «trutkę» socjalistyczną wynaleźli «odtrutkę» antysemityzmu. Wprawdzie dotąd cała ich siła w miastach polegała na «kabałach» (po kilku też latach na wniosek hr. Antoniego Wodzickiego do nich powrócili!), ale ów antysemityzm oddał przeciw nam ogromne usługi. Oczywiście nie w rękach niedołężnych konserwatystów, ale – po latach – w rękę spryciarzy, którzy zrozumieli, że w nienawiść do Żydów można włożyć surogat socjalny, to, co nazywano wówczas «socjalizmem głupców». Na tym antysemityzmie próbowali rósć endecy, a po nich «chrześcijańsko-socjalni»¹¹.

Ten „socjalizm głupców” stał się orężem najpopularniejszego wśród chłopów polityka, księdza Stanisława Stojałowskiego.

„Szeroko imię to rozbrzmiało wśród społeczeństwa polskiego. Powtarza je cała Słowiańszczyzna zachodnia, powtarzają i Węgry, a nie obojętnym jest nikomu. Krok w krok za niem idzie burza namiętności i sprzecznych uczuć – ubóstwienie i wzgarda, zuchwałe nadzieje i krwawe zawody, a także wielkie, wielkie żale – do niego i o niego... do innych. (...) Wykolejony ze zwykłych warunków życia duchowieństwa galicyjskiego, rzuca się tem zapamiętałej w wir polityki, podniecany nieustannie wszelkiego rodzaju przeciwnościami legalnemi i nielegalnemi, a także i coraz częściej zagładającą w oczy nędzą materialną. Dążąc wszelkimi i siłami do utrzymania i wzmoczenia wpływu swego wśród ludu, ks. Stojałowski staje się stopniowo coraz mniej wybrednym w środkach, działając jednocześnie na dobre i złe strony chłopskiej natury. Znając tak jak nikt może tajniki tej natury, nie przestaje on między innymi ani na chwilę poruszać uczuć religijnych, wie bowiem doskonale, że największą jego siłę stanowi urok kapłana ewangelicznego, obrońcy biednych i upośledzonych. To też agitacja społeczno-polityczna idzie ręką w rękę z agitacją dewocyjną: pielgrzymka do Ziemi świętej, lampy jerozolimskie są tak samo na porządku dziennym, jak lasy i pastwiska. W bezpośrednim związku z pielgrzymką i lampami znajdowały się głośnie procesy sądowe, które miały go dobić w oczach ludu, w istocie jednak zjednały mu pożądaną sławę niesłusznie prześladowanej ofiary. (...) W przeciągu lat siedmiu rozmaite «schowania» czasowe, z kajdanami i bez kajdan, wyniosły razem dwa lata więzienia. Cały prawie rok 1895-ty scho-

dzi w zamknięciu; siedem miesięcy kary tej przypada za obrazę wielkich kapitalistów szląskich. W marcu 1896 roku, bezpośrednio przed programowym wiecem krakowskim, ks. Stojałowski dostaje się znowu do więzienia. Im bezwzględniejszym było postępowanie władz świeckich i duchownych, dążących równorzędnie do obezwładnienia niezwykłego księdza, tem namiętniejszym stawał się opór jego, tem gwałtowniejszymi staraniami urzeczywistnienia swego programu, tem krnąbrniejszym zachowanie się jego i tem jaskrawszymi wybuchy nienawiści osobistej względem hr. Badeniego i biskupów galicyjskich. Odpowiedzią na to była najprzód suspensa od spełniania obowiązków kapłańskich, a następnie kłątwa, spadająca na głowę opornego jako wyrok śmierci moralnej. (...) «Ja się tam kłatwy takiej nie boję» – pisze jeden z chłopskich korespondentów «Wienca», nie dostawszy rozgrzeszenia za czytanie «gazetek» – «i śmiało z nią umrę». Drugi, na widok paru słów, skreślonych ręką «wodza i wybawcy ludu uciśnionego», nie może przyjść do siebie «od wielkiego żalu i rozczulenia», «serce mu się ścisło», «w oczach robi się ciemno», wreszcie gorące łzy sprawiają mu ulgę. Cytujemy tu umyślnie te całkiem autentyczne słowa, charakteryzujące stosunek osobisty licznych jednostek włościańskich do «księdza Redaktora». (...) Otóż dosyć jest w ciągu krótkiej nawet chwili widzieć i słyszeć ks. Stojałowskiego, aby się przekonać naocznie, że się ma przed sobą niezwykle wybitną inteligencję i prawdziwie imponujący temperament. Zasadniczymi rysami inteligencji tej są: nieporównana bystrość orjentowania się, błyskawiczne obejmowanie tak całości, jako też i szczegółów sytuacji, znakomita znajomość natury ludzkiej, wreszcie zdumiewająca łatwość słowa. Na przemian to ogniste, to dowcipne, to dosadne, a nawet ordynarne, przychodzi ono zawsze gotowe na zawołanie, akurat w samą porę. Nie przebrane zapasy humoru trzymają różnolite elementy audytorjum mówcy w nieustannem podbudzeniu i życzliwej ciekawości. Szerokie rozcięcie ust, jakby nawykłych do śmiechu, przypomina o tym humorze wtedy nawet, kiedy reszta fizjognomji – żółtej, wydłużonej i kościstej – każe całkowicie o nim zapominać¹².

Z księdzem-buntownikiem poznał się w więziennej celi Daszyński:

„Wówczas siedział tam także i ks. Stojałowski, otoczony wciąż strażników więziennych. Oni to zaprowadzili mnie do księdza. Wyściskał mnie, wyciąłował, poczęstował doskonałym koniakiem i zaczął opowiadać «wycinki» ze swego bogatego już w przygody życia politycznego. Silnie zbudowany, z twarzą bladą o orlim nosie i wysokim czole, miał w rozmowie dwa główne tony, jeden szyderczy, prawie błazeński, drugi potężny, patetyczny. Kiedy opowiadał o tym, jak go Badeni nikczemnie prześladował, jak mu bogate probostwo w Kulikowie pod Lwowem odebrał, jak go uwikłał w proces o to, że sprzeniewierzył składki przez siebie (księdza) rozpisane na ufundowanie lampy przed grobem Chrystusa w Jerozolimie, jak go sąd w r. 1888 zasądził także na utratę praw obywatelskich, aby nie mógł zdobyć mandatu poselskiego, kiedy odsłaniał przede mną ten ponury obraz złamania ludzkiej egzystencji za to, że ujmował się w swoich pisemkach «Wieniec»

i «Pszczołka» za chłopami, wówczas przerywał to ostrym, szyderczym śmiechem, błaznował, lżył, a nagle zbladłszy z gniewu, wybuchał potężnym, patetycznym protestem. W celi więziennej nawiązaliśmy stosunek życzliwości, do którego miał się wkrótce ks. Stojanowski odwołać w ciężkiej potrzebie. (...) W lecie 1896 r. doniosła prasa szlachecka, że papież rzucił na Stojałowskiego klątwę, a dnia 8 sierpnia 1896 r., w dzień św. Bartłomieja, ogłoszono tę klątwę ze wszystkich ambon w kraju. Dzień przedtem żandarmeria aresztowała księdza w Cieszynie i pod zarzutem §24 ustawy prasowej (rozszerzanie zabronionych druków) powlokła do więzienia w Jasle. (...) zgromadzenie księży obserwowało „buntownika” bez cienia współczucia lub litości. W więzieniu jasielskim odwiedzały księdza istne pielgrzymki chłopów i bab wiejskich, aż strach zaczął padać na «sfery rządzące», bo przypomniano sobie nagle, że Jasielskie to ojczyzna Szeli... A Stojałowski obrał znakomity sposób obrony. Oto ogłosił po kilku dniach, że urządzi głodówkę i że albo go rychło wypuszczą, albo wyniosą z więzienia trupem!.. «Stoję przy swoim: śmierć albo wolność!»¹³

Zbuntowany przeciw biskupom i władzy austriackiej ksiądz, będący „królem chłopskich dusz”, stał się przedmiotem zainteresowania Watykanu i Wiednia. W korespondencji lokalnego episkopatu ze Stolicą Piotrową pisano:

„Stojałowski stoi na czele ruchu socjalistycznego w Galicji. Agituje wśród chłopów, którzy go wielbią i wspierają finansowo. Podburza wieś, szerzy nienawiść do bogaczy i biskupów, chce zniszczyć ich autorytet. A wszystko to czyni, twierdząc (z wielką hipokryzją i na szkodę ludności wiejskiej), że upowszechnia nauki Ojca Świętego w dziedzinie socjalizmu. A miał się czym podpierać, bowiem przed kilku laty odwiedził Watykan, gdzie otrzymał zaszczytny tytuł *monsignore*. «Jak informował Agliardi, trzech biskupów galicyjskich nadesłało mu ostatnio depeszę ze skargą na księdza»”¹⁴.

Do sporu między przedstawicielstwem Papieża a rządem Cesarza doszło po pogromach 1898 r. Nuncjusz papieski w Wiedniu zmuszony był odpierać zarzuty wysuwane przez ministrów rządu austriackiego, którzy twierdzili, że Watykan ponosi odpowiedzialność za antysemityczne rozruchy w Galicji. Nuncjusz odrzucał „niesprawiedliwe zarzuty” i twierdząc, że winę za pogromy w Galicji ponoszą sami Żydzi.

IV

Pogromy w Galicji stały się tematem wygłoszonej przez Daszyńskiego w parlamencie austriackim mowy, opublikowanej przez socjaldemokrację w formie osobnej broszury. Wskazywał w niej nędzę Galicji jako główną przyczynę społecznych zaburzeń:

„Powolałam się na wcale niepodejrzane źródło, na księcia Franciszka Puzynę. Stwierdza on, że chłop, zatrudniony we dworze szlacheckim, o 900 funtów chleba mniej otrzymuje, jako płacę roczną, aniżeli potrzebuje na wyżywienie siebie i swych dzieci. (*Słuchajcie!*). Wylicza on skrupulatnie i sumiennie każdego ziemniaka, i dochodzi do wniosku, że chłop, jeśli spokojnie nie chce patrzeć, jak choroba angielska toczy kości jego dzieci, musi je wycho-

wywać na złodziei i opryszków, bo w przeciwnym razie z głodu poumieralyby (*Śłuchajcie! Śłuchajcie!*), bo brakuje mu 900 funtów chleba na wyżywienie, a chleb – to jedyny środek spożywczy chłopu galicyjskiego, zatrudnionego we dworze”¹⁵.

Wskazuje także na rażące zaniedbania edukacyjne:

„(...) w naszym kraju więc 400.000 dzieci wcale nie pobierało nauki, 400.000 przyszłych ojców i matek, którym kiedyś przypadnie w udziale obowiązek wychowywania przyszłych pokoleń i którzy kiedyś mają prawa obywatelskie wykonywać. Czyż można się wobec tego dziwić, że w roku 1896 na 100 ukaranych zbrodniarzy, tylko sześciu umięjących czytać i pisać (*Śłuchajcie! Śłuchajcie! U towarzyszy partyjnych!*), i że na 100 rekrutów przypada u nas 52 analfabetów! Ten więc w ciemności i głupocie pogrążony lud, łatwo da się sprowadzić na manowce, łatwo w nim pobudzić namiętności i pchnąć go do czynów nieludzkich”¹⁶.

W kwestii przejawów chłopskiego antysemityzmu:

„Jest to polityczną i narodową koniecznością, że, gdy się szczuje na obcy naród i to szczuje do szaleństwa, że się wówczas czepia obcego elementu, a takim jest naród, wyróżniający się swoim ubraniem, życiem, swoją religią i swoim językiem, a takimi są u nas żydzi! A więc i w tym wypadku leży wielka część winy po stronie klasy rządzącej i jej prasy. (...) Panowie! To wszystko w końcu jest dozwolone. Każdemu wolno agitować na swój sposób. Ale kto też kosztą ponosił? Ponosili je biedni podjudzani chłopci, przeciwko którym zwrócono karabiny manlicherowskie, do których strzelano nabojami manlicherowskimi, kiedy w końcu hasło: Bij żyda! precz z żydami! dosłownie zrozumieli i w czyn wprowadzili. To są zbrodnie, popełnione nie przez chłopów, ale przez wszystkie rządzące sfery i ich płatną prasę. (...) Ta podła metoda zamykania ust przeciwnikowi za pomocą kija i święconej kredy, którą znaczone politycznych przeciwników. Tę politykę kija mógł tylko ksiądz wymyślić. (...) Żydowskie pisma w Wiedniu donosiły i oznajmiały telegraficznie każdą krzywdę, spotykającą żydów, tylko starostowie i ich podwładne organa o niczem nie wiedziały. Dopiero namiestnik był zmuszonym telegrafować: Hej, ludzie, pali wam się nad głową (*wesołość*). To była jedna połowa starostów, druga zaś jest pozbawioną u chłopów wszelkiego zaufania, mogliby do nich przemawiać anielskimi językami, a nie zrozumieliby ich, bo chłopci nie szanują tych ludzi, bo stracili wszelkie zaufanie do starostów. I tak wyjechał sobie jeden z takich starostów i błagał, i zaklinał, i prosił ich: «Na miłość Boską, nie czynicie tego!» Chłopci jednak mówili, że kłamcą jest ten – kto powiada, że cesarz nie pozwolił rabować żydów przez dwa tygodnie – kłamcą i oszustem ludu. (...) Mówiono wobec nawoływań liberalnej prasy wiedeńskiej: antysemici mordują żydów, karczmy płoną, ludzi się kaleczy itd., itd. A któż się wtedy najwięcej cieszył stanem wyjątkowym? Antysemici – to jest najbardziej charakterystycznym. Przez pięć miesięcy klerykalni antysemici unosili się

z radości nad stanem wyjątkowym i upajali się «Czasem», który przecież się styka z klerykalnymi sferami, a który «jad przeciw jadowi» zalecał, był z tego zadowolony, chciał on, by stan wyjątkowy trwał tak długo, jak tylko można; a kto chciał z niego zaraz zysk ciągnąć? Otóż jezuicki «Ruch Katolicki» wystąpił już w pierwszych dniach stanu wyjątkowego z następującym projektem: czas trwania nauki ludowej ma być skrócony w tym czasie z 6 lat na trzy lata. (...) Lecz wróćmy do czasów nowoczesnych, do roku 1898, wiecie, do Krakowa, Jarosławia i innych miast galicyjskich. Wydalono tam 8 ludzi, którzy nic nie zawinili; kombinowano w takich rozmiarach, że mnóstwo ludzi pozbawiono osobistej wolności, i tak w Krakowie 7 osób, w Przemyślu 4, w Liskach 7, w Tarnowie 2, w Jarosławiu 1, w Białej 2 i później jeszcze zagrożono 5 w Krakowie przymusowym pobytem. W końcu doszło nawet do tego, że z ludźmi, którym nic zarzucić nie można było, co by bodaj przypominało z daleka polityczną zbrodnię, postępowano gorzej, niżli ze zbrodniarzami¹⁷.

Daszyński przesadził twierdząc, że stan wyjątkowy wprowadzono tylko pod pozorem ograniczenia rozruchów, a celem rzeczywistym było niszczenie socjalistów. Represje wobec chłopów, przyjmowane na wsiach jako niesprawiedliwe chronienie Żydów przez „panów”, były wobec skali przemocy konieczne. To poczucie niesprawiedliwości wyrastało z oddolnej oceny sytuacji. Wszak, według ogólnego mniemania, chłopci nie robili „nic złego”, zwyczajnie kogoś pobili, kradli „ukradzione”, nie palili synagog ani domów mieszkalnych, tylko karczmy i sklepy, a wojsko strzelało w obronie Żydów zabijając „niewinnych”. To strzelanie, dodajmy, wynikało z nieudolności władzy. We Fryszaku wysłano kilkusobowy patrol młodych żołnierzy, by uspokoić kilkusobowy pijany tłum; chłopci pogonili żołnierzy kłonicami, ci ze strachu zaczęli strzelać, zabili kilka osób. Innym motywem poczucia niesprawiedliwości były krążące mity, mamiące nadzieją na bezkarność. Na wsiach żywa była pamięć o 1846 r., gdy „cesarz kazał panów rzezać, bo oni chcieli krzywdy chłopskiej”. W 1898 r. było podobnie. Kursowała legenda, że syn Cesarza arcyksiążę Rudolf nie zginął w 1889 r. w Mayerlingu, lecz w przebraniu wędruje po krajach cesarskich; tenże Rudolf, widząc krzywdę zadaną chłopom przez Żydów, wezwał do brania sprawiedliwości w swoje ręce. Inni, o czym wspominaliśmy, mówili o papieskiej dyspensie załatwionej przez ks. Stojałowskiego. Z oburzeniem przyjmowano wyroki sądu skazującego tumulantów na więzienie za kradzież i pobicia. Przecież oni „byli na prawie”, robili to, do czego ich zachęciano...

Pisał więc z goryczą Fibich o przyczynach i skutkach pogromów:

„Bliższą ich przyczyną jest krańcowy ruch ludowy, jaki się w ostatnich latach u nas rozwinął, nie dlatego, aby był wyłącznie przeciw żydom skierowany, gdyż ostrze jego było głównie w inną skierowane stronę, ale dlatego, że główną jego bronią było w ogóle szerzenie nienawiści. Nienawiść ta musiała mieć gdzieś ujście, szukała go gdzie indziej, a gdy go z różnych powodów znaleźć tam nie mogła, znalazła je w morzu żydowskim. – Zresztą i w stronnictwach ludowych są różne odcienia. Związek chłopski, najrzedniejsze włościańskie stronnictwo, napiętnował rozruchy w zupełnie właściwy sposób. Zaprzeczyć nie można, że tzw. «stronnictwo ludowe», jakkolwiek w Wiedniu zbiegło od narodowej chorągwi, w kraju trzyma na wodzy niskie wybuchy tłumów. Stojałowszczyk w Wiedniu trzymają się lepiej,

ale w kraju nie przebierają w środkach i wszystkimi możliwymi mienią się farbami: są stronnictwem i rządowym i skrajnoludowym, panslawistycznym, a nawet moskalofilskim i patryotycznym, chrześcijańskim i antyklerykalnym, demokratycznym i antysemitycznym. W sztabie swoim ma ks. Stojałowski przedstawicieli różnych gatunków broni, sam wypiera się antysemityzmu, ale ks. Szpunder jest jenerałem oddziału przeciw żydowskiego, sam panslawista, a z lekka i moskalofil, ma przy boku swoim szczerego patryotę Danielaka, który się tam znalazł, jak Piłat w Credo. Ma na okaz i wspaniałego szlachcica, który podobno jest bene natus et possessionicitus, a przy tem wyznaje zasady graniczące blisko z socjalną demokracją. Gdy nadto zważymy, że półurzędowym organem ks. Stojałowskiego jest ochrypły ze złości «Głos Narodu», nie zadziwimy się, że wśród tego chaosu ciemna masa poszła za najłatwiej zrozumiałem i wykonalnem hasłem „hajże na żydów”. I poszła na nich, i setkami zappełniła więzienia, a publiczne place miasteczek dziesiątkami trupów zasłała, wśród których stoi niewzruszona, majestatyczna postać księdza Redaktora. Doprawdy żal serce ścisła, gdy się widzi, że człowiek, który mógł dla ludu i narodu wiele dobrego zrobić, uniesiony pychą i zemstą za poniesione lub mniemane krzywdy, zawiódł lud na takie manowce. Są szlachetne usiłowania, które księdza demagoga sprowadzić usiłują na drogę, którą kroczyć powinien. Oby pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały! Bratał się z skrajnymi ludowcami, Moskalami, socyalistami, na chwilę nawet z węgierskimi żydami. Może więc dla odmiany, którą tak lubi, stanie się teraz porządnym, katolickim, polskim kapłanem”¹⁸.

Cóż, ksiądz Redaktor ugodził się z konserwatystami, klątwa kościelna została z niego zdjęta i zyskał znów możliwość robienia różnych interesów politycznych. Rozlanego mleka i wylanych łez nikt nie zwróci. Jeśli do dziś w Stanach Zjednoczonych i Izraelu wśród potomków emigrantów z ziem polskich utrzymuje się stereotyp polskiego antysemityzmu, to nie są to bynajmniej złośliwe antypolskie szykany, lecz dziedzictwo, które ze wstydu zapomniałszy.

1 Korespondencje: Listy krakowskie nr 6, „Przegląd Tygodniowy” 1898, nr 26, s. 312.

2 Kronika Lwowska XI, Lwów, 17 czerwca 1898, „Przegląd Tygodniowy” 1898, nr 26, s. 313.

3 S. Tarnowski, *Skutki rozstroju. Rozruchy*, Kraków 1897.

4 A. Fibich, *Rozruchy antyżydowskie*, Mielec 1898.

5 *Rozruchy w kraju*, „Czas” 1898, nr 139, s. 3.

6 W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. 1, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, s. 36-47.

7 Ibidem, s. 33.

8 Ibidem, s. 151.

9 Ks. M. Morawski, *Antysemityzm*, Kraków 1896; kolejne akapity pochodzą ze stron: 22-23, 35-36, 42, 47, 49, 50.

10 T. Starzewski, *Sursum Corda! Partya konserwatywna a ruch ludowy*, Kraków 1899.

11 I. Daszyński, *Pamiętniki*, t. 1, Kraków 1924, s. 49-52.

12 R. Baudouin de Courtenay, *Sylwetki polityczne*, Kraków 1897, s. 7-13.

13 I. Daszyński, *op. cit.*, s. 57-58.

14 D.I. Kertzer, *Papieża a Żydzi*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2005, s. 232.

15 I. Daszyński, *Stan wyjątkowy w Galicji przed sądem parlamentu 1898 r. Mowa wygłoszona 22 listopada 1898*, s. 6-7.

16 Ibidem, s. 11.

17 Ibidem, s. 20-24.

18 A. Fibich, *op. cit.*

SUBIEKTYWNA KRONIKA WYPADKÓW KULTURALNYCH

SPOTKANIE AUTORSKIE Z ADAMEM REGIEWICZEM

W dniu 4 kwietnia br. w OPK „Gau-de Mater” odbyło się spotkanie autorskie z prof. dr. hab. Adamem Regiewiczem – dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, kierownikiem Zakładu Teorii Literatury Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie, zajmującym się badaniem relacji kultury średniowiecza do współczesnej narracji medialnej oraz popkultury. W spotkaniu, które poprowadził Michał Wilk, udział wzięli wykładowcy, doktoranci i studenci Uniwersytetu oraz inni przybyli goście. Tym razem prof. Regiewicz wystąpił w nietypowej dla siebie roli – jako autor... powieści kryminalnej.

Pomysł na napisanie kryminału – jak podaje autor – zrodził się dziesięć lat temu, pod wpływem fascynacji powieściami Marka Krajewskiego i z inspiracji pracami semiotycznymi Umberta Eco. W trakcie spotkania mogliśmy się dowiedzieć, że debiutancka powieść *Kamienica przy Antycznej*, która ukazała się pół roku temu, to nie tylko czarna „retrokryminalna” historia, to również próba opowiedzenia o „doświadczeniach współczesnego człowieka z jego zmaganiem w audio-wizualności”. Jak zauważył prof. Adam Regiewicz, kryminał najczęściej stanowi pretekst do opowiedzenia jakiegoś wydarzenia, jest „diagnozą, sposobem opisania rzeczywistości, ubraną w konwencję zagadki”. Można zatem było się spodziewać, że w związku z tą hipotezą padnie pytanie o to, jakie jest podłoże tak dużej popularności, a nawet fascynacji kryminałami dzisiaj. Odpowiedź jest złożona, a głosy czytelników podzielone, niemniej jednak

podczas lektury kryminałów, które przynależą do literatury popularnej, najbardziej istotne jest tło społeczno-kulturowe, najbardziej ciekawe to, co się dzieje pomiędzy zbrodniami, czyli codzienne rytuały i praktyki. Zdaniem literaturoznawcy kryminały są opowieściami o współczesnym społeczeństwie: jego obyczajach i rytuałach, dlatego są skupione na problemie nienawiści, usprawiedliwiają samosądy, umożliwiają wymierzenie sprawiedliwości na własną rękę. Warto wspomnieć, że w 2017 roku ukazała się również publikacja naukowa tegoż literaturoznawcy pt. *Pomiędzy zbrodniami. Komparatystyka na tropach kryminału*, w której badacz przygląda się powieści kryminalnej od strony naukowej, z perspektywy komparatystyki kulturowej.

Środowe spotkanie to nie jedyna przygoda z kryminałem w tle z Częstochową. W 2014 roku gośćmi Adama Regiewicza i Aleksandry Mieczynskiej podczas cyklu spotkań „Częstochowa do kryminału” byli autorzy powieści kryminalnych (jak Aneta Nawrot, Tomasz Jamroziński, Carla Mori, Marta Obuch, Aleksander Wierny, Marcin Wolski), których akcja dzieje się właśnie „w mieście świętej wieży”. Również kolejny kryminał, tym razem napisany przez antropologa, medioznawcę, badacza „zagadkowych” powieści z kłuczem, ponieważ jest związany z Częstochową, bowiem jego akcja została osadzona w dobrze znanym autorowi środowisku akademickim. Życzymy zatem dalszych pisarskich sukcesów!

Marzena Forma

MUZYCZNY JUBILEUSZ

Jubileusz pracy twórczej świętował 18 maja b.r. w Filharmonii Częstochowskiej Sławomir Czarnecki, kompozytor przez wiele lat związany z naszym miastem. Tutaj ukończył szkołę muzyczną II stopnia, tutaj także miało miejsce wydarzenie, które Jubilat uznał za swój artystyczny debiut: 26 maja 1968 r. o godz. 16⁴⁵ w kaplicy Cudownego Obrazu na jasnej Górze została wykonana jego kompozycja „Canzona da chiesa”, wykonana wówczas przez skrzypaczkę Jadwigę Stolarczyk i organistę Józefa Siedlika.

Sławomir Czarnecki był studentem Piotra Perkowskiego i Romualda Twardowskiego w warszawskiej Wyższej Szkole Muzycznej oraz uczniem Oliviera Messiana w Paryżu (jako stypendysta rządu francuskiego). Jest laureatem wielu konkursów kompozytorskich w Polsce i za granicą oraz autorem wielu utworów. Prowadzi również działalność pedagogiczną – jest profesorem zwyczajnym, pracującym na Uniwersytecie im. Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Został uhonorowany wieloma nagrodami i odznaczeniami.

Na program jubileuszowego koncertu złożyły się cztery kompozycje Sławomira Czarneckiego, których wykonawcą była orkiestra Filharmonii Częstochowskiej pod batutą Adama Klocka. Gościnnie wystąpili skrzypkowie Krzysztof i Jakub Jakowiczowie, z myślą o których powstała kompozycja „Concerto Liliowe”, znakomicie wykorzystująca umiejętność prowadzenia dialogu muzycznego, uwzględniająca temperamenty wirtuozów, z których starszy, niesiony muzyką góralską, wykonał także rodzaj tańca. Na zakończenie zabrzmiał najnowszy utwór, napisany specjalnie na tę uroczystość – kantata „Adoracja Grobu Bożego”, w której usłyszeliśmy także chór Collegium Cantorum. Kompozytor wyznał, iż kantata jest utworem dziękczynnym, a ponieważ jubileusz 50-lecia pracy twórczej kompozytora przypadł w roku

szczególnym, jest to także dziękczynienie za 100 lat niepodległości Polski.

W części oficjalnej zostały odczytane listy gratulacyjne i życzenia od związków twórczych, od wójta gminy Łapsze Niżne za utrwalenie folkloru spiskiego. Były też podziękowania szczególne – od papieża seniora Benedykta XVI, który wysłuchał muzyki Jubilata z płyty.

Panu Profesorowi Sławomirowi Czarneckiemu składamy serdeczne gratulacje wraz z życzeniami wielu lat życia i pracy twórczej!

Barbara Strzelbicka

DESZCZOWY WERNISAŻ

W tym roku wernisaż wystawy hutniczej odbywał się w strugach deszczu, co nie wpłynęło jednak na liczbę przybyłych gości. Jedni dotarli samochodami – pomimo potoków wody płynących ulicami, inni środkami miejskiej komunikacji – nieco przemoczeni, jeszcze inni po prostu przyszli, przeczekując w bramach i w innych osłoniętych miejscach intensywniejsze partie ulewy, co jednak ich nie uchroniło przed przemoczeniem obuwia i dolnych części garderoby. Nieco zmyliła niektórych informacja w „Co? Gdzie? Kiedy?”, że wernisaż odbędzie się o 18., a nie, jak zwykle, o 17., która okazała się być fałszywą, bo uroczystość – bez względu na deszcz i na pomyłki, rozpoczęła się tradycyjnie i tylko część gości nieco się spóźniła.

XIV Plener Artystyczny odbył się pod hasłem „Z widokiem na hutę” i był ściśle związany z 90. rocznicą przyłączenia Rakowa do Częstochowy, co formalnie nastąpiło 1 kwietnia 1928 r., kiedy to weszło w życie rozporządzenie podpisane przez prezesa Rady Ministrów Józefa Piłsudskiego i ministra spraw wewnętrznych Felicjana Sławoja Składkowskiego. Odpowiednio wcześniej Rada Ministrów podjęła uchwałę o przyłączeniu do Cze-

stochowy osady fabrycznej Raków oraz wsi liczącej blisko sześć tysięcy mieszkańców. Starania trwały kilka lat, proces został zainicjowany uchwałą częstochowskiej Rady Miejskiej z dnia 2 czerwca 1920 r. Przypomnijmy, że wówczas, gdy budowę huty zainicjował Bernard Ludwik Hantke w 1896 r., Raków był wsią należącą do gminy Huta Stara.

Tegoroczny plener był realizowany we współpracy z Zespołem Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie i wzięli w nim udział zarówno nauczyciele, jak i uczniowie oraz absolwenci. Okazało się przy tym, że wielu częstochowskich artystów to absolwenci „Plastyka”. Komisarzem pleneru był tradycyjnie rzeźbiarz Mariusz Chrzastek. Plener rozpoczął się 27 lutego wycieczką po dawnych terenach hutniczych. Przewodnikiem był Roman Sitkowski, hutnik, miłośnik i znawca historii Rakowa, z Hutą związany od czterech pokoleń. Uczestnicy pleneru zostali powitani przez Prezesa Zarządu ISD Huty Częstochowa Anatolija Fiediajewa, który także przygotował słowo wstępne do katalogu oraz otworzył wystawę.

Katalog powstał w drukarni „Gryf”, której właściciel Andrzej Szczepańczyk był także gościem wernisażu i otrzymał stosowne podziękowania za staranność i profesjonalizm przygotowania albumu. Oprócz słowa wstępnego prezesa Fiediajewa, rysu historycznego autorstwa Juliusza Sętowskiego, znalazły się w katalogu fotografie i biogramy uczestników pleneru oraz reprodukcje ich prac. Poczet uczestników zamyka sylwetka Romana Sitkowskiego, uzupełniona o pochodzącą z jego zbiorów fotografię, przedstawiającą pracowników Oddziału Elektryczności Huty Częstochowa w 1900 r.

Na uroczystości otwarcia wystawy w sali reprezentacyjnej Muzeum Częstochowskiego w Ratuszu w dniu 11 maja 2018 r. uhonorowani zostali wszyscy uczestnicy pleneru oraz osoby współpra-

cujące przy powstawaniu prac i organizacji wystawy. Wszyscy tradycyjnie otrzymali statuetki autorstwa Mariusza Chrzastka. Powstały także pamiątkowe fotografie. Został również zapowiedziany temat pleneru przyszłorocznego – będzie nim kobieta, bo, jak wiadomo, huta jest kobietą. Po części oficjalnej był czas na rozmowy przy muzyce, napojach i smacznych potrawach – Huta dba także o gości wernisażu. Syci w sensie dosłownym i metaforycznym bohaterowie i goście tego ważnego dla Częstochowy wydarzenia artystycznego, wyszli na deszcz, który przestawał padać tylko na chwilę. Wody jednak na ulicach dużo nie było, co dowodzi sprawności kanalizacji burzowej miasta oraz tego, że ziemia była spragniona deszczu. Jednak w drodze powrotnej deszcz przeszkadzał znacznie mniej...

Ważną cechą przedsięwzięcia, którym są doroczne plenery artystyczne organizowane w tak mało artystycznej, industrialnej przestrzeni huty, jest ciągłość i konsekwencja. Impreza odbywa się przy zaangażowaniu wypróbowanych współorganizatorów i współpracowników, cykl jej przebiegu jest także stały i nawet pomyłka w miejskim informatorze nie przeszkodziła gościom przybyć o właściwej godzinie – nie mówiąc o deszczu. Stałe jest także zainteresowanie Zarządu ISD Huty Częstochowa, manifestowane obecnością Prezesa, stałe jest miejsce wystaw i format katalogu. W ten sposób buduje się zaufanie. Jest to także sposób na właściwe skierowanie sił twórczych i niemarnowanie ich na pokonywanie trudności natury organizacyjnej. Wprawdzie organizatorzy skarżyli się, że brakuje im inwencji na wymyślanie kolejnych tematów pleneru, jednak pomysł na przyszły rok świadczy o tym, że kreatywność utrzymuje się na dobrym poziomie. Z niecierpliwością czekamy na prace pokazujące, że Huta jest kobietą!

Barbara Strzelbicka



SZCZĘŚCIARZ I PRZYJACIELE

Kiedy Janusz Mielczarek przed dwoma laty świętował swoje jubileusze, o czym pisaliśmy w „Galerii” nr 39/40, życzyliśmy mu dalszych sukcesów na różnych polach. Na spełnienie życzeń nie trzeba było długo czekać, bo oto w niespełna dwa lata po *Szczęściarzu i innych przypadkach* wyszła kolejna książka o znaczącym tytule *Być pomiędzy słowem a obrazem*. Książka ta zasadniczo różni się od poprzednich, będących zbiorami opowiadań – tym razem mamy do czynienia z dziełem, próbującym uchwycić cały dorobek twórczy Autora. Opowiadania stanowią jedną z pięciu części książki i są to teksty napisane w 2017 r., poprzedzone zapisem internetowej korespondencji, która stała się inspiracją do powstania jednego z opowiadań. Zawartość tej części uzupełniają „zapisanki” – tak zostały nazwane krótkie formy prozatorskie. Pozostałe części dokumentują inne pola aktywności Janusza Mielczarka i zawiera-

ją: zebrane recenzje jego książek i wystaw, wywiady, które przeprowadził z ludźmi sztuki, najnowsze wypowiedzi – dłuższe i krótsze – na temat Bohatera książki i jego twórczości. I część ostatnia, prezentująca rodzaj twórczości, do której Janusz Mielczarek powrócił po długiej przerwie – piosenki. Pisał je w latach 1959–64, a wrócić postanowił w 2017 r. dzięki nawiązaniu współpracy z zespołem „Czerwony Tulipan”, który na najnowszej płycie „Błędne koło” nagrał trzynaście piosenek, w tym pięć z tekstami Janusza Jano Mielczarka. I w ten sposób grono autorów tekstów piosenek, z Agnieszką Osiecką, Jaromirem Nohavicą i Jackiem Kaczmarskim, powiększyło się o autora z Częstochowy...

Spośród przedstawionych części książki najbardziej różnorodna jest część czwarta – takie są bowiem wypowiedzi autorów prezentowanych tekstów: listów, e-maili, impresji, recenzji, refleksji o twórczości literackiej i fotograficznej, analizy wątków literackich, itp., itd. Cennym uzupełnieniem książki jest materiał graficzny. Są zatem fotografie – w większości Autora i Bohatera książki, w tym te najbardziej znane, przedstawiające artystów oraz akty i portrety kobiet. Są prace innych fotografów, dokumentujące życie i działalność Janusza Mielczarka, są zdjęcia z jego rodzinnego albumu. Dopełnienie stanowią





rysunki Arkadiusza Zająca, z którym Janusz Mielczarek od dawna współpracuje i nie mogłoby ich zabraknąć w tej książce.

Promocja książki miała miejsce 6 czerwca bieżącego roku w wypełnionej po brzegi sali reprezentacyjnej Ratusza i miała charakter spotkania przyjaciół. Rozpoczął je Tadeusz Piersiak, również autor tekstów zamieszczonych w książce, by przekazać prowadzenie Bogdanowi Knopowi. Autorzy tekstów, których Janusz



Mielczarek nazwał „Gośćmi i Przyjaciółmi”, zostali zaprezentowani uczestnikom spotkania i obdarowani podpisanymi egzemplarzami książki, kilku z nich (Aleksander Żakowicz, Jarosław Woszczyna, Jerzy Piwowarski) zostało poproszonych o zabranie głosu. Mieliśmy także przyjemność posłuchać piosenek „Czerwonego Tulipana”. Janusz zaś z właściwą sobie swadą opowiadał o swoim życiu i dziękował za pomoc przy wydaniu książki sponsorom, autorom tekstów i fotografii, twórcy projektu okładki Szymonowi Parafiniakowi, korektorce Katarzynie Jezierskiej, chwalił jakość zamieszczonych zdjęć, dziękując Jackowi Krasuckiemu za skład, łamanie i typografię, składał podziękowanie drukarni „Gryf” i jej właścicielowi Andrzejowi Szczepańczykowi oraz Joli, która podjęła się trudu przygotowania do druku materiałów i której książka została zadeptykowana. Po zakończeniu części oficjalnej goście i przyjaciele zostali zaproszeni do stołu wernisażowego z pysznym domowym sernikiem i z dobrym winem, a wytworzona atmosfera serdeczności i życzliwości była komentowana jednoznacznie jako zasługa Janusza Mielczarka, który posiada dar zjednywania sobie ludzi. Jesteś szczęściarzem, Januszu!

Barbara Strzelbicka

Zdjęcia: Małgorzata Kozakowska



STAROMODNY POETA

Tadeusz Gierymski, gdyby żył, skończyłby w tym roku dziewięćdziesiąt lat. Zmarł dziewięć lat temu. Dla życia literackiego Częstochowy był postacią znaczącą. Zapisał się nie tylko jako poeta, ale także jako publicysta i animator życia literackiego. Nie był częstochowianinem z urodzenia, lecz z wyboru. Przez wiele lat pracował jako bibliotekarz, najdłużej był związany z Biblioteką Pedagogiczną. Działalnością publicystyczną był związany z częstochowską prasą. Dobrze zapamiętany został jako prowadzący w „Dzienniku Częstochowskim – 24 Godziny” „Okienko z wierszem”, w którym debiutowało wielu poetów. Jego postać jest także kojarzona z Haliną Poświatowską, przyłgnęła bowiem do niego etykieta odkrywcy jej talentu, co wiele razy i na różne sposoby było dementowane. Rzadko się wspomina natomiast o tym, że był inicjatorem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej, którym szczyści się Częstochowa jako jednym z najstarszych w Polsce. Drugim jego dziełem było czasopismo „Aleje 3”, wydawane przez Bibliotekę Publiczną.

W związku z rocznicą urodzin odbyły się dwa spotkania poświęcone Tadeuszowi Gierymskiemu, obydwie zaś łączyła postać literaturoznawczyni profesor Elżbiety Hurnik, która wspomnienia o poecie zainicjowała znacznie wcześniej wieczorem poświęconym Tadeuszom: Gierymskiemu i Chabrowskiemu, podkreślając, iż temu poecie i animatorowi życia literackiego naszego miasta należy przywrócić należną mu pamięć. Na wspomnieniach o Gierymskim kładą się cieniem wydarzenia, których przyczyną był jego trudny charakter.

Wszystkie te wątki oraz wiele innych pojawiło się w czasie spotkań, z których pierwsze było związane z otwarciem wystawy „Trzy grosze poezji” w Muzeum

Częstochowskim w dniu 8 czerwca b.r., poprzedzonym wykładem prof. Elżbiety Hurnik. Wystawę stanowi rekonstrukcja pokoju poety z przedmiotami, które do niego należały, jak na przykład biurko, maszyna do pisania z wkręconą kartką, lampa, okulary, stare etui, rękopisy, książki. Na ścianach wyeksponowano dokumenty, fotografie, listy, prasowe wycinki. Podobną wystawę przygotowano w 2015 r. w Bibliotece Pedagogicznej i jest to w zasadzie jej powtórzenie – o czym wspomniał Tadeusz Piersiak.

Kontynuacją tego spotkania były „Rozmowy o Gierymskim” w OPK „Gaude Mater”, prowadzone 13 czerwca b.r. Tym razem doszło do podziału ról i prof. Elżbieta Hurnik zajęła się poezją, zaś dr Konrad Ludwicki – prozą, a ściślej *Notatkami z czasu*. W spotkaniu czynnie uczestniczyli goście, inicjując je odczytaniem wierszy, przygotowanych przez prof. Elżbietę Hurnik, a potem także wspominając bohatera spotkania. Wspomnieniami dzielili się: dr Arkadiusz Frania, autor książki o Tadeuszu Gierymskim *„Solidne niefarbowane retro”*, poetka i pisarka Barbara Rosiek, poeta Jacek Gierasinski. Na zakończenie o swoim bardzo lirycznym wspomnieniu opowiedziała Pani Mariola Florek, od wielu lat zajmująca się sprawami literackimi w OPK „Gaude Mater”. Zapamiętała, że Tadeusz Gierymski bardzo lubił wyprawy na Jurę Krakowsko-Częstochowską. Nie były to długie wycieczki, poeta jeździł tam autobusem, z plecakiem na ramionach. Kiedy wracał, często przychodził do OPK „Gaude Mater”, przed imprezami zaglądał do Pani Marioli i dyskretnie dawał jej wyciągnięty z kieszeni bukietek stokrotek albo innych drobnych kwiatków. Jak w starej piosence: „potargany, pognieciony, przyniesiony w kieszeni...”

Barbara Strzelbicka

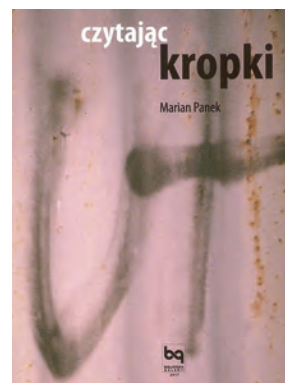
Janusz Mielczarek, *Być pomiędzy słowem a obrazem*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018.

Szоста książka częstochowskiego prozaika i fotografa, będąca rodzajem podsumowania dorobku oraz prezentacją twórczości najnowszej – opowiadań, krótkich form prozatorskich oraz tekstów piosenek. Materiał przedstawiony w pięciu częściach tematycznych i bogato ilustrowany fotografiami autora oraz innych twórców. Projekt okładki przygotował Szymon Parafiniak, skład – J.M. Krasucki, druk – Drukarnia „Gryf” (B.S.).



Marian Panek, *Czytając kropki*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2017.

Debiutancki tomik poetycki znanego malarza i performerera oraz animatora życia kulturalnego zawiera 33 wiersze oraz 8 rysunków, spójnych z tekstami poetyckimi. Autorem projektu graficznego tego wyjątkowego wydawnictwa jest, oprócz Autora, Janusz Pacuda, na okładce zostały wykorzystane fotografie Karoliny Filiczekowskiej i Małgorzaty Kozakowskiej. Słowem wstępnym opatrzyły wiersze Barbara Strzelbicka i Konrad Ludwicki. (B.S.)



Tadeusz Wrona, *Słowa i definicje*, Częstochowa – Warszawa 2018.

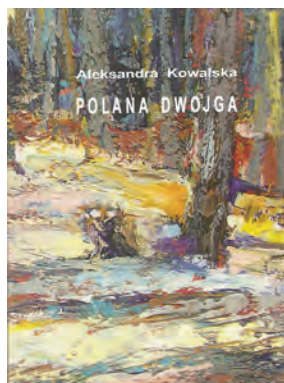
Zbiór 56 liryków. Z posłowie Elżbiety Hurnik: „Z tomu wylania się sfera doznań i uczuć oraz sfera wartości, po stronie których Autor jednoznacznie się opowiada. Mamy tu do czynienia (...) z manifestowanym wyrażeniem związku ze światem i jego materialną, piękną postacią, z momentalnością doznań, z docenianiem ulotnej, przemijającej chwili, z drugiej strony – z wiarą, patriotyzmem, z wiernością ludziom i ideałom, z przywiązaniem do tradycji”.



Wojciech Pestka, *Histeria*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2018.

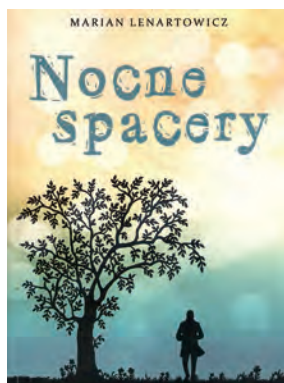
Z recenzji Bogdana Knopa: „Muzyka tych wierszy odkrywa się w ciszy, unosi w ulotnych przestrzeniach chwili, pozwala budzić powoli pogodę spokoju, trącać naczynia słów. Nieśpiesznie, jak świadoma siebie kobieta, rzuca powoli swoje uroki (...). Sytuacje liryczne, obrazy, doznania, słowa, w których wyrażają się uczucia, wszystko, do czego się odwołuje autor, jest elementem tej „zwykłej” obecności, jakiej doświadczamy każdego dnia”.





Aleksandra Kowalska, *Polana dwójga*, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne Regina Poloniae, Częstochowa 2018.

Tomik, składający się z 51 wierszy, ułożonych w trzy cykle: *Obietnica*, *Sacrum* i *Turkusowa*, zainicjowany wierszem tytułowym. Utwory poprzedzone *Słowem wstępnym* ks. dr. Jarosława Grabowskiego, podsumowane omówieniem prof. dr hab. Elżbiety Hurnik i uzupełnione obszerną notą biograficzną. Na okładce fragment obrazu Autorki, całość zadedykowana jej Najbliższemu. (B.S.)



Marian Lenartowicz, *Nocne spacery*, Wydawnictwo Świętego Filipa Apostoła, Częstochowa 2017.

Pierwszy, liczący 155 wierszy, tom poetycki twórcy, związanego z Kubem „Złota Jesień”, który zadebiutował na łamach „Gazety Częstochowskiej” w 1960 r. Wiersze zawierają refleksje osobiste, dotyczące poezji oraz aktualnych zjawisk w życiu społecznym – z punktu widzenia człowieka dojrzałego. Pojawia się także świadomość starości i zbliżającego się końca ziemskiego bytowania. Książka ma ciekawą szatę graficzną. (B.S.)

Z głębokim smutkiem
żegnamy zmarłego 1 lipca 2018 r. w wieku lat 70

Władysława Edwarda Piekarskiego,

poetę, prozaika, publicystę i wydawcę,
animatora życia literackiego Częstochowy,
założyciela i wieloletniego prezesa
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „LiTWA”,
inicjatora utworzenia Częstochowskiego Magazynu Literackiego
„Galeria”
i jego pierwszego redaktora naczelnego,
stypendystę Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego,
wyróżnionego odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Redakcja Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”
i członkowie Towarzystwa Galeria Literacka



Tymoteusz Werner

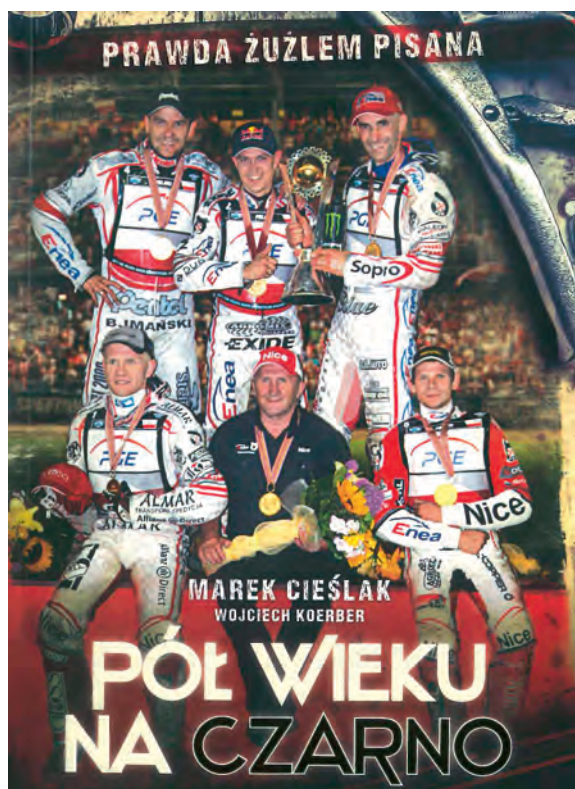
CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI



Dzieje ludności żydowskiej w regionie częstochowskim w XIX i pierwszej połowie XX wieku, red. J. Mizgalski, J. Spyra, Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza, Częstochowa 2017; 24 cm, s. 267, opr. oryg. tw.

Książka jest pokłosiem sympozjum „Dawne dzieje ludności żydowskiej w regionie częstochowskim”, zorganizowanego w marcu 2017 r. w oddziale Muzeum Częstochowskiego, gdzie mieści się stała ekspozycja „Żydzi częstochowanie”, przez Instytut Historii Akademii im. Jana Długosza (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy), w której zamieszczono 11 referatów. Wiele jest długich wystąpień, choć i tak nie wyczerpują tematu, zawartego w tytule. *Jidyszowe źródła do badań historii i kultury częstochowskich Żydów w pierwszej połowie XX wieku* to tytuł referatu prof. Magdaleny Ruty. Autorka omawia wydawnictwa *Księgi pamięci*, których wymienia osiem, ale nie podaje pełnego opisu bibliograficznego. W przypadku *Czenstochower Jidn* (1947) – w na-

wiasie rok wydania – nieznanym jidysz czy hebrajskiego warto by podać spis treści. Część z tych ośmiu ksiąg jest tłumaczona na język angielski czy nawet na język polski, nie podano, która, gdzie jej szukać, czy prawidłowo przetłumaczono itp. Według mnie warto pokusić się o przetłumaczenie *Ksiąg pamięci*, zachowując tłumaczenie klasyczne: jedna strona w jidysz lub hebrajskim, obok strona w tłumaczeniu na język polski. Wydanie książki w drukarni „Gryf”, położonej w centrum byłej dzielnicy żydowskiej, przybliżyłoby nam, zwykłym zjadaczom chleba, życie, kulturę, stosunki pomiędzy Żydami a Polakami w pierwszej połowie XX w. Najwartościowszym dla piszącego te słowa jest referat *Wpływ żydowskiego prawa religijnego na życie codzienne dziewiętnastowiecznej społeczności żydowskiej w Częstochowie – wybrane problemy*, napisany przez dr. hab. prof. UH-P Jerzego Mizgalskiego, który na 44 stronach swojego wystąpienia zamieścił i omówił codzienne życie Żydów w podziale na następujące obszary: obowiązki religijne, nauka i studiowanie świętych ksiąg, rodzina i dom, praca. Po przeczytaniu tych paru podrozdziałów – zrozumiałem wiele między innymi ze wspomnień moich Rodziców, którzy w okresie międzywojennym pracowali u Żydów i dla Żydów. A zdanie: „Praca i szacunek do niej była drugim po studiowaniu ksiąg ważnym nakazem religijnym” było często omawiane w mojej rodzinie, gdyż Żydów w tym okresie była 1/3 na 120 tys. mieszkańców Częstochowy. Książkę kończy licząca 11 stron bibliografia, streszczenie w języku angielskim, indeksy osób i miejscowości. Warto to opracowanie przeczytać, a dla wszystkich, którzy na ten temat chcą wiedzieć więcej, winna ta książka być lekturą obowiązkową.



Cieślak M., *Pół wieku na czarno. Prawda żużlem pisana*, oprac. W. Koerber, Wydawnictwo Sine Qua Non, Kraków 2016; 21cm, s.348, opr. brosz.

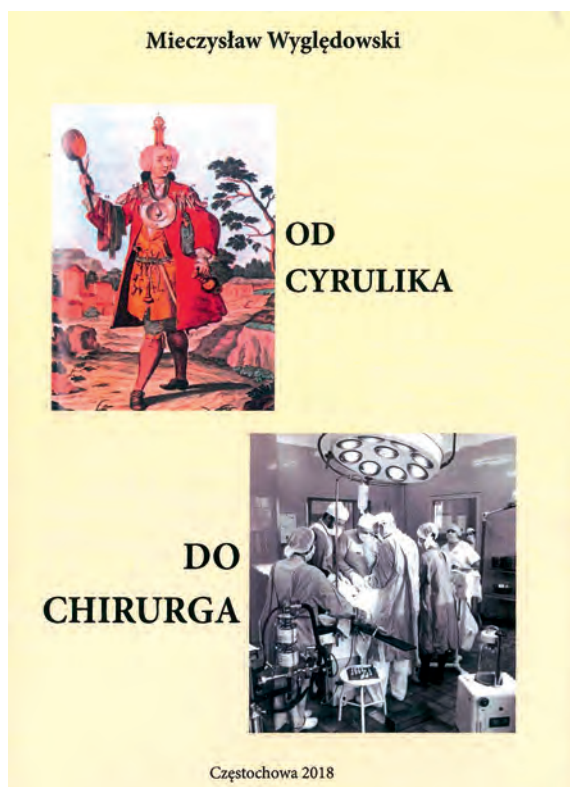
W maju 2016 roku wpadł do mnie Marek Cieślak z informacją, że wydał książkę, na stronie tytułowej wpisał mazakiem datę, swój numer telefonu, moje imię i nazwisko oraz „z pozdrowieniem” – tu podpis. Aż mnie zdziwienie ogarnęło, że pamiętał nasze spotkania z lat sześćdziesiątych. Niestety, Marek był o dobre 6 lat młodszy i nasze drogi się rozeszły, jednak pamiętał, że czasem byłem mu pomocny i skoro podarował mi książkę, pragnę ją zrecenzować, z opóźnieniem rewanżując się za pamięć. Marek Cieślak zaczął jeździć na żużlu, czyli jak niektórzy chcą mówić: *speedway’u*, gdy wielkie asy lat 50. i 60., jak Miechowski, Kacperak, Świącik czy Rurarz, kończyły swoje kariery. Kaznowski już nie jeździł, a był znanym sędzią żużlowym, miał sklep przy ulicy Konkielów (obecnie W. Wilsona) za domem Frankego

z częściami samochodowymi i motocyklowymi. Niestety, nie miał części do ESO czy jaw żużlowych. Opisy meczów, znajdujące się w książce, sylwetki znajomych, kolegów i koleżeństwo żużlowe z Danii, Szwecji, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, gdzie Cieślak jeździł jako zawodnik, są profesjonalne i ukazują, jak wielka jest rodzina żużlowa. Zgrupowania, testy i mecze, finały – relacje z wielkiej kariery Marka Cieślaka są na każdej stronie tej bardzo osobistej książki. Autor tak pisze o sobie: „Ja wiem, że byłem dobrym, nawet bardzo dobrym ścigantem” (s. 31); a wcześniej: „Jako szkoleniowiec osiągnąłem jeszcze więcej niż jako zawodnik”. I tu mówi całą prawdę – jak w drugiej części zatytułowanej *Prawda żużlem pisana*. Opowiada ona o tym, jak być dobrym trenerem szkoleniowcem w jednym, drugim czy nawet trzecim klubie, a potem zostać trenerem kadry narodowej. O tym chyba nigdy nie myślał, startując jako 17-latek, uczeń Traugutta, który w 1967 r. zdobył licencję zawodnika żużlowego. Kto z czytających ten opis nie jest pozytywnie nastawiony do żużla, nie powinien książki czytać, ale jeśli choć raz poczuł zapach żużlowego paliwa, powinien ją kupić, a przede wszystkim przeczytać. Jest to opowieść o wybitnym fachowcu od żużla, najlepszym trenerze, szczęściarzu, mistrzu anegdoty żużlowej (i nie tylko żużlowej), częstochowianinie z krwi i kości (których parę miał naprawianych, o czym też pisze), czyli na dziś o trenerze „Włókniarza” i kadry narodowej polskiego żużla – o Marku Cieślaku. Książka ładnie wydana, na końcu jest zamieszczona rozmowa z żoną Marka oraz Marek Cieślak w danych statystycznych. Książkę ubogaca szereg zdjęć Autora i innych żużlowców z Polski i z całego świata.

Wyględowski M., *Od cyrulika do chirurga*,
Wyd. Tow. Lekarskie, Częstochowa 2018;
25cm, s. 266, opr. oryg. tw.+obw.

Książka, której obwolutę widzisz, Czytelniku tej recenzji, jest już 18. pozycją Mieczysława Wyględowskiego. Z dużą przyjemnością przystępuję do opisanie przeczytanej książki, która ma 25 rozdziałów i została wydrukowana w Drukarni Usługowej „Gryf”, jako hasło wymienianego następujący cel: „drukowanie wszystkiego – za wyjątkiem pieniędzy”. Pozycja wydrukowana jest cudownie, obwoluta, oprawa, druk, ładna czcionka, dobry papier, duże marginesy do zapisywania uwag, czyli tzw. marginaliów. Należy choć trochę napisać o treści, w której świetnie opisano operacje cudowne i mniej cudowne. Zdobywanie doświadczeń przez pracę Autora w tym samym szpitalu przez bez mała 50 lat, co daje mocne podstawy bycia chirurgiem, dla którego dobro chorego, emocje związane z operacją, odpowiedzialność i stres, nerwy i sukces pooperacyjny w rozmowie

z chorym i rodziną chorego, jest dla ordynatora bezcenne. Dyrektor, ordynator, chirurg i lekarz w jednej osobie jest także społecznikiem, pracuje w radzie miasta, zasiada w komisjach, jest także senatorem RP. A nade wszystko jest dobrym człowiekiem i świetnym lekarzem. Opisuje przeszczepy, które sam jako chirurg prowadzi, a także przeszczepy dokonane przez innych wielkich lekarzy: Ch. Bernarda, Z. Religi, M. Zembali, A. Bochenka i S. Ostrowskiego, tego od 8-tomowej pozycji *Choroby wewnętrzne*. Mnie bardzo zainteresował rozdział z cytatami. *Złote myśli* o chirurgach i chirurgii są świetnie dobrane i dają dużo do myślenia o sobie, o tych, co leczą i o tych, których leczą. Rozdział *Przyszłość chirurgii* jest dla mnie nad wyraz odkrywczy, a podrozdział *Pierwszy na świecie przeszczep głowy* zachwiał moją etyką i ambicją bycia człowiekiem. Rozumiem: przeszczep serca, nogi czy nosa, ale głowy, w której jest mózg, komputer wszech czasów?! A człowiek to parę wiader wody, trochę wapna i inne pierwiastki z tablicy Mendelejewa, ale głowa to dla mnie nie tylko usta, czoło, nos, oczy czy włosy, ale mózg, którego nie da się zastąpić. Czytając to, proszę Ciebie, Czytelniku: biegnij do dobrej księgarni i zakup tę książkę, którą ja przeczytałem chyba trzy razy, ale bez rozdziału o przeszczepie głowy, który czytałem tylko raz – sam nie wiem, dlaczego. Szereg ciekawych zdjęć w tekście mądrze rozmieszczonych dodaje powagi tej ciekawej i dużo mówiącej o polskim, a szczególnie o częstochowskim lecznictwie, książce.





Piwowarski J., Mróz J., *Bogumiła Zbirożanka Malec (1913-1987)*, „porywają mię laury, porywa mię owa wyżyna...”, Częstochowski Klub Miłośników Historii im. Mecenasa Jana Pietrzykowskiego, Częstochowa 2017; 21cm, s.126, opr. oryg. brosz.

Omawiana książka jest próbą biografii zapomnianej artystki, malarki Bogumiły Malec z d. Zbiróg, związanej z Częstochową, Krakowem i Warszawą. Pozycja ta zawiera sześć rozdziałów, z których najważniejsze jest kalendarium życia artystki. Ciekawymi są wspomnienia pani Katarzyny Patrzyk, córki Bogumiły Malec oraz niektóre podrozdziały, zawierające fragmenty zachowanych trzech brulionów artystki. Są też wiersze oraz zapiski rozmów i wspomnień. Książka ma 13 ilustracji, którymi są zdjęcia artystki i jej prac malarskich, a kończy się 6-stronicową bibliografią. Jest też rozdział *W siódlach sztuki i polityki – Zbirożanka w Krakowie*, który opisuje życie w Krakowie w latach międzywojennych, studia w Akademii Sztuk Pięknych, współpra-

cę z Erną Rosenstein, Władysławem Strzebińskim, Henrykiem Wicińskim i Tadeuszem Kantorem. Był to krąg artystów, z którymi Bogumiła Malec poszukiwała własnej drogi życiowej, a przede wszystkim artystycznej. Jak stwierdza jej córka, była osobą o przekonaniach lewicowych, co zaczęło się w Krakowie w czasie studiów, a pogłębiło w Częstochowie w latach powojennych i jak stwierdził jeden ze znanych artystów plastyków, stała się „komunistyczną artystką”. Była osobą czytającą i obeznaną w kulturze, wniosła duży wkład w organizowanie wystaw malarskich i graficznych – tak przez wystawianie prac własnych, jak i innych artystów. Realizowała się także w organizowaniu teatrów kukiełkowych, wieczorów wizualno-poetyckich, którymi były jej autorskie „kino-formy”, prezentowane w Częstochowie, w Warszawie (w Centralnym Biurze Wystaw Artystycznych i w galerii Związku Polskich Artystów Plastyków) czy w Katowicach (Biuro Wystaw Artystycznych). Wspomnienia artystki kończą trzy jej wiersze. Warto w tym miejscu podać zakończenie trzeciego: „bliżej słońca a dalej od ludzi”. Artystka umiera w Częstochowie w 1987 roku, szkoda, że autorzy nie podali miejsca złożenia jej doczesnych szczątków. Natomiast jej artystyczne działania dopiero teraz po 30 latach nabierają znaczenia. Tym bardziej warto podać, że Bogumiła Zbirożanka Malec w okresie drugiej wojny pomagała ukrywać koleżankę z czasów studiów, Ernę Rosenstein, co miało miejsce w Częstochowie. Według mnie jest to pozycja warta przeczytania i umieszczenia jej na półce z książkami, które trzeba mieć i do nich wracać.

Jan Ciesielski

SZARGANIE ŚWIĘTOWANIEM

To piękna jest tradycja nasza
I piękne dokonanie,
Zdobyte trudem „setek-lecia”,
Co zwie się – ŚWIĘTOWANIE!

Dzień dziecka, babci, wujka, brata,
I dzień krzyżówkowicza,
Dzień zduna oraz małolata,
Dzień z ligi spadkowicza.

I muzyk, strażak, wojak, szewc,
Też mają swoje święta,
I krawiec, rzeźnik, chłop i cieć,
I ci, co na okrętach.

Osobne mamy święto mamy,
Osobny dzień cyklistów,
Tych, co wstawiają się na nami –
W tydzień pisania listów.

Też w roku raz jest święto mas
Oraz do „góry” wziętych.
I chciałbym, żeby nadszedł czas
Dla tych – na siebie ciętych.

Jak w kalendarzu – w jednym dniu
Świętować może wielu,
Tak trzeba by dołączyć tu:
Dzień Ludzi z Pe-eR-eL-u.

Niech co dzień wznoszą się toasty,
Niech wkoło gra muzyka,
I niech się nakładają dni
Na TATY – ODLEWNIKA.

Szansa na zgodę w naszym kraju,
Tego większości się zachciewa:
Gdy będzie święto w jednym dniu –
Tych z PRAWA i tych z LEWA.

I nie dziwię się po troszku,
Że Świat nas bierze za świętoszków.
Cholera – chyba z Moliera.



Marian Panek

SYMETRYCZNE KREACJE ROMANA TIMOFIEJUKA



Roman Timofiejuk. Z cyklu „Rzeczywistość Symetryczna”

Na wstępie trzeba powiedzieć i stwierdzić, że każdy obraz, w tym również fotograficzny, to przede wszystkim kompozycja zespołu form stanowiących jedność i wyposażonych w sens. Jak głosi teoria formy – a poświadcza ją choćby najprostsza melodia muzyczna – całość jest czymś więcej niż sumą części, gdyż jest ona źródłem i uzasadnieniem tych ostatnich. W tym wypadku cykl zdjęć Romana Timofiejuka zatytułowany jak cała wystawa „Rzeczywistość Symetryczna”, spełnia artystyczną, obrazową, ekspresyjną naturę kreacji dzieła.

W teorii sir Herberta Read'a wyłożonej w dziele *Icon and Idea* wskazuje on, iż wszelki wytwór sztuk wizualnych, a w swojej istocie wszelka współfiguracja, jest formą myśli, a więc posiada w sobie dający się uchwycić rozumowo ekwiwalent pojęciowy.

Zdjęcia Timofiejuka poszukują w zadaniu swojej symetryczności symbolicznego

znaku. Ze znanego fotograficznego wglądu w rzeczywistość tworzą obraz pozornie znany, oparty na systemie współbrzmień. Powstały wizualizacje urzekające swą zagadkowością – kreują one własną odmianę realnego świata. Symbolizują syntezę nieznanego.

Fizjologia widzenia i rozumienia świata ujmowana przez biologiczną i psychofizyczną strukturę człowieka (jest on również bytem duchowym) jest swego rodzaju fenomenem związanym z doświadczeniem, uczeniem się, rozpoznawaniem zmysłowym zjawisk występujących w przestrzeni w jej naturze. Artysta podejmuje wyzwanie zobaczenia rzeczywistości, otaczającej realności, na nowo – przez funkcję symetrycznie ustawionych na pionowej osi wyselekcjonowanych kadrów fotograficznych, realizuje to konsekwentnie, tworząc „znakowe pejzaże”, odwołujące się do naszej intuicji i indywidualnego, ale także kultu-

rowego doświadczania, postrzegania świata na podstawowych kierunkach: do góry, na dół, na prawo, na lewo.

Czym jednak w sensie symbolicznym jest symetria? Dla starożytnych ludów Mezopotamii, Egiptu, Indii, Grecji symetria była równoznaczna ze spełnieniem, osiągnięciem celu, uwiecznieniem triumfu i stopniem, była stanem najwyższej równowagi. Odnajdujemy ją na przykład w Kaduceuszu, w płaskorzeźbach w Naksz-e Rostam, wadze (librze) czy na trójdzielnych tarczach heraldycznych. Mezopotamczycy uważali dwa splecione ze sobą węże za symbole boga leczącego z chorób, które to znaczenie przeszło do czasów współczesnych. Kaduceusz oznacza oś świata, a dwa wokół niej węże odpowiadają chorobie i uzdrowieniu.

Z ezoterycznego punktu widzenia dokładna obustronna symetria wyraża tę samą ideę aktywnej równowagi, ujawnia ekspresję antagonistycznych sił wzajemnie się hamujących, by mogła zaistnieć forma wyższa statyczna.

W historii sztuki znamy wielu artystów, posługujących się symetrią kompozycyjną, z Romanem Cieślewiczem na czele, którego „Cyklopy”, jednookie graficzne wyobrażenia postaci przejmują swoją znaczeniowością i ekspresją. Natomiast Roman Timofiejuk poszukując ważkiego znaku dla swojego „nowego pejzażu”, odnajduje jego „rozwinięcia” i instaluje w nich: bramy, dukty, skrzyżowania dróg, architektoniczne przejścia, pasaże, mosty, megalityczne obiekty. Osiowość tych czarno-białych fotogramów jest ich strukturalnym sensem. Rytmiczne w swojej dynamice, intrygują niebywałą równowagą.

Fotografik, znany mi już z poprzednich cykli: „Harmonia obiektywna”, „Obraz Polski”, „Genotyp”, „Odyseja”, jeszcze raz w „Rzeczywistości Symetrycznej” ujawnia nietuzinkowy talent w konstruowaniu, projektowaniu i realizowaniu ważnych artystycznych konstatacji na temat fotografii kreacyjnej i kreacji w fotografii.



Roman Timofiejuk. Z cyklu „Rzeczywistość Symetryczna”

Roman Timofiejuk

OŚWIADCZENIE ARTYSTY



Roman Timofiejuk. Z cyklu „Rzeczywistość Symetryczna”

Ocena obrazowa widoku w aparatach, w których obraz widziany był na matówce jako odwrócony stronami, zmuszała artystę do określenia położenia obiektu, jego umiejscowienia w otoczeniu, znalezienia właściwego znaczenia tematu i starannego skomponowania treści w trakcie procesu myślowego przebiegającego nieświadomie w umyśle fotografującego. Znalazienie właściwego odniesienia do rzeczywistej rzeczywistości wymaga procesów percepcyjno-myślowych. Jak złożone i skomplikowane są te procesy, wie każdy, kto próbował iść wprost kierując się bezpośrednio obrazem na matówce. Oglądanie rzeczywistości na podstawie wyświetlonego obrazu na matówce lub odbioru

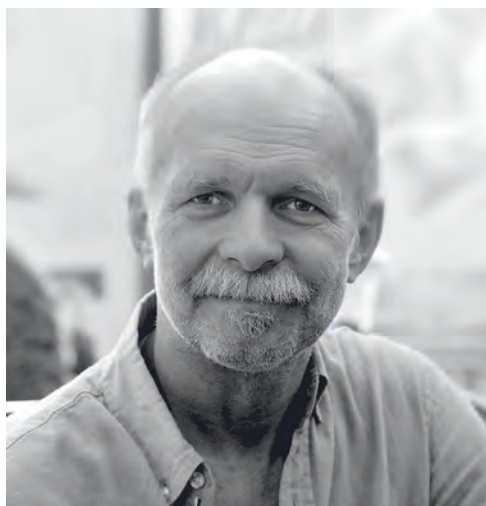
lustrzanego bez procesów myślowych nie pomoże w prawidłowym zakwalifikowaniu właściwej rzeczywistości. O ile jesteśmy świadomi tego, co widzimy bezpośrednio i przyjmujemy ten widok za jak najbardziej miarodajny, to do końca nie jestem pewien, czy obraz matówkowo-lustrzany jest fałszywy. Sama obserwacja odwróconej strony na matówce powoduje w umyśle człowieka samoistne naprawianie i podświadome nałożenie dwóch procesów, optycznych i myślowych, dając w ostatecznym wyniku obraz zgodny z naszym codziennym postrzeganiem otoczenia.

Natomiast sam moment połączenia tych dwóch obrazów i transformacja na właściwy obraz umyka naszym zmysłom. Za-

trzymanie na płaszczyźnie obrazowej tego procesu uzmysławia, jakie frapujące formy są dla nas niewidoczne. Proces transformowania dwóch obrazów w jeden „prawdziwy” jest metafizyczno-ulotny, dlatego chciałem zaprezentować go w formie stałej, dając możliwość zaobserwowania momentu tworzenia właściwego obrazu na ostatecznej fotografii.

Widzenie czegoś i myślenie o czymś to dwa różne procesy, zachodzące w naszym umyśle, składające się ostatecznie na właściwe obrazy, zgodne z ludzkim widzeniem, bo proces obserwowania na matówce to transformacja umysłowa, która odwzorowuje dany obiekt na niego samego i z tego tworzy właściwy.

Pojęciem „rzeczywistość symetryczna” oczywiście określam same przekształcenia obrazów widocznych na matówce aparatu i jego projekcji umysłowej. Dlatego moje wybrane fotografie sprowadziłem do zmontowania „właściwego obrazu” z jego przeniesioną wersją, w efekcie otrzymałem obrazy zniekształconej rzeczywistości, niepodające się realnemu osądowi i niemające swojego odpowiednika w otoczeniu.



Roman Timofiejuk, foto Irena Gałuszko

Roman Timofiejuk – rocznik 1953, współczesny polski artysta fotografik, mieszka w Gdyni. Od 1988 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Należy również do Stowarzyszenia Marynistów Polskich i Stowarzyszenia „Morsy Gdynskie”. Fotografiją zajmuje się ok. 43 lata, a w jego dorobku artystycznym jest wiele indywidualnych i zbiorowych wystaw oraz udział w różnych konkursach i projektach fotograficznych. W latach 1991-2011 zajmował się fotografią zawodową we własnym studio fotograficznym. Tworzy fotografie przeważnie czarno-białe, z koloru korzysta umiarkowanie. Fotografowanie przestrzeni jest jego ulubionym zajęciem. Interesuje się cyfrowym przetwarzaniem fotografii i jej zastosowaniem w różnych technikach twórczych. Jest uczestnikiem i organizatorem działań artystycznych i kulturalnych związanych z fotografią. Obecnie poświęca się całkowicie działalności artystycznej i wystawienniczej. Tworzy artystyczną fotografię w konwencji Fine Art. Aktualnie rozpoczął pracę nad nową wystawą.



Roman Timofiejuk, foto ze zbiorów prywatnych

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasieński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”

ul. Garibaldiego 14 a

42-200 Częstochowa

www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4

42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: BOŚ Bank S.A. 40 1540 1014 2101 8518 7364 0001

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

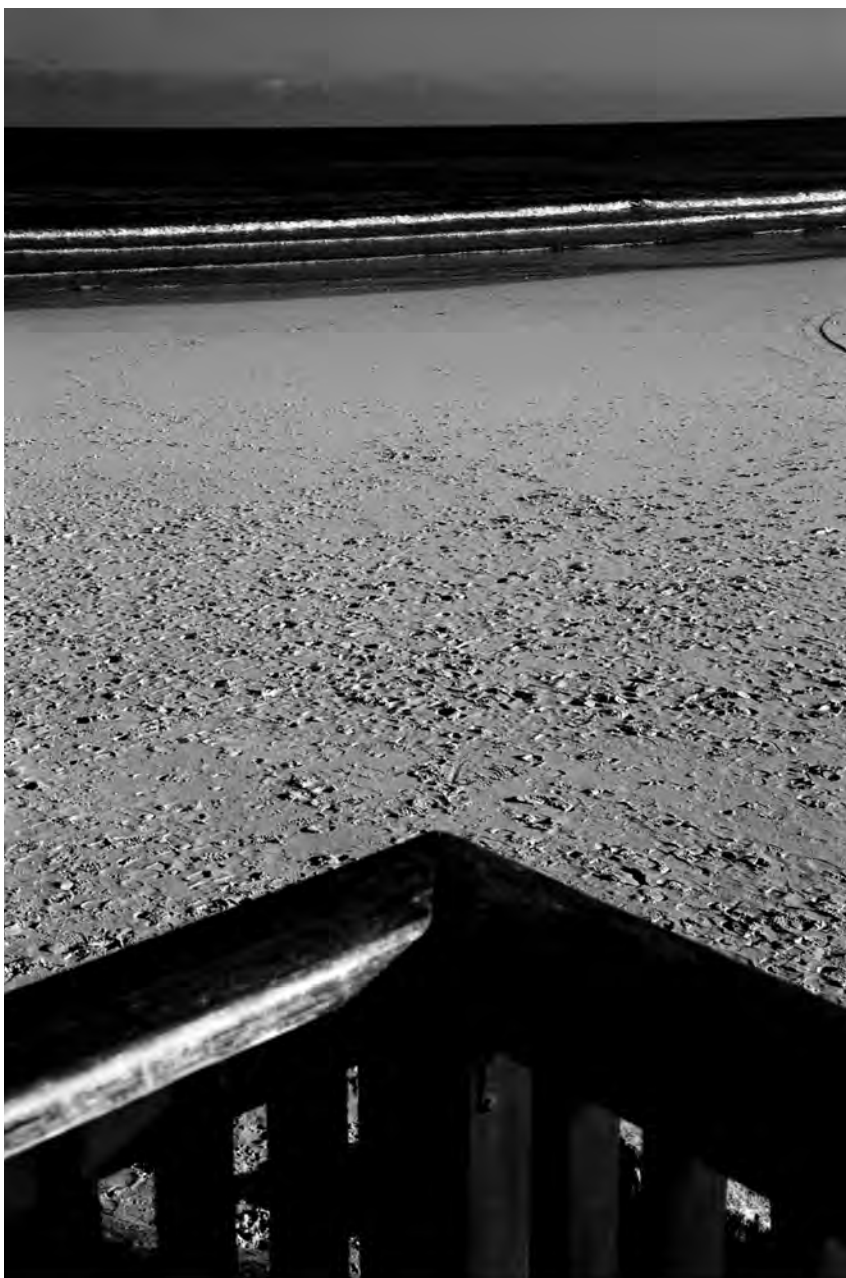
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Roman Timofejuk, z cyklu: „VEDUTY”

FOTOgaleria



Roman Timofiejuk, „Punkt obserwacyjny”, z cyklu: „H&O”